

„MISTRZ PSYCHOLOGICZNEJ GRY” „The Times”

SEBASTIAN FITZEK

 AMBER

Nie zabijał ich.

Nie gwałcił.

Nie torturował.

Jego zbrodnia
była o wiele,
wiele bardziej
wyrafinowana...

ŁAMACZ DUSZ

**SEBASTIAN
FITZEK**

**ŁAMACZ
DUSZ**

**Przekład
TOMASZ BEREZIŃSKI**



Redaktor prowadząca
Małgorzata Cebo-Foniok
Redakcja stylistyczna
Ryszard Turczyn
Korekta

Barbara Cywińska
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok
Zdjęcie na okładce

© Cherednychenko Ihor/Shutterstock

Tytuł oryginału
Der Seelenbrecher

Copyright © 2008 by Verlagsgruppe Droemer Knaur
GmbH & Co. KG, Munich, Germany

The book has been negotiated through AVA international
GmbH,

For the Polish edition

Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6915-3

Warszawa 2018. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

Dla Gerlinde

„To nie to, że boję się umrzeć.
Wolałbym tylko, żeby mnie przy tym nie było”.
Woody Allen

AKTA PACJENTA NR 131071/LARENZ

str. 1-6

71 dni przed lękiem

Na szczęście wszystko było tylko snem. Nie była naga. A jej nogi nie były przywiązane do przedpotopowego fotela ginekologicznego, podczas gdy psychopata stał obok i układał narzędzia na przerdzewiałym stoliku instrumentariuszki. Kiedy się odwrócił, nie potrafiła z początku rozpoznać, co trzyma w oblepionej skrzepniętą krwią dłoni. W końcu, gdy to zobaczyła, chciała zamknąć oczy, ale nie potrafiła. Nie mogła odwrócić wzroku od żarzącej się lutownicy, która powoli zbliżała się do jej ciała. Obcy z poparzoną twarzą odwinął jej obie powieki i przyszpilił do oczodołów pneumatycznym zszywaczem. Pomyślała, że w krótkiej reszcie swego życia nie zazna już większego bólu. Kiedy jednak lutownica zniknęła z jej pola widzenia i wyczuła coraz większe ciepło między nogami, zdała sobie sprawę, że cierpienia z ostatnich godzin były jedynie grą wstępną.

W chwili, gdy zdawało się jej, że poczuła zapach przypalanego mięsa, wszystko nagle się rozmyło. Mokra i zimna piwnica, do której ją wrzucono, mrugająca halogenowa żarówka nad jej głową, fotel tortur i metalowy stolik ulotniły się. Pozostała tylko czarna nicość.

Dzięki Bogu, pomyślała, to tylko sen. Otworzyła oczy i...

przestała cokolwiek rozumieć.

Koszmar, w którego objęciach jeszcze przed chwilą się znajdowała, wcale nie minął, tylko zmienił postać.

Gdzie ja jestem?

Wyposażenie wnętrza sugerowało, że to zapuszczony pokój hotelowy. Poplamiona narzuta na sfatygowanym podwójnym łóżku była tak samo brudna i przesiana wypalonymi dziurami jak zielono-brązowa wykładzina. Pod stopami czuła szorstkie włókna, co spowodowało, że jeszcze bardziej zeszywniała na niewygodnym drewnianym krześle.

Jestem bosa. Dlaczego nie mam butów? Dlaczego siedzę w obskurnym hotelu i gapię się na śnieżący obraz kontrolny czarno-białego telewizora?

Pytania tłukły się w jej głowie, niczym kule bilardowe objajające się o kości czaszki. Nagle wzdrgnęła się, jakby ktoś ją uderzył. Spojrzała w stronę źródła hałasu. W kierunku drzwi do pokoju. Zatrzęsły się raz, potem drugi, aż wreszcie wyleciały z hukiem. Dwóch policjantów wpadło do środka. Obaj w pełnym rynsztunku i uzbrojeni. Wymierzili w nią, ale po chwili powoli opuścili broń. Napiętą nerwowość na ich twarzy zastąpiło bezradne przerażenie.

– Cholera, co tu się stało? – usłyszała pytanie niższego, który wyważył drzwi i pierwszy wpadł do pokoju.

– Sanitariusz! – wrzasnął drugi. – Lekarz! Natychmiast potrzebujemy pomocy!

Dzięki Bogu, pomyślała po raz drugi w ciągu zaledwie kilku sekund. Ze strachu nie mogła oddychać, bolało ją całe ciało, śmierdziała fekaliami i moczem. Wszystko to w połączeniu z faktem, że nie wiedziała, w jaki sposób

się tu znalazła, doprowadzało ją niemal do szaleństwa. Na szczęście stało teraz przed nią dwóch policjantów, którzy sprowadzali pomoc medyczną. Nic dobrego to nie oznaczało, ale było zdecydowanie lepsze niż szalenie z lutownicą.

Po kilku sekundach do pokoju wbiegł łysy lekarz z kolczykiem w uchu i uklęknął przy niej. Najwidoczniej grupa szturmowa dotarły tu razem z karetką. Również nie najlepszy znak.

– Słyszysz mnie pani?

– Tak... – odpowiedziała lekarzowi. Sińce pod jego oczami wyglądały, jakby je wytatuowano na zawsze.

– Chyba mnie nie rozumie.

– Ależ rozumiem... – Chciała podnieść rękę, ale mięśnie jej nie słuchały.

– Jak się pani nazywa? – Lekarz wyjął z kieszeni na piersi latarkę w kształcie długopisu i zaświecił jej w oczy.

– Vanessa – wyrzęziła. – Vanessa Strassmann.

– Czy ona nie żyje? – Usłyszała za sobą głos jednego z policjantów.

– Cholera, źrenice prawie w ogóle nie reagują na światło. Zdaje się też, że nas nie słyszy i nie widzi. Jest w stanie katatonii, możliwe że w śpiączce.

– Przecież to wszystko bzdura! – krzyknęła i spróbowała wstać. Nie była jednak nawet w stanie ruszyć palcem.

Co się tutaj dzieje?

Powtórzyła na głos tę swoją myśl, starając się mówić tak wyraźnie, jak tylko potrafiła. Nikt nie chciał jej słuchać. Wszyscy się od niej odwrócili i rozmawiali z kimś, kogo dotychczas nie widziała.

– Mówi pani, że jak długo nie opuszczała tego pokoju?

Głowa lekarza zasłaniała jej widok na drzwi. Stamtąd dochodził teraz głos młodej kobiety.

– Na pewno od trzech dni. Być może nawet dłużej. Już kiedy się meldowała, zdawało mi się, że z tą paniusią jest coś nie tak. Ale powiedziała, żeby jej nie przeszkadzać.

Co za brednie ona opowiada? Vanessa pokręciła głową. Nigdy w życiu nie zatrzymałabym się tu dobrowolnie. Nawet na jedną noc!

– Nie dzwoniłabym, ale to przeraźliwe rżenie było coraz głośniejsze i...

– Proszę spojrzeć na to! – To był głos niższego policjanta, bezpośrednio nad jej uchem.

– Co?

– Tu coś jest. O, tutaj.

Vanessa poczuła, jak lekarz rozgina jej palce i ostrożnie pęsetą wyjmuje coś z jej lewej dłoni.

– Co to jest? – spytał policjant.

Vanessa była tak samo zaskoczona jak wszyscy pozostali, bo w ogóle nie zorientowała się, że cokolwiek trzyma.

– Kartka papieru.

Lekarz rozłożył zgiętą na pół kartkę. Vanessa wywróciła oczy, żeby móc coś odczytać, ale zobaczyła tylko niezrozumiałe hieroglify. Tekst napisany był w całkowicie nieznanym jej języku.

– Co tam jest napisane? – spytał drugi funkcjonariusz stojący w drzwiach.

– Dziwne. – Lekarz zmarszczył czoło i przeczytał głośno: – „Kupuje się to tylko po to, żeby zaraz wyrzucić”.

Na Boga. To, że lekarz odczytał tych kilka słów bez

zająknięcia, uzmysłowiło jej cały rozmiar koszmaru, w którym tkwiła. Z jakiegoś powodu utraciła wszelką zdolność komunikowania się z otoczeniem. W tej chwili nie umiała ani mówić, ani czytać, podejrzewała również, że zapomniała też, jak się pisze.

Lekarz ponownie zaświecił jej prosto w źrenice, co w jednej chwili sparaliżowało jej pozostałe zmysły: nie czuła już smrodu własnego ciała, pod gołymi stopami nie wyczuwała wykładziny. Wiedziała jedynie, że wzbiera w niej coraz większy lęk i że gwar wokół niej staje się coraz cichszy. Ledwo bowiem lekarz zdążył odczytać z kartki krótkie zdanie, oładnęła nią jakaś niewidoczna moc.

„Kupuje się to tylko po to, żeby zaraz wyrzucić”.

Moc, która wyciągnęła w jej stronę kościstą dłoń i zaczęła ją stąd wyciągać. Z powrotem do miejsca, którego nigdy w życiu nie chciałaby już oglądać ponownie i które opuściła zaledwie kilka minut temu.

To nie był sen. A może jednak był?

Spróbowała dać lekarzowi jakiś znak, jednak kiedy zarys jego sylwetki zaczął powoli się rozmywać, zaczęła rozumieć. A wtedy opanowało ją przerażenie i zgroza. Bo naprawdę nikt jej nie słyszał. Ani lekarz, ani policjanci, ani tamta młoda kobieta nie mogli z nią rozmawiać. Dlatego że wcale się nie obudziła w tym obskurnym pokoju. Wręcz przeciwnie. Kiedy halogenowa żarówka nad nią znów zaczęła mrugać, już wiedziała: straciła przytomność w momencie, gdy psychopata zaczął ją torturować. To nie on, tylko hotelowy pokój był częścią snu, który teraz rzucił się do ucieczki przed okrutną rzeczywistością.

A może znów się mylę? Pomocy! Pomóżcie mi! Nie

potrafię już odróżnić rzeczywistości od fikcji!

I znów wszystko było tak jak wcześniej. Wilgotna piwnica, metalowy stolik, fotel ginekologiczny, do którego była przywiązana. Naga. Tak naga, że czuła oddech szaleńca między swymi nogami. Chuchał na nią. Tam, gdzie była najbardziej wrażliwa. Potem przed jej oczami pojawiła się na moment pokryta bliznami twarz i z otworu pozbawionego warg wydobyły się słowa:

– Na razie tylko zaznaczyłem miejsce. Teraz możemy zaczynać.

Sięgnął po lutownicę.

Dziś, godzina 10.14

Dużo później, wiele lat po lęku

No i jak? Co państwo powiedzą na taki wstęp? Kobieta budzi się z koszmaru, by natychmiast znaleźć się w kolejnym. Ciekawe, prawda?

Profesor wstał od długiego dębowego stołu i spojrzał na niepewne twarze swoich studentów.

Dopiero teraz zauważył, że jego słuchacze zadali sobie więcej trudu przy wyborze ubrania niż on sam. Jak zawsze na ślepo wyjął z szafy jakiś pognieciony garnitur. Dał się kiedyś namówić sprzedawcy na ten piekielnie drogi zakup tylko dlatego, że jego ciemny kolor podobno idealnie pasował do jego czarnych włosów, które w tamtym czasie miał nieco dłuższe, w ostatnim porywie buntu z okresu dojrzewania.

Kiedy dziś, wiele lat później, chciałby kupić coś, co pasowałoby do jego fryzury, garnitur musiałby być popielaty, poprzecierany i z dziurą na plecach, jak tonsura mnicha.

– Co państwo powiedzą?

Poczuł piekące rwanie w łąkotce, gdy nierozsądnie odszedł krok na bok. Zgłosiło się tylko sześcioro. Cztery kobiety, dwóch mężczyzn. Typowe. W tego rodzaju eksperymentach zawsze większość stanowiły kobiety. Albo dlatego, że miały więcej odwagi, albo bardziej potrzebowały pieniędzy przewidzianych za udział w tym

psychiatrycznym eksperymencie, o którym informowało ogłoszenie na tablicy.

– Przepraszam pana, czy ja to dobrze zrozumiałem?

Lewa strona, miejsce nr 2. Profesor spojrział na listę przed sobą, żeby znaleźć nazwisko probanta, który zdecydował się odezwać: *Florian Wessel, trzeci semestr.*

Student, czytając wstęp, przesuwiał po liniijkach perfekcyjnie zastrugany ołówek. Mała, półokrągła blizna pod prawym okiem świadczyła o przynależności do studenckiej korporacji hołdującej tradycji menzury. Odłożył ołówek między strony i zamknął akta.

– I to ma być protokół badania klinicznego?

– Rzeczywiście. – Profesor z lekkim uśmiechem dał do zrozumienia młodemu mężczyźnie, że spodziewał się takiej reakcji. Była ona niejako częścią eksperymentu.

– Lutownica? Tortury? Policja? Za pozwoleniem, ale to się czyta bardziej jak początek jakiegoś thrillera, a nie jak akta pacjenta.

Za pozwoleniem? Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz słyszał ten archaiczny zwrot. Profesor zastanawiał się, czy student z fryzurą z przedziałkiem zawsze tak się wyrażał, czy też to melancholijna patyna ich nietypowego miejsca pobytu wywierała taki wpływ na jego dobór słów. Wiedział, że przerażająca historia tego budynku odstraszyła kilka osób od wzięcia udziału w eksperymencie. Dwieście euro w tę czy w tamtą.

Ale właśnie w tym tkwił cały urok. Żeby przeprowadzić eksperyment nie gdzie indziej, tylko właśnie tu. Nie było lepszego miejsca na przeprowadzenie testu, nawet jeśli cały kompleks był przesiąknięty wonią pleśni i panował w nim taki chłód, że przez chwilę zastanawiali się, czy

nie oczyścić kominka ze śmieci i nie uruchomić go. W końcu był dwudziesty drugi grudnia i temperatura spadła mocno poniżej zera. Ostatecznie wypożyczyli dwa grzejniki olejowe, które jednak i tak nie dały rady dostatecznie ogrzać wysokiego pomieszczenia.

– Powiada pan, że to się czyta jak początek thrillera? – powtórzył profesor. – Niewiele się pan pomylił.

Złożył ręce jak do modlitwy i powąchał pomarszczone czubki palców. Przypominały mu toporne dłonie dziadka, z tym że dziadek, w przeciwieństwie do niego, przez całe życie pracował w polu.

– Gabinet, w którego archiwum znaleziono dokument, który właśnie mają państwo przed sobą, należał do jednego z moich kolegów psychiatrów, Viktora Larenza. Być może w trakcie studiów zetknęliście się już nawet z jego nazwiskiem.

– Larenz? On już chyba nie żyje? – spytał student, który zgłosił się dopiero wczoraj.

Profesor ponownie spojrział na listę. Studentem o czarno farbowanych włosach okazał się Patrick Hayden. On i jego przyjaciółka Lydia siedzieli blisko siebie. Przerwa pomiędzy ich ciałami była tak wąska, że trudno byłoby tam wcisnąć nawet nic dentystyczną, co wyraźnie wynikało ze starań Patricka. Gdy tylko Lydia próbowała się od niego odrobinę odsunąć, jeszcze mocniej obejmował ją ramieniem i władczy gestem przytulał do siebie. Na sobie miał sportową bluzę z inteligentnym nadrukiem: „Jezus cię kocha”. Tuż poniżej widniało niemal nieczytelne: „Wszyscy pozostali uważają cię za dupka”. Patrick miał już raz tę bluzę na sobie, gdy do niego przyszedł, żeby się poskarżyć na kiepską ocenę z

egzaminu.

– Viktor Larenz nie ma tu nic do rzeczy. – Profesor machnął ręką. – Jego historia jest z punktu widzenia dzisiejszego testu nieistotna.

– A o co w takim razie chodzi? – dopytywał się Patrick. Pod stolikiem założył jedną nogę na drugą. Sznurowadła jego skórzanych butów z cholewami były rozwiązane, aby nogawki fabrycznie podartych dżinsów nie opadły tak po prostu na cholewkę, bo inaczej nikt by nie zauważył metki producenta na wysokości kostki.

Profesor nie mógł powstrzymać uśmiechu. Rozwiązane buty, rozdarte spodnie, bluźniercza bluza. Ktoś z branży mody postawił sobie za cel zabicie majątku na kosztach swoich konserwatywnych rodziców.

– Cóż, muszą państwo wiedzieć... – Znów usiadł na swoim miejscu przy końcu stołu i otworzył zniszczoną skórzaną teczkę, która wyglądała, jakby wyżywało się na niej jakieś obdarzone pazurami domowe zwierzę.

– To, o czym przed chwilą państwo przeczytali, wydarzyło się naprawdę. Akta, które państwu rozdałem, to ksero autentycznego raportu. – Profesor wyjął starą książkę w kieszonkowym wydaniu. – A to oryginał.

Postawił na biurku cienką książeczkę w miękkiej oprawie.

Łamacz Dusz. Czerwony tytuł wyraźnie odcinał się od zielonkawego tła. Wzrok przykuwała znajdująca się nad tytułem niewyraźna sylwetka mężczyzny, który ucieka przez przypominającą mgiełkę śnieżną zamieć w kierunku ciemnego budynku.

– Proszę się nie dać zwieść zewnętrznej formie. Na pierwszy rzut oka jest to zwykła powieść. Ale w środku

kryje się znacznie więcej.

Z furkotem przepuścił między palcami około trzystu stron książki.

– Wielu uważa, że ten raport wyszedł spod pióra jednego z pacjentów Larenza. Larenz opiekował się wcześniej wieloma artystami, byli wśród nich również pisarze. – Profesor zamrugał powiekami i dokończył nieco ciszej: – Istnieje jednak również inna teoria.

Wszyscy studenci patrzyli na niego z zaciekawieniem.

– Zdaniem niektórych Viktor Larenz sam to napisał.

– Jak to?

Tym razem głos zabrała Lydia. Ciemna blondynka w szarym golfie była jego najlepszą studentką. Nie potrafił zrozumieć, co ją tak przyciągało do tego nieogolonego wiecznego studenta obok niej. Tak samo nie rozumiał, dlaczego mimo fantastycznie zdanej matury nie otrzymała stypendium.

– Czyżby ten Larenz miał przerobić swoje notatki na thriller? Po co miałby sobie zadawać tyle trudu?

– Właśnie tego chcemy się dziś dowiedzieć. To jest cel naszego eksperymentu.

Profesor zanotował coś na kartce notatnika przy liście studentów i zwrócił się do grupki studentek po swojej prawej stronie, które nie odezwały się dotychczas ani słowem.

– Jeśli macie jakieś wątpliwości, moje panie, doskonale to zrozumiem.

Rudowłosa uniosła głowę, pozostałe nadal gapiły się w kartki dokumentacji przed sobą.

– Wszyscy państwo mogą się zastanowić jeszcze raz. Właściwy eksperyment jeszcze się nie rozpoczął. Możecie

przerwać i pójść po prostu do domu. Jeszcze jest na to czas.

Studentki przytaknęły niezdecydowanie.

Florian pochylił się do przodu, potem nerwowo podrapał się palcem wskazującym po przedziałku.

– A co wtedy z tymi dwiema słowami? – zapytał.

– To wynagrodzenie wyłącznie dla tych, którzy wezmą aktywny udział. I tylko wtedy, gdy będą trzymać się określonych wytycznych, opisanych na ogłoszeniu. Musicie przeczytać całe akta, robiąc zaledwie kilka krótkich przerw.

– A co potem? Co się stanie, kiedy już to zrobimy?

– To również jest częścią eksperymentu.

Psychiatra sięgnął pod blat i wyjął niewielki stosik formularzy z godłem prywatnego uniwersytetu.

– Proszę wszystkich, którzy zostaną, o podpisanie tego dokumentu.

Rozdał deklaracje, zwalniające uniwersytet od wszelkiej odpowiedzialności za ewentualne szkody psychosomatyczne, które mogłyby powstać w związku z dobrowolnym udziałem w eksperymencie.

Florian Wessel wziął kartkę, przytrzymał ją pod światło i na widok wodnego znaku Instytutu Medycznego energicznie pokręcił głową.

– Trochę to dla mnie za bardzo podejrzane.

Wyjął spomiędzy akt swój ołówek, chwycił za plecak i wstał.

– Chyba już wiem, do czego to wszystko ma prowadzić. A jeśli jest tak, jak przypuszczam, to zdecydowanie za bardzo się tego boję.

– Szanuję pana otwartość. – Profesor odebrał od

Floriana deklarację i sięgnął po kopię akt. Potem spojrzał na trzy studentki, które właśnie naradzały się po cichu.

– Nie wiemy co prawda, o co w tym chodzi, ale skoro Florian rezygnuje, my też wolimy trzymać się z daleka.

Znów tylko rudowłosa się do niego odezwała.

– Jak sobie panie życzą. Nie ma sprawy.

Zebrał od nich plastikowe teczki, podczas gdy studentki zdejmowały z oparcie krzeseł zimowe płaszcze. Florian stał już w kurtce z kapturem i w rękawiczkach przy wyjściu i czekał.

– A państwo?

Spojrzał na Lydię i Patricka, którzy nadal niezdecydowani przeglądali akta. W końcu wzruszyli jednocześnie ramionami.

– A co mi tam. Najważniejsze, że nie będą pobierać mi krwi – powiedział Patrick.

– No właśnie, a co tam. – Lydii udało się wreszcie odsunąć trochę od przyjaciela.

– Przez cały czas pan będzie z nami, prawda?

– Tak.

– I nie musimy robić nic oprócz czytania? Nic więcej?

– Zgadza się.

Za nimi dał się słyszeć odgłos zamykanych drzwi. Ci, którzy się wyłamali, wyszli bez pożegnania.

– W takim razie wchodzę w to. Kasa zawsze się przyda.

Lydia rzuciła profesorowi spojrzenie, które przypieczętowało nigdy niewypowiedzianą otwarcie przysięgę milczenia.

Wiem, powiedział do siebie w myślach i skinął głową. Delikatnie i prawie niezauważalnie.

Oczywiście, że potrzebujesz pieniędzy.

Było to w jeden z gorących kwietniowych weekendów, kiedy fala rozczulania się nad sobą rzuciła go w jej prywatne życie.

Jedyny przyjaciel poradził mu zrezygnować z rutynowych „schematów doznań”, jeśli chce wreszcie zapomnieć o przeszłości. Musi zrobić coś, czego jeszcze dotychczas w życiu nie robił. Trzy kieliszki później poszli do tego baru. Nic ekscytującego. Było tam tylko niewinne nudne show. Pomijając fakt, że dziewczyny tańczyły półnagie, nie poruszały się bardziej obscenicznie niż większość nastolatków na dyskotecę. I, o ile potrafił to ocenić, na zapleczu nie było żadnego pokoju.

A mimo to poczuł się tam jak oblesny stary zgred, kiedy nagle stanęła przed nim Lydia z kartą drinków. Bez golfa, z rozpuszczonymi włosami, w spódniczce od szkolnego mundurka. Nic więcej na sobie nie miała.

Zapłacił za drinka, nawet go nie próbując, zostawił swojego przyjaciela i ucieszył się, gdy zobaczył ją na następnym wykładzie w pierwszym rzędzie. Nie zamienili ani słowa na ten temat i był pewien, że Patrick nie miał pojęcia o dodatkowym zajęciu swojej dziewczyny. Chociaż sam wyglądał jak ktoś, kto jest na ty z barmanami w większości tego typu klubów, nie sprawiał wrażenia zbyt tolerancyjnego, jeśli chodziło o jego interes.

Lydia westchnęła cicho i złożyła podpis pod deklaracją.

– W końcu, co tu się może stać? – zadała sobie retoryczne pytanie. Profesor odchrząknął, ale nic nie powiedział. Zamiast tego sprawdził oba podpisy i

spojrzał na zegarek.

– Świetnie, zatem jesteśmy gotowi.

Uśmiechnął się, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

– Zaczynamy eksperyment. Proszę otworzyć akta pacjenta na stronie 7.

AKTA PACJENTA NR 131071/LARENZ

str. 7-109

Dzień przed Wigilią – godzina 17.49

Dziewięć godzin i czterdzieści dziewięć minut przed łękiem

Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację...

Słowa starszej pani docierały do klęczącego obok niej Caspara przytłumione, jakby przez zamknięte drzwi.

– Ojciec i syn jadą nocą ośnieżoną drogą przez ciemny las. Ojciec traci kontrolę nad samochodem. Uderzają w drzewo. Ojciec ginie na miejscu. Chłopiec przeżywa, ale w ciężkim stanie zostaje odwieziony do szpitala, gdzie natychmiast trafia na oddział chirurgii powypadkowej. Przychodzi chirurg, sztywnieje i mówi w panice: „O mój Boże, nie mogę operować tego chłopca. To mój syn!”

Starsza pani na łóżku zrobiła krótką przerwę, po której spytała triumfalnie:

– Jak to możliwe, przecież chłopiec nie może mieć dwóch ojców?

– Nie mam pojęcia.

Caspar cały czas miał zamknięte oczy, zdając się na zmysł dotyku, podczas próby naprawy telewizora. Dlatego też mógł się tylko domyślać jej szelmowskiego uśmiechu za plecami.

– Ach, niech pan da spokój. Zagadka wcale nie jest taka trudna dla mężczyzny z pańską inteligencją.

Wyciągnął dłoń zza masywnego kineskopowego aparatu i odwrócił się do Grety Kaminsky, kręcąc głową.

Siedemdziesięciodziewięcioletnia wdowa po bankierze ledwie pięć minut temu zapukała do jego drzwi i poprosiła, czy nie mógłby zerknąć na jej „cholerne pudło”. Nazywała tak monstrualny telewizor, który był zdecydowanie za duży do jej szpitalnego pokoiku na poddaszu kliniki Teufelsberg. Naturalnie spełnił jej prośbę, chociaż profesor Raßfeld wyraźnie mu tego zabronił. Szef kliniki nie chciał, żeby Caspar opuszczał bez nadzoru swoją pojedynekę.

– Obawiam się, że zagadki nie są moją najlepszą stroną, proszę pani.

Wciągnął niechcący trochę kurzu, który zebrał się za telewizorem, i zaczął kasłać.

– Poza tym nie jestem kobietą. Nie potrafię robić dwóch rzeczy jednocześnie.

Przycisnął z powrotem policzek do pudła telewizora i dalej próbował na wycucie znaleźć miejsce na wtyczkę do anteny. Ciężki gruchot nie dał się odsunąć od ściany nawet o milimetr.

– Bla, bla, bla! – Greta dwa razy uderzyła płaską dłonią w materac. – Niech pan nie będzie taki, Caspar!

Caspar.

To przezwisko nadali mu pielęgniarze. Jakoś trzeba było do niego mówić, skoro nikt nie wiedział, jak się nazywa naprawdę.

– Proszę chociaż spróbować! A nuż okaże się, że jednak ma pan nosa do zagadek. Kto wie, przecież nic pan nie

pamięta.

– Nieprawda. – Stęknął i jeszcze głębiej wsunął rękę w szparę między telewizorem a pokrytą tapetą ścianą. – Wiem, jak się wiąże krawat, czyta książkę, jeździ na rowerze. Nie mam tylko żadnych wspomnień.

– „Pańska wiedza dotycząca faktów w dużej mierze pozostała nienaruszona” – wyjaśniła mu już podczas pierwszej sesji doktor Sophia Dorn, zajmująca się nim psychiatra. – „Ale wszystko, co definiuje pana emocjonalnie, to znaczy to, co stanowi o pana osobowości, niestety przepadło”.

Amnezja wsteczna. Utrata pamięci.

Nie mógł sobie przypomnieć własnego nazwiska, rodziny, zawodu. Nie wiedział nawet, w jaki sposób trafił do tej luksusowej prywatnej kliniki. Stary budynek kliniki Teufelsberg stał na obrzeżach miasta, na najwyższym wzniesieniu Berlina, sztucznie usypanym ze zgliszczy domów, zniszczonych przez bomby podczas wojny. Dziś wzgórze Teufelsberg było zarosniętym zielenią wysypiskiem śmieci, na którego czubku amerykańska armia zainstalowała w czasie zimnej wojny swoje urządzenia podsłuchowe. Czteropiętrowa willa, w której opiekowano się Casparem, służyła jako oficerskie kasyno dla członków tajnych służb. Dopiero po upadku muru wylicytował ją renomowany psychiatra i neuroradiolog profesor Samuel Raßfeld, luksusowo wyremontował i zmienił w jeden z czołowych ośrodków leczących zaburzenia psychosomatyczne. Klinika królowała teraz nad dzielnicą Grunewald niczym odgradzony fosą pałac. Prowadziła do niej tylko wąska prywatna uliczka, na której dziesięć dni temu znaleziono

Caspara. Nieprzytomnego, przysypanego cienką warstwą śniegu i wychłodzonego.

Dirk Bachmann, dozorca kliniki Teufelsberg, wioził tamtego wieczoru Raßfelda na spotkanie w szpitalu Westend. Gdyby wracał zaledwie godzinę później, Caspar zamarzłby na skraju drogi. Czasami zastanawiał się, czy to byłaby jakakolwiek różnica.

Bo czymże jest życie bez tożsamości w porównaniu do śmierci?

– Nie może się pan tak zadrećzać – upomniała go Greta, jakby czytała w jego ponurych myślach. Zabrzmiało to zupełnie tak, jakby była lekarką, a nie współpacjentką, która sama miewała napady lękowe, gdy tylko za długo była sama.

– Wspomnienie jest jak piękna kobieta – wyjaśniła mu, podczas gdy Caspar nadal grzebał za telewizorem w poszukiwaniu gniazda antenowego. – Jeśli będzie pan za nią chodził, znudzona odwraca się plecami. Ale jeśli zajmie się pan czymś innym, zazdrosna piękność sama do pana wróci.

Zachichotała rozbawiona.

– Tak jak nasza śliczna terapeutka, która z taką troską się panem zajmuje.

– Co pani ma na myśli? – spytał zdziwiony Caspar.

– Cóż, nawet stara babcia jest w stanie to zauważyć. Pasujecie do siebie z Sophią, mój panie Caspaaarrrze.

Caspaaarr.

Z przeciągniętym A i wibrującym R głos Greta przypominał filmowe diwy z okresu powojennego. Od czasu, kiedy siedem lat temu jej mąż podczas gry w golfa zmarł na atak serca, spędzała każde święta Bożego

Narodzenia w tej prywatnej klinice. Tu nie była sama, gdy dopadała ją świąteczna depresja. Z tego samego powodu nawet awaria telewizora była dla niej małą katastrofą. „Gadająca skrzynka” była u niej włączona bez przerwy, żeby tylko nie czuła się zbyt samotnie.

– Gdybym była młodsza, sama chętnie umówiłabym się z panem na herbatkę tańczącą. – Zachichotała zalotnie.

– Serdecznie dziękuję. – Zaśmiał się.

– Mówię poważnie. Kiedy mój mąż był w pana wieku, gdzieś na początku czterdziestki przypuszczam, ciemne włosy opadały mu na czoło tak samo figlarnie jak panu. Poza tym miał tak samo proporcjonalne dłonie, jak pan. I... – Greta znów zachichotała – podzielał moją pasję do zagadek!

Zaklaskała dwa razy w dłonie, jakby była nauczycielką kończącą przerwę.

– No, i dlatego spróbujemy jeszcze raz...

Caspar westchnął rozbawiony, podczas gdy Greta powtórzyła swoją zagadkę.

– Ojciec i syn ulegają wypadkowi. Ojciec ginie, syn przeżywa.

Pomimo uchylonego okna Caspar zaczął się pocić.

Przez cały poranek padał deszcz, a około południa temperatura spadła poniżej zera. Tu, w środku Grunewaldu, było pewnie jeszcze o dwa stopnie zimniej niż w centrum miasta. Ale w tej chwili wcale tego nie odczuwał.

Ha! Palcem wskazującym natrafił na okrągły metalowy otwór w plastikowej obudowie. *Jeszcze tylko wsadzę kabel i...*

– Ciężko ranny syn zostaje przewieziony do szpitala.

Jednak chirurg nie chce go operować. Nie chce operować własnego syna.

Caspar wygrzebał się zza ciężkiego telewizora, wstał i sięgnął po pilota.

– Jak to możliwe? – spytała Greta łobuzersko.

– A tak – odpowiedział Caspar i włączył telewizor.

Najpierw obraz zamigotał, potem dobitny głos spikera wiadomości wypełnił cały pokój. Kiedy w końcu pojawił się uzupełniający go obraz, Greta aż klasnęła w ręce z radości.

– Znów działa! Cudownie, jest pan genialny!

Nie wiem, jaki jestem, pomyślał Caspar i strzepnął kurz z dżinsów.

– Lepiej wróć do swojego pokoju, zanim pielęgniarka się wścieknie... – zaczął, ale Greta podniosła rękę, żeby zamilkł.

...kolejne wstrząsające informacje o tak zwanym Łamaczu Dusz, który już od kilku tygodni budzi lęk i przerażenie kobiecej części społeczeństwa...

Za pomocą pilota Greta nastawiła głośniej wiadomości.

Godzina 17.56

Właśnie dotarła do nas wiadomość, że jego pierwsza ofiara, dwudziestosześcioletnia studentka akademii teatralnej Vanessa Strassmann, zmarła dziś po południu na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Westend. Dwa i pół miesiąca wcześniej zaginęła bez śladu zaraz po zajęciach i po dokładnie tygodniu została odnaleziona w zapuszczonym motelu przy autostradzie. Naga, skrajnie

wyczerpana i sparaliżowana.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie olśniewającej piękności, tak jakby dramatyczne słowa spikera nie wystarczały, aby wyjaśnić cały rozmiar tragedii. Jej portret ustąpił miejsca dwóm następnym. Również i tu ktoś zadał sobie sporo trudu, aby zdobyć szczególnie atrakcyjne zdjęcia z rodzinnych albumów.

Tak samo jak dwie kolejne ofiary, Doreen Brandt, odnosząca sukcesy prawniczka, i nauczycielka szkoły podstawowej, Katja Adesi, Vanessa Strassmann nie odniosła niemal żadnych zewnętrznych obrażeń. Lekarze twierdzą, że nie została zgwałcona, nie bito jej i nie torturowano. Mimo to była psychicznym wrakiem. Aż do chwili śmierci w dniu dzisiejszym reagowała jedynie na intensywne impulsy świetlne i dźwiękowe, pozostając przez cały czas w stanie zbliżonym do śpiączki.

Zdjęcia zniknęły i na ekranie pojawiła się bryła nowoczesnego kompleksu szpitalnego.

Zagadką pozostaje dla lekarzy przyczyna jej śmierci. Nadal nie wiadomo, co napastnik zrobił tej młodej kobiecie. Jedyłą wskazówką są karteczki znalezione w dłoniach wszystkich ofiar, których treść policja utrzymuje jednak w tajemnicy. Na szczęście dotychczas nie było kolejnych doniesień o porwaniach i miejmy nadzieję, że ta przerażająca seria została przerwana nie tylko ze względu na nadchodzące święta, ale już na zawsze. Najlepszym bożonarodzeniowym prezentem z pewnością byłaby informacja o schwytaniu Łamacza Dusz, prawda Sandro?

Prezenter wiadomości z profesjonalnym uśmiechem odwrócił się w stronę współprowadzącej, dając tym

samym sygnał, że czas przejść do prognozy pogody.

Zgadza się, Paul, to prawda. Ale teraz wszyscy trzymamy kciuki, żeby również inne prezenty bezpiecznie i na czas trafiły pod choinkę, ponieważ po najsilniejszych opadach śniegu w ciągu ostatnich dwudziestu lat w wielu dużych miastach gołoledź sparaliżowała komunikację. Dodatkowo należy się liczyć z silnymi burzami...

Gołoledź, pomyślał Caspar, patrząc na graficzne znaki ostrzegawcze nad Berlinem umieszczone na mapie pogody. I wtedy stało się to po raz pierwszy.

Impet wspomnień trafił go tak nagle i mocno, że nie był w stanie ich powstrzymać.

ECHO WSPOMNIENÍ

– Ale wrócisz zaraz, prawda?

– Tak. Nie bój się. – Dotknął jej przepoconych włosów, które podczas skurczów opadły na czoło.

– Nie zostawisz mnie samej?

– Nie.

Oczywiście nie mógł słyszeć jej słów. Dziewczynka już od dłuższego czasu nie była w stanie poruszyć językiem. Ale wyczuwał nieme błaganie jedenastolatki w słabym uścisku jej palców. Wypierał z myśli dręczące pytanie, czy była to świadoma reakcja, czy też tylko odruch, podobny do niekontrolowanych drgań jej prawej powieki.

– Tak bardzo się boję. Proszę pomóż mi.

Całe jej delikatne ciało krzyczało o pomoc, a on z trudem powstrzymywał się od łez, koncentrując wzrok na znamieniu, które niczym kropka w znaku zapytania widniało nad jej prawą kością policzkową.

– Wyciągnę cię stąd – szepnął. – Zaufaj mi.

Pocałował ją w czoło, modląc się, żeby nie było już za późno.

– Okay! – wyszeptała dziewczynka, nie poruszając ustami.

– Jesteś taka dzielna, kochanie. O wiele za bardzo jak na swój wiek.

– Wiem. – Palce wysliznęły się z jego dłoni. – Tylko się pospiesz – jęknęła niemo.

– Oczywiście. Obiecuję. Uwolnię cię.

– *Boję się. Wrócisz szybko, tatusiu?*

– *Tak. Niedługo wrócę i wszystko będzie dobrze, mój skarbie. Wszystko będzie tak jak kiedyś. Nie martw się, słodziutka, okay? Popętniłem błąd, ale znów cię stąd wyciągnę, a wtedy...*

– ...a pan jak myśli? – zapytała głośno Greta, wyrwijąc Caspara z niepokojącego snu na jawie. Zamrugał nerwowo, przełknął ślinę, która zebrała mu się w ustach, i na koniec otworzył oczy. Natychmiast zaczęły łzawić, gdy światło telewizyjnego ekranu doszło do źrenic. Najwidoczniej Greta nawet nie zauważyła, że przez moment był myślami zupełnie gdzie indziej.

– Słucham?

W nosie pozostał mu zapach spalonego papieru, zupełnie jakby impet tego pierwszego strzępu wspomnień spowodował pojawienie się dymu.

Co to było? Naprawdę moje wspomnienie? Sen? Ciągłe jeszcze zszokowany obrazami, które się przewinęły w jego głowie, złapał się za pierś. W miejscu, gdzie pod T-shirtem zaznaczały się świeżo zagojone rany po oparzeniu, które odkrył na sobie podczas pierwszego prysznica w klinice i których przyczyna była tak samo niejasna jak jego przeszłość.

– Ciekawe – powiedziała podekscytowana Greta. – Co tam mogło być na tych karteczkach?

Przyciszyła telewizor. Smród spalenizny w jego nozdrzach trochę zelżał.

– Na czym?

– No, na karteczkach. Tych, które znaleziono przy ofiarach Łamacza Dusz. Jakie to może mieć znaczenie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział zbity z tropu. Koniecznie musi stąd wyjść. Pozbierać się jakoś. Zastanowić nad tym, co przed chwilą przeżył, i naradzić się ze swoją lekarką.

Czy ja mam córkę? Czy ona gdzieś na mnie czeka? Chora? I sama?

– Może niech pani lepiej wyłączy już telewizor. Nie będzie mogła pani zasnąć przez te wstrząsające doniesienia. – Starając się nie pokazywać zmieszania, ruszył powoli do drzwi.

– A co tam. Po mnie ten Łamacz Dusz na pewno nie przyjdzie.

Greta uśmiechnęła się chytrze i odłożyła na nocny stolik okulary do czytania z mocno zgryzionymi zausznikami.

– Nawet gdybym nie nosiła okularów, to i tak nie mieszcę się w kręgu jego zainteresowań. Sam pan słyszał: jego wszystkie ofiary miały od dwudziestu do czterdziestu lat, były szczupłe, jasnowłose i rozwiedzione. Może z pięćdziesiąt lat temu pasowałabym jeszcze do tego wzorca.

Zaśmiała się.

– Ale niech pan się nie martwi, kochaniutki. Obejrzę sobie dziś przed zaśnięciem milusi film o zwierzątkach. Pokazują dzisiaj *Milczenie owiec*...

– To przecież nie jest... – zaczął Caspar, ale potem zobaczył po jej oczach, że dał się nabrać. – Trafiony, zatopiony – powiedział i nie mógł powstrzymać uśmiechu pomimo wewnętrznego rozkojarzenia. – Zatem mamy jeden do jednego.

Wyciągnął rękę w stronę klamki.

– Remis?! Dlaczego?! – krzyknęła za nim zdumiona Greta.

– No, cóż, dałem się nabrać. Ale z kolei ja rozwiązałem pani zagadkę.

– Kłamca, wcale pan nie rozwiązał.

– Tak, tak. Chirurg jest kobietą – powiedział z uśmiechem. – Chirurgiem w szpitalu jest matka chłopca. Dlatego nie chce operować własnego syna.

– No nie wierzę. – Greta zachichotała, klaszcząc znów w dłonie jak uczennica. – Jak pan na to wpadł?

Nie mam pojęcia, pomyślał Caspar i pożegnał się z niepewnym uśmiechem.

Naprawdę nie mam najmniejszego pojęcia.

Uśmiech zniknął z jego twarzy w tym samym momencie, gdy zamknął za sobą drzwi i wyszedł na korytarz. Przez chwilę zastanawiał się, czy zdąży z powrotem do pokoju Grety, zanim go nakryją. Ale wtedy usłyszał, jak ktoś wymawia jego imię, i zdecydował się ruszyć ukradkiem za dwoma lekarzami, którzy właśnie wyszli z jego pokoju, miotając wściekłe spojrzenia.

Godzina 18.07

Raßfeld i Sophia byli tak bardzo pochłonięci dyskusją, że zupełnie go nie zauważyli, chociaż stał zaledwie kilka metrów za nimi. Caspar miał spore trudności ze zrozumieniem ich słów.

– ...wydaje mi się, że jeszcze jest zdecydowanie za wcześnie – syknął Raßfeld schrypniętym głosem palacza.

– To mogłoby za mocno wstrząsnąć Casparem.

Szef kliniki zatrzymał się i poprawił wełniany szal, który miał owinięty wokół szyi. Wygląd ordynatora jak zwykle był sprzecznością samą w sobie. Nawet w środku lata owijał gardło grubym szalem ze strachu przed

przeziębieniem, co wcale mu nie przeszkadzało, żeby zimą wychodzić z domu w sandałach na bose stopy. Profesor dbał o pielęgnację paznokci u rąk i idealnie zaczesany przedziałek, ignorując przy tym pozostały zarost twarzy. Bujna broda była równie zaniedbana, jak włoski, które wystawały mu z nosa i uszu. I chociaż napisał habilitację na temat psychicznych uwarunkowań otyłości, w jego biurze między stosami książek i segregatorów wałały się puste kartony z fast foodów. Co prawda nie osiągnął jeszcze tuszy Bachmanna, ale i tak obwód jego brzucha wystarczał, żeby stojąca obok Sophia wyglądała jak anorektyczka.

– Nie wolno pani mu tego pokazać! – polecił. Z tymi słowami pociągnął Sopię za sobą korytarzem jak najdalej od pokoju pacjenta, z którego przed chwilą wyszli. – Pod żadnym pozorem. Czy to jasne? Zabraniam pani.

Caspar ostrożnie podążał za nimi.

– Mam inne zdanie na ten temat – odezwała się Sophia nieco mniej energicznie. Uniosła dłoń, w której trzymała cienką teczkę z aktami pacjenta. – Ma prawo to zobaczyć...

Ordynator zatrzymał się nagle i przez chwilę wyglądało na to, że chce się obrócić. Caspar momentalnie kucnął i rozwiązał sznurowadło. Ale Raßfeld otworzył tylko drzwi do małej kuchni i wciągnął za sobą Sopię do pomieszczenia. Drzwi zostawił uchylone. Kucając na korytarzu, Caspar mógł patrzeć przez szczelinę w drzwiach. Raßfeld stał poza zasięgiem jego wzroku.

– W porządku, przepraszam – usłyszał głos profesora. – Niepotrzebnie podniosłem głos. Ale naprawdę nie wiemy,

jakie szkody mogłyby u niego wywołać te informacje.

– Albo jakie wspomnienia. – Sophia oparła się płaską dłonią o blat przy zlewie. Jak zawsze była bez makijażu, przez co wcale nie wyglądała jak lekarz prowadzący, bardziej przypominała studentkę medycyny z trzeciego semestru. Caspar dziwił się, co go tak do niej przyciąga, że nawet potajemnie się za nią teraz skrada. Nic nie było w niej idealne. Każdy szczegół zdawał się mieć jakieś wady: oczy za duże, skóra zbyt blada, uszy odrobinę za bardzo odstające, a kształt nosa również z pewnością nie pochodził z katalogu chirurga plastycznego. A mimo to nie mógł się na nią napatrzeć. Podczas każdej sesji terapeutycznej odkrywał w niej coś nowego, co go fascynowało. W tej chwili był to pojedynczy kosmyk włosów, który uformował nad jej skronią znak zapytania.

– Pani jest za bardzo niecierpliwa – wymamrotał Raßfeld.

Zimny dreszcz przejął Caspara, gdy zobaczył, jak pełna brązowych plam dłoń szefa kliniki powoli zbliżała się do dłoni Sophii.

Profesor mówił teraz tonem, który miał zabrzmieć nie tylko konspiracyjnie, ale przede wszystkim uwodzicielsko.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział cicho. – Wszystko w swoim...

Gdy owłosiony palec wskazujący Raßfelda otarł się o przegub ręki Sophii, Caspar zareagował instynktownie.

Podsłoczył, szarpnął za drzwi i z udawanym zdziwieniem natychmiast wycofał się na korytarz.

– Co... co pan tu robi? – naskoczył na niego Raßfeld, momentalnie odzyskując kontrolę nad sobą.

– Chciałem sobie wziąć kawy – wyjaśnił Caspar i wskazał na srebrny termos obok Sophii.

– Czy nie zabroniłem panu opuszczać pokoju?

– Hm, zgadza się. Najwidoczniej zapomniałem. – Caspar złapał się za głowę. – Przepraszam, ale ostatnio zdarza mi się to coraz częściej.

– Ach tak, uważa pan, że to zabawne? A jeśli pojawi się nawrót i niezauważony wymknie się pan z kliniki? Wyglądał pan chociaż na dwór?

Caspar podążył za ruchem ręki Raßfelda w stronę okna.

– Piętrzą się tam dwumetrowe zasy. Bachmann nie uratuje pana po raz drugi.

Ku zaskoczeniu Caspara Sophia stanęła po jego stronie.

– To moja wina – odezwała się zdecydowanym tonem. Wzięła teczkę i wyszła z kuchni. – Ja mu na to pozwoliłam, panie profesorze.

Caspar starał się nie okazać zdumienia. W rzeczywistości Sophia zażądała od niego zupełnie czego innego. Miał informować pielęgniarki, nawet gdy chciał wyjść tylko do toalety.

– Jeśli to prawda... – Raßfeld wyjął z kieszeni kitla chusteczkę z materiału i zagniewany otarł pot z czoła – ...to niniejszym zawieszam tę decyzję.

Z ponurą miną przecisnął się między nimi.

To jeszcze nie koniec, zawisło w powietrzu, gdy profesor bez słowa skierował się do windy.

Wyraz twarzy Sophii rozluźniał się z każdym kolejnym krokiem, jaki ich od niego dzielił. Gdy w końcu zniknął za zakrętem korytarza, odetchnęła z ulgą.

– Proszę pójść ze mną. Musimy się pospieszyć – powiedziała po krótkiej przerwie.

– Dlaczego? – Caspar szedł za nią korytarzem do swojego pokoju. – Przecież już mieliśmy dziś sesję.

– Tak, ale ma pan gościa.

– Gościa? Kogo?

Sophia odwróciła się do niego.

– Kogoś, kto być może wie, kim pan naprawdę jest.

Caspar stanął jak wryty.

– Kto to?

– Zaraz sam pan zobaczy.

Jego tętno przyspieszyło, chociaż szedł znacznie wolniej.

– Czy Raßfeld o tym wie?

Lekarka ściągnęła zdziwiona brwi i spojrzała na niego podejrzliwie. Jej świdrujący badawczy wzrok przypomniawszy mu pierwsze świadome sekundy na oddziale intensywnej terapii. Obudził się i zobaczył przed sobą wizerunek obcego mężczyzny, który odbijał się w błękitnych oczach Sophii. Z początku jego uwagę odwróciły drobne plamki w kolorze bursztynu, które niczym kamyki na dnie przejrzystego jeziora dodawały jej źrenicom dodatkowej głębi.

– Kim pan jest? – spytała go ciepłym głosem, w którym pomimo całego profesjonalizmu wyczuwalna była szczerą troską.

To było jego pierwsze wspomnienie. Od tego czasu żyje wyłącznie w teraźniejszości.

– Myślałem, że profesor nie chce, żeby mnie pani za wcześnie skonfrontowała z prawdą? – spytał.

Sophia przechyliła delikatnie głowę w bok i wpatrywała się w niego intensywnie.

– A mnie się wydaje, że zapomniał pan swojej kawy –

odpowiedziała wreszcie, starając się ukryć uśmiech. Ponieważ jej się to nie udało, znów się odwróciła i otworzyła drzwi do jego pokoju.

Godzina 18.17

– To co tam mamy?

Wychylił się do przodu, siedząc w wygodnym klubowym fotelu. Tak samo jak łóżko, szlachetna wykładzina i jasne zasłony również i ten mebel bardziej pasował do jakiegoś zamkowego hotelu w Anglii niż do kliniki psychiatrycznej.

– Poznaje go pan?

Niczego bardziej nie pragnął. Caspar tak bardzo tego chciał, że o mało nie skłamał i nie potwierdził, aby tylko nie być już dłużej samotny. Zrozpaczony próbował przypomnieć sobie jakieś wydarzenie, patrząc w prawe oko nietypowego gościa. Lewego nie miał. Najprawdopodobniej ktoś je wyłupił, o ile dobrze interpretował bliznę.

W przeciwieństwie do niego pies wydawał się nie mieć żadnych wątpliwości. Kędzierzawy mieszańiec prawie udusił się własnym ziajaniem z radości ponownego spotkania.

– Nie wiem – westchnął Caspar, biorąc w dłonie grubą łapę, spoczywającą na jego kolanie. Piaskowy kłębek sierści przed nim miał wielkie problemy z utrzymaniem równowagi na tylnych łapach, ponieważ tak szybko machał ogonem.

– Ani trochę?

Sophia stała bezpośrednio przed nim, trzymając jego akta obiema rękami, i patrzyła pytająco na niego i psa. Górny guzik w jej bluzce rozpiął się i zabłysnął wisiorek wielkości monety na srebrnym łańcuszku.

– Naprawdę nie wiem – powtórzył Caspar, starając się nie gapić dłużej na perłowy amulet, żeby przypadkiem nie zrozumiała opatrzenie jego spojrzenia. Westchnął ponownie.

Każdego dnia konfrontowali go z nowymi fragmentami z przeszłości. Nie chcieli działać pochopnie, żeby nie sprowadzić jego myśli na zły tor, gdzie mogliby ugrzęznąć albo zostać z niczym. Nazywał to „terapią puzzlową”. Stopniowo odkrywano przed nim kawałek po kawałku, a on coraz bardziej czuł się jak nieudacznik, bo nie potrafił sklecić z nich całości.

Najpierw pokazali mu jego brudne ubranie.

Potem pognieciony bilet kolejowy na trasie Hamburg—Berlin, pierwsza klasa, podróż w obie strony, dla dwóch osób. Widniała na nim data trzynastego października ubiegłego roku. Ten jedyny dokument z jego portfela oraz krwiak nad prawą skronią, który zdążył już stęchnąć, świadczyły o tym, że padł ofiarą rabunku.

– Gdzie go znaleźliście? – zapytał.

– Na wjeździe. Wygląda na to, że zawdzięcza mu pan życie. Bachmann bardzo lubi objeżdżać dżipem cały teren, kiedy Raßfelda tu nie ma. Gdyby psiak nie stanął mu na drodze i nie zaczął szczekać, na pewno nie zatrzymałby się w środku trasy i mógłby pana nie zauważyć. Było już dosyć ciemno, a pan leżał na skraju jezdni.

Sophia uklękła i pogłaskała psa, który zaczął lizać

przypiętą do fartucha plakietkę z jej nazwiskiem.

– Gdzie go trzymaliście przez te wszystkie dni?

Oboje tarmosili teraz miękką sierść. Oceniał, że psiak ma najwyższy rok.

– U dozorczy. – Sophia zaśmiała się. – Bachmann powiedział, że nie obchodzi go, o czym pan sobie przypomni. Mam pana poinformować, że nie zamierza już oddać Mister Eda. Zamiast niego może pan wziąć ze sobą do domu jego żonę.

– Mister Ed?

Wzruszyła ramionami.

– Leciał kiedyś w telewizji serial o gadającym koniu, który się tak wabił. Bachmann uważa, że ten pies ma tak samo smutne spojrzenie. I że jest o wiele mądrzejszy.

Podniosła się z kolan.

– Czy Mister Ed wyzwala w panu jakiekolwiek emocje?

– Tak, oczywiście. Jest uroczy. Ale może ja lubię wszystkie zwierzęta? Nie jestem pewien.

– No dobrze... – Sophia przekartkowała akta. – A co powie pan o tym?

Kiedy pokazała mu zdjęcie, poczuł się, jakby go spoliczkowała. Twarz go paliła i stracił czucie w całej prawej połowie twarzy.

– Skąd pani...?

Zamrugnął, ale i tak nie udało mu się powstrzymać małej łzy, która powoli spłynęła mu po policzku.

– Czy wy je... To znaczy... – zająknął się i pociągnął nosem.

– Tak – uprzedziła Sophia jego pytanie. – Bachmann znalazł je dopiero dziś rano, gdy odgarniał śnieg. Musiało wypaść panu z kieszeni, a my tego nie

zauważyliśmy.

Podala mu powiększony kolorowy wydruk.

– I? Poznaje ją pan?

Kartka w dłoniach Caspara zaczęła drżeć.

– Tak – wyszeptał, nie podnosząc wzroku. – Niestety.

– Kim ona jest? – spytała Sophia.

– Nie... nie jestem pewny. – Czubkami palców pogłaskał znamię nad kością policzkową małej dziewczynki. – Nie znam jej imienia.

Podniósł twarz i zmusił się do spojrzenia Sophii prosto w oczy.

– Ale wydaje mi się, że ona gdzieś tam na mnie czeka.

Godzina 18.23

Mister Ed położył łeb pomiędzy grube łapy. Leżąc płasko na brzuchu, wyglądał jak mały dywanik. Zdradzały go jedynie sterczące uszy, którymi uważnie nasłuchiwał.

– Pańska córka? Dlaczego mówi mi pan o tym dopiero teraz? – zapytała Sophia, gdy tylko skończył opowiadać tajemniczą wizję, która nawiedziła go w pokoju Grety.

Mała dziewczynka. Jej przymykające się oczy. Jej nieme błaganie.

– Pierwszy raz przydarzyło mi się coś takiego. I sam nie wiem, czy było to prawdziwe wspomnienie, czy może raczej tylko jakiś koszmar.

Wrócisz zaraz, prawda?

Caspar potarł zmęczone oczy.

– I wyglądała na chorą? – pytała dalej Sophia.

Nie. Gorzej.

– Może tylko spała? – odpowiedział mało przekonująco.
– Jej ruchy były nagłe, niekontrolowane, jak u kogoś, kto niespokojnie śni. Ale...

– Co ale?

– Wydawała mi się tak lekka, że miałem ochotę ją przytrzymać, żeby nie uniosła się pod sufit jak balon napełniony helem. Jakby ktoś pozbawił ją wszystkiego, co stanowi osobowość, pozostawiając jedynie bezduszne opakowanie. Rozumie pani?

– Często pan tak mówi – stwierdziła Sophia.

– Jak?

– „Rozumie pani?” Bardzo często używa pan tego zwrotu, kiedy rozmawiamy. Przypuszczam, że pana zawód polega na wyjaśnianiu laikom złożonych procesów, jak nauczyciel, rzeczoznawca, prawnik albo ktoś podobny. Ale nie chciałam panu przerywać. Przypomina pan sobie, gdzie dokładnie leżała ta dziewczynka?

– Na łóżku albo noszach. Takie miałem wrażenie.

– Jak wyglądał pokój?

– Był jasny, miał dwa duże okna, do środka wpadały promienie słońca.

– Byliście tam sami?

– Trudno powiedzieć. Nie wyczuwałem obecności nikogo, kto ją...

Kto ją co? Torturował, zgwałcił, otruł?

– Byliście tam tylko pan i ta dziewczynka? – spytała Sophia.

– Tak. Leżała przede mną. Oddychała niespokojnie, włosy sprawiały wrażenie przeпоconych, a powieki

drżały.

– Może to były skurcze po ataku epileptycznym?

– Może.

Albo trucizna, szok, tortury...

– I mimo to rozmawiała z panem?

– Nie, nie było bezpośredniej komunikacji. Nie słyszałem jej, tylko czułem.

– Telepatycznie?

Caspar pokręcił energicznie głową.

– Wiem, do czego pani zmierza. Ale to nie był sen z elementami paranormalnymi. Chyba że zaliczy pani do nich ojcowską miłość. Trzymałem moją córkę za rękę i czułem, co chce mi powiedzieć.

Tak bardzo się boję. Proszę pomóż mi...

– Wydaje mi się, że ciągle jest zamknięta gdzieś tam przez kogoś, kto zrobił jej coś złego, a ja powinienem raczej sprowadzić pomoc, zanim jej stan pogorszy się jeszcze bardziej.

– Były tam kraty? – zapytała Sophia, wchodząc mu w słowo.

– Słucham?

– Kraty? W oknach? Powiedział pan, że wpadały przez nie promienie słońca.

Caspar zamknął oczy i spróbował jeszcze raz przywołać to wspomnienie. *Tak bardzo się boję. Proszę pomóż mi...*

Jasne pomieszczenie nie przypominało mu ani więzienia, ani kryjówki.

– Trudno powiedzieć. – Wzruszył ramionami.

– Cóż, kimkolwiek jest ta dziewczynka... – powiedziała Sophia cicho, ale stanowczo – ...nie powinien się pan już o nią za bardzo martwić.

– Jak to?

– Zdjęcie małej wysłaliśmy funkcjonariuszom, którzy pracują nad pańską sprawą. Twierdzą, że nie ma żadnych pasujących informacji o zaginionych.

Sophia odgarnęła za ucho przypominający znak zapytania kosmyk włosów. Caspar zaśmiał się smutno.

– A o czym to świadczy? Mnie też nikt nie szuka, jeśli wierzyć policji. A mimo to jestem tutaj. Nie może mi więc pani zagwarantować, że moja córka... – zawahał się, szukając odpowiednich słów – ...że ta dziewczynka nie jest w niebezpieczeństwie. Chodzi mi o to, że ona... Obiecałem, że po nią wrócę.

Po krótkiej przerwie dokończył cicho:

– Gdziekolwiek miałyby być.

– No dobrze. – Sophia przeglądała akta. – W takim razie powinniśmy jednak poinformować o tym opinię publiczną.

– Ma pani na myśli prasę?

Przytaknęła.

– Tak. I to nawet jeśli Raßfeld pójdzie na barykady. On nie chciał, żebym nawet pokazała panu zdjęcie tej dziewczynki. Ale wydaje mi się, że nadszedł odpowiedni czas.

– Zgadzam się – powiedział Caspar bez chwili namysłu. Ciągłe utrzymywanie go w niewiedzy razem z zarządzoną przez Raßfelda izolacją kliniki wydały mu się coraz bardziej podejrzane. Dla profesora był wdzięcznym obiektem badań, ponieważ według Sophii pacjenci z całkowitą amnezją trafiają się tu bardzo rzadko. Tylko z tego powodu w ogóle pozwolono mu zostać w tej luksusowej klinice. Raßfeld chciał naukowo

udokumentować jego chorobę, a to najwidoczniej niosło ze sobą warunek, że proces poznawczy ma się dokonywać niejako od środka, a nie pod wpływem czynników zewnętrznych. Z tego powodu psychiatra nie dopuścił nawet do rozmowy z policją.

– Jeśli o mnie chodzi, to dziennikarze mogą przyjść w każdej chwili – powiedział Caspar, chociaż zdawał sobie sprawę, że jak tylko jego zdjęcie pojawi się we wszystkich gazetach, natychmiast zostanie przeniesiony. Dla prominentnych pacjentów, uzależnionych od narkotyków albo cierpiących na depresję, którzy zaszli się w klinice Teufelsberg, anonimowość i spokój miały największe znaczenie. Ekipa telewizyjna przed głównym wejściem była więc czymś absolutnie niepożądanym.

– Dobrze, zajmę się tym. Jest jeszcze jedno... – Sophie uniknęła jego spojrzenia.

– Co?

– Kiedy rozpocznie się medialne show, nie będę mogła już być przy panu. Od jutra będzie się panem zajmował Raßfeld osobiście.

Caspar zastanowił się chwilę i wreszcie się uśmiechnął.

– Ależ oczywiście, rozumiem. Życzę pani wesołych świąt, Sophie.

Spojrzała na niego i pokręciła ze smutkiem głową.

– Nie. Nie ze względu na święta. Dziś jest mój ostatni dzień.

– Aha.

– Kończę z tym.

– Ooo.

Poczuł się nagle jak głupek, który nie potrafi mówić całymi zdaniem. A więc to dlatego mogła bez obaw

zignorować polecenia szefa kliniki. Chciała od niego odejść.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Nie, proszę – odpowiedziała, ściskając jego dłoń, co jeszcze bardzo skomplikowało całą sytuację.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ona była jedynym powodem, dlaczego się dotychczas jeszcze nie spakował i sam nie udał się na poszukiwania własnej tożsamości. Podczas tych niewielu sesji Sophia stała się czymś w rodzaju kotwicy, zarzuconej głęboko w jego świadomości. A teraz chciała przeciąć linę.

– Czy ma to coś wspólnego z profesorem Raßfeldem? – zapytał, chociaż wiedział, że tym pytaniem opuszcza układ pacjent–terapeutka, wchodząc w sferę prywatną.

– Nie, nie.

Wsunęła zdjęcie dziewczynki z powrotem do teczki i usiadła przy małym sekretarzyku pod ukośnym oknem w dachu.

– No, dobrze.

Po uzupełnieniu papierów o ostatnie notatki Sophie zamknęła teczkę i z lekkim westchnieniem wstała z miejsca. Caspar wyczuwał jej niepewność, kiedy się zastanawiała, czy na pożegnanie podać mu rękę, czy go objąć. Z zakłopotaniem skubała wskazujący palec prawej ręki, odeszła krok na bok i zawiesiła wzrok na stoliku nocnym.

– Ale musi mi pan obiecać, że będzie pan regularnie brał krople do oczu, nawet jeśli od jutra nie będę już tego kontrolować, zgoda?

Wzięła małą plastikową buteleczkę i potrząsnęła nią. Caspar nosił szkła kontaktowe. Kiedy go znaleźli,

soczewki były przyklejone do źrenic jak wyschnięte kawałki gumy do żucia – obok wyziębienia kolejny dowód na to, że musiał leżeć przy drodze przez dłuższy czas.

– Chyba już ich nie potrzebuję – zaprotestował.

– Ależ potrzebuje pan, zapewniam. To jest jak z maścią. Nie można odstawić jej tylko dlatego, że podrażnienia minęły.

Sophia klepnęła w skraj łóżka, a on posłuchał ją i usiadł obok niej. Starał się utrzymać przyzwoity dystans, ale sama przysunęła się bliżej. Teraz to on unikał jej wzroku. Od czasu, kiedy narodził się na nowo przed kilkoma dniami, nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do widoku obcego człowieka, odbijającego się w jej oczach.

– I jak pani sądzi? Czy ta dziewczynka na zdjęciu to moja córka? – spytał, podczas gdy Sophia odkręciła buteleczkę z kroplami do oczu. – Czy ona jest w ogóle do mnie podobna?

Wstrzymała przez chwilę oddech, by w końcu wydusić.

– Trudno powiedzieć w tym wieku.

Caspar czuł, że bardzo się stara, aby nie odebrać mu pierwszego wspomnienia ani ostatniej nadziei.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Każdy chciałby mieć tak słodkie dziecko. Ale świadomość, że ona miałaby czekać właśnie teraz na ojca, rozdziera mi serce jako matce.

Spojrzał na jej dłonie.

– Matce?

Nie zauważył żadnej obrączki. Jedyłą biżuterią, którą nosiła, był delikatny łańcuszek z perłowym wisiorkiem na szczupłej szyi.

– No cóż, powiedzmy, że starałam się nią być dla Marie,

ale sromotnie poległam. – Jej głos nabrał smutnego brzmienia, które kilkakrotnie już słyszał podczas sesji terapeutycznych. Jednak nigdy tak wyraźnie jak teraz.

– Za dużo pracowałam i zaniedbywałam córkę. Dlatego tak łatwo mi ją odebrał.

A więc to o to chodzi, pomyślał Caspar. Dlatego czuję się z nią związany. Mamy coś wspólnego.

– Kto ją pani zabrał? – spytał łagodnie.

– Mój były mąż. Udało mu się doprowadzić do tego, że nie wolno mi się z nią kontaktować.

– Jak? – Ugryzł się w język, ale za późno. Krótkie pytanie było na tyle niedyskretne, że przypomniało jej, że nie ma żadnego prawa grzebać w jej prywatnym życiu.

– Powiedzmy, że ma swoje metody – odpowiedziała zwięźle, ocierając rękawem policzek. – Niech to szlag. – Odchrząknęła. – Jednak się wygadałam.

– Możemy o tym porozmawiać – spróbował jeszcze raz.

Sophia wyjęła pipetkę.

– Nie. Błędów nie naprawi się gadaniem. Trzeba działać. Dlatego kończę z pracą tutaj. Muszę się przygotować.

– Co pani zamierza?

– Będę walczyć. Niedługo mam ważną rozprawę sądową. Proszę trzymać za mnie kciuki.

– Na pewno będę. – Caspar spojrział na nią, starając się dodać jej otuchy. – Kto wie, może okaże się jeszcze, że jestem prawnikiem i do tego specjalistą od prawa rodzinnego, byłoby nieźle, co? – Zaśmiał się. – Miałbym okazję zrewanżować się za dobrą opiekę.

– Tak, kto wie. – Uśmiechnęła się smutno. – Teraz proszę odchylić głowę do tyłu.

Posłuchał jej. Kiedy Sophia pochylała się nad nim,

kosmyk włosów znów uwolnił się z za jej ucha. Caspar miał nadzieję, że go delikatnie połechce, tak jak robiły to od dłuższego czasu jej delikatne perfumy.

Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko siebie, pomyślał, kiedy spotkały się ich spojrzenia. Na końcu pipetki pojawiła się pierwsza kropla.

W tym momencie Mister Ed zwiertzył niebezpieczeństwo. Zerwał się z podłogi, przeskoczył przez łóżko do okna i zaczął szczebrać w stronę ukośnej szyby. Instynkty ostrzegły go wcześniej, niż zrobiła to fala dźwiękowa. Teraz dopiero i oni usłyszeli usłyszeć odgłos uderzenia. A po nim metaliczny zgrzyt. A potem, przez krótką przerażającą chwilę, Casparowi wydawało się, że usłyszał, jak na podjeździe coś żywego zostało rozerwane na dwie części.

Godzina 18.31

Zastanowił się przez chwilę, czy powinien pójść za Sophią, która w pośpiechu wyszła z jego pokoju razem z Mister Edem na smyczy. Coś się tam stało. Najprawdopodobniej jakiś wypadek.

Podszedł bliżej do ukośnego okna w dachu, ale stąd nie był w stanie czegokolwiek rozpoznać. W ciągu dnia z górnego piętra willi można było rozkoszować się zapierającym dech w piersiach widokiem zalesionego rezerwatu przyrody, który rozciągał się aż do dzielnicy luksusowych willi. Ciemność i opady śniegu z deszczem

dawno już pochłoneły jednak betonowoszare zimowe popołudnie, więc sztuczne źródło światła sprawiało jeszcze groźniejsze wrażenie. Czerwono-niebieskie błyski pojawiały się w regularnych odstępach pomiędzy drzewami, które ciągnęły się wzdłuż drogi od doliny aż do samego wejścia kliniki Teufelsberg.

Caspar otworzył okno i wychylił się. Śnieg padał coraz mocniej. Usłyszał najpierw monotony warkot silnika, a później otwierające się cztery piętra niżej drzwi do głównego wejścia i dwóch mężczyzn wyszło na mróz.

– Widział pan, co się stało? – Rozpoznał głos kierownika kliniki. Raßfeld stał poza niezbyt rozległym stożkiem światła, padającym z wewnątrz budynku, ale jego głosu nie można było pomylić.

– Nie, właśnie zrobiłem sobie przerwę – odpowiedział Bachmann. – Byłem w bibliotece. Wie pan. Odniosłem książkę o retoryce, którą mi pan polecił.

Retoryka? – zdziwił się Caspar.

Zazwyczaj dozorca przy każdej okazji starał się rozweselić pacjentów jakimś głupim dowcipem. W obecności Raßfelda miał głos speszonego uczniaka, który spóźnił się do szkoły i nie miał usprawiedliwienia od rodziców.

– Cholerna gołoledź – mruknął profesor ponuro. – Czy ktoś jest ranny?

– Trudno powiedzieć. Leży w poprzek wjazdu. Kamery nie obejmują całego placu.

Wiatr wtłoczył rój mokrych płatków śniegu do pokoju Caspara, całkowicie odbierając mu możliwość zobaczenia czegokolwiek.

– I jak my teraz zejdziemy na dół?

W tym momencie okno zatrzęsęło się z hukiem Casparowi przed nosem. Caspar odwrócił się raptownie i zobaczył Linusa, stojącego w drzwiach. Muzyk sprawiał wrażenie jednocześnie przestraszonego, zmieszanego i zaciekawionego, jakby właśnie odkrył, że posiada zdolności telekinetyczne, dzięki którym mógł zamknąć okno.

– To tylko wiatr – uspokoił go Caspar. – Co się dzieje?

– Szny padek – wymamrotał cicho Linus. – Asamazepty!

Linus, stały pacjent kliniki, nie tylko żył we własnym świecie, ale komunikował się też w wymyślonym przez siebie języku.

Przez lata mylił własną głowę z mikserem do koktajli, który na zmianę, a to przez usta, a to przez nos, trzeba karmić niewyczerpanymi zapasami tabletek, drinków i prochów. Nikt nie potrafił dokładnie stwierdzić, który narkotyk w końcu przełączył mikser na maksymalne obroty, ale po tym jak piosenkarz został reanimowany za sceną, nie potrafił już nawet ułożyć odpowiedniego szyku zdania. Nawet same litery mu się plątały.

– Wypadukur, yaspomin – powiedział ze śmiechem. O ile „szny padek” Caspar zdołał jeszcze odszyfrować jako „straszny wypadek”, to jednak przy tych słowach był bezradny.

Po minie Linusa można było odnieść wrażenie, że ucieszył się z nieoczekiwanego zdarzenia, które było jakąś odmianą. Jednak w jego przypadku lepiej było nie wnioskować z zewnętrznych oznak o stanie jego ducha. Kiedy Caspar ostatni raz słyszał śmiech muzyka, przywiązywano go akurat do łóżka. Chodziło o to, żeby w psychotycznym napadzie znowu nie zaczął sobie

wyrywać garściami włosów, żeby je zjeść.

– Idziemy zobaczyć? – spytał Caspar, a Linus popatrzył na niego przez chwilę, jakby nigdy wcześniej w życiu nie usłyszał większej obelgi. Potem znów się roześmiał i wybiegł z pokoju niczym rozbrykany uczeń. Caspar wzruszył tylko ramionami i podążył za nim.

Godzina 18.39

Linus zwinął mu windę tuż sprzed nosa, dlatego Caspar wybrał starodawne drewniane schody, które jak liana wiły się wokół szybu windowego. Wytarte stopnie trzeszczały przy każdym kroku, a ponieważ Caspar był w samych skarpetach, czuł się jak nastolatek, który nocą wymyka się z domu rodziców.

Czy ja też tak robiłem? Czy może raczej byłem grzecznym chłopcem, który zawsze punktualnie wracał do domu?

Od kilku dni w każdej wolnej minucie próbował znaleźć w katedralnej pustce swego umysłu odpowiedzi na najprostsze pytania. Jak nazywał się jego pierwszy pluszak? Czy był lubiany w szkole, czy raczej uważano go za samotnika? Jaki samochód stoi w jego garażu? Jaka była jego ulubiona książka? Czy miał jakąś piosenkę, której słuchał przy specjalnych okazjach? Kto był jego pierwszą miłością? Największym wrogiem? Nie potrafił tego powiedzieć. Jego wspomnienia były jak meble w opuszczonym mieszkaniu, które poprzedni właściciel dokładnie okrył ciężkimi prześcieradłami. Jeszcze do wczoraj robił wszystko, żeby ściągnąć tę

osłonę przed kurzem ze wszystkich znaków zapytania. Od dziś bał się, że pod nią może się kryć jakaś przerażająca prawda.

Tak bardzo się boję. Ale wrócisz zaraz, prawda?

Gdy Caspar pogrążony w przygnębiających rozmyślaniach dotarł na parter, Linusa tam nie było. Zamiast niego wyszła mu naprzeciwko Yasmin Schiller.

– Tak, tak, załatwię to. A kto inny miałby się tym zająć?
– skomentowała poirytowana młoda pielęgniarka uwagę Raßfelda, stojącego kilka kroków od niej w recepcji, gdzie urzędował Bachmann.

Niezadowolenie z tego, że szef znów degraduje ją do roli chłopca na posyłki, bardzo wyraźnie malowało się na jej twarzy. Kiedy przechodziła obok Caspara, dwie trzecie jej twarzy zasłonił balon z nadmuchianej gumy do żucia. Nawet się z nim nie przywitała.

– *To moja przejściowa robota. Jestem śpiewaczką, a nie jakąś nianią dla psychicznych* – wyjaśniła mu już drugiego dnia, widocznie zadowolona, że nie musi mu pomagać przy sikaniu. Rzeczywiście nijak nie pasowała do tego miejsca, z ufarbowanymi na czerwono włosami, kolczastym pierścieniem na kciuku i wiecznie złym humorem. Caspar domyślał się już, dlaczego Raßfeld znosi ją w swoim elitarnym towarzystwie mimo kolczyka w języku i różnych tatuaży. Yasmin kochała swoją pracę. Była dobra w tym, co robi, ale nie chciała, żeby ktokolwiek to zauważył.

W drodze do recepcji stopy Caspara tonęły w miękkim dywanie, rozłożonym na całym korytarzu. Miał on dawać nowo przybyłym poczucie domowego klimatu, zupełnie innego niż w typowych klinikach z podłogą z

antyseptycznego linoleum. To samo odnosiło się do pomieszczenia recepcji. Dirk Bachmann kochał Boże Narodzenie. Chociaż małżeństwo nie przyniosło mu dotychczas potomka, rodzinne święta celebrował z maniakalnym oddaniem, jakby przyznawano za to jakieś nagrody. Częściowo przeszkłone pomieszczenie obok głównego wejścia zagracił taką ilością świętych mikołajów, złotych aniołków, światełek, figurek i domków z piernika, że nietrudno było przegapić ciężką od lamety choinkę, wciśniętą między metalowe biurko a szafkę na klucze.

– Panie profesorze...? – odezwał się cicho Caspar, żeby nie przestraszyć kierownika kliniki. Ale Raßfeld i tak się wzdrygnął.

– Znowu pan? – W jego spojrzeniu pojawiło się poczucie winy, które jednak szybko się ulotniło. – Sądzę, że wyraziłem się wcześniej wystarczająco wyraźnie. Pana miejsce jest w łóżku.

Tak samo jak pana, pomyślał Caspar, starając się nie patrzeć na niemal czarne sińce pod oczami szefa kliniki.

– Pozostali bardzo się denerwują – skłamał Caspar. Tak naprawdę oprócz niego pacjentami kliniki byli w tym momencie tylko Greta i Linus. Podczas gdy starsza pani miała telewizor odkręcony na cały regulator i oglądała popołudniowy program, wyglądało na to, że muzyk stracił już wszelkie zainteresowanie najnowszymi wydarzeniami. W każdym razie na dole nie było po nim ani śladu.

– Co tam się stało?

Raßfeld zawahał się, pokręcił z niechęcią głową i wskazał monitor. Najwidoczniej miał nadzieję, że

najszybciej pozbędzie się Caspara, jeśli odpowie przynajmniej na jedno z jego pytań.

– Jakaś karetka wpadła w poślizg na podjeździe, staranowała telefoniczną szafkę rozdzielczą i przewróciła się na bok.

Caspar spojrział przelotnie na mrugający obraz. Więc to są te światła, które pojawiły się między drzewami. Niebieskie światło koguta ciągle jeszcze błyskało na dachu karetki.

Skoro wjazd jest monitorowany, to powinno być nagranie, na którym widać, jak się tu znalazłem, pomyślał. Zdecydował jednak, że nie jest to najlepszy moment, aby zwrócić się z tym do Raßfelda.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał zamiast tego.

Dziś wieczorem klinika miała małe obłożenie. Ponieważ było w niej tylko troje pacjentów, wszyscy lekarze z wyjątkiem Sophii wzięli wolne. Wielkiej fali świątecznych depresji spodziewano się dopiero jutro po południu. W ostatniej chwili. Wtedy, gdy perspektywa kolejnej samotnej Wigilii staje się nie do zniesienia pewna.

– Nie dziękuję. Na razie nie trzeba. – Raßfeld zmusił się do ironicznego uśmiechu. – Na razie jakoś sobie radzimy. Pani doktor Dorn i pan Bachmann zjechali właśnie na dół pługiem śnieżnym.

Jakby na dowód na obrazie z kamery pojawiła się najpierw Sophia i chwilę później dozorca.

– Inaczej nie da się dostać przy takim lodzie na dół, nie mówiąc już o powrocie.

Radiotelefon stojący w stacji ładującej przy monitorze zatrzeszczał i wydobył się z niego głos Bachmanna.

– Wydaje mi się, że jest tylko jeden.

Raßfeld podniósł mrugające walkie-talkie.

– Jest ranny?

– Trudno powiedzieć – odezwała się Sophia. – Podejrzewam, że kierowca doznał szoku. Siedzi przy roztrzaskanej rozdzielni telefonicznej. Chwileczkę...

Caspar nie widział już nic więcej na monitorze, bo plecy Raßfelda zasłoniły mu widok.

– Cholera, tu jest ktoś jeszcze – mówiła dalej Sophia. – To był przewóz pacjenta!

Caspar wspiął się na czubki palców.

Boczna szyba karetki z mlecznego szkła była rozbita i o ile się nie mylił, właśnie zobaczył czyjąś bezradnie machającą zakrwawioną dłoń.

Raßfeld cofnął się o krok, przestraszony.

– Proszę przywieźć ich tu na górę – polecił.

– Hm, no nie wiem. Czy nie powinniśmy raczej...?

– Co? – naskoczył Raßfeld na Sophię. – Sprowadzić śmigłowiec? Zadzwoić po straż pożarną? Wie pani równie dobrze jak ja, że karetka zniszczyła skrzynkę rozdzielczą.

A na terenie kliniki telefony komórkowe nie działają.

Casparowi zaschło w gardle i musiał odkaslnąć, jakby zadławił się własną myślą. Ta okolica była ostatnią białą plamą na mapach zasięgu operatorów komórkowych. Raßfeld widział jednak w tej lokalizacji niemałą korzyść, ponieważ chronił w ten sposób pacjentów od negatywnych wpływów świata zewnętrznego.

Radiotelefon znów zaczął migać.

– Dirk otworzył drzwi i jestem teraz przy pacjencie, żeby, o nie... Wielki Boże!

– Co? Co się dzieje? – Raßfeld gapił się w monitor,

próbując rozpoznać cokolwiek.

– Przepraszam, w szyi pacjenta tkwi nóż.

– Czy on jest martwy?

– Nie, tchawica została przecięta, ale jest świadomy i oddycha regularnie. Tylko...

– Tylko co? – dopytywał się Raßfeld skrajnie poirytowany, dając Casparowi znak ręką, żeby wreszcie stąd zniknął.

– Nie uwierzy pan, kto to jest.

Godzina 18.56

Wróciła Yasmin i na szorstkie polecenie Raßfelda odprowadziła Caspara z powrotem do jego pokoju, gdzie na biurku czekała już na niego taca z kolacją. Kucharka, Sybille Patzwalk, jak zwykle zadała sobie więcej trudu na udekorowanie posiłku niż na samo gotowanie. Złożony z lnianej serwetki łabędź pochylał się nad ciężkimi srebrnymi sztućcami, talerz zupy ozdobiony był pietruszką, a obok szklanki z wodą leżała biała orchidea. Caspar zdjął serwetkę z koszyka z pieczywem i w tym samym momencie odezwał się w nim raptowny głód, jak wartowniczy pies, który nagle zwęszył trop. Dopiero teraz skojarzył, że od wielu godzin nie miał nic w ustach.

Ledwo zdążyć ugryźć pierwszy kęs, gdy usłyszał za oknem warkot przypominający kosiarkę, który zagłuszył burczenie w jego brzuch. Odłożył bagietkę i podszedł do uchylonego okna w dachu. Śnieg z deszczem zmienił się w grube płatki śniegu, które zaczęły zbierać się przy dolnej krawędzi. Wkrótce nie będzie mógł już nic zobaczyć

przez szybę. Już teraz nie mógł dostrzec śnieżnego pług, którym Sophia i Bachmann przywieźli ofiary wypadku do kliniki.

Caspar uchylił lekko okno. Zimno, które go uderzyło, było tak intensywne, że miał wrażenie, jakby zamarzyły mu łzy w oczach.

Co ja tu robię? – przemknęło mu przez głowę. Oddech, który buchał mu z ust niczym dym z papierosa, przypomniał mu o zapachu dymu, który zdawało mu się, że poczuł w pokoju Grety, gdy nagle wróciło do niego wspomnienie o chorej dziewczynce.

Ale wrócisz zaraz, prawda?

Zamknął okno, poszedł na środek pokoju, obrócił się wokół własnej osi i poczuł, jak wewnętrzny niepokój przekracza poziom krytyczny. Dzięki temu dowiedział się o sobie czegoś, co było niemal ważniejsze niż jasne wspomnienie. Otóż nie leżało w jego naturze, żeby beczynn timer na coś czekać. Ta świadomość miała większe znaczenie niż wiele innych cech, które w ostatnich dniach odkrył w sobie, jak na przykład to, że zegarek nosi na prawej ręce, że z zasady soli jedzenie, zanim weźmie pierwszy kęs, albo że ma problemy z odczytaniem własnego odręcznego pisma.

Fakt, że wszystko w nim krzyczało, żeby natychmiast opuścić tę klinikę, świadczył również o tym, że łatwo potrafił dać sobie coś wmówić. Wolał czekać na cudowne ozdrowienie, zamiast wziąć sprawy w swoje ręce. W rzeczywistości jednak ukrył się nie w samej klinice, ale w miejscu, gdzie nikt nie mógł go znaleźć. W sobie.

Caspar otworzył szafę. Jedynie cztery z ośmiu wieszaków były zajęte. I to też tylko dlatego, że

marynarkę i spodnie powiesił oddzielnie. Nie będzie więc miał dużego bagażu, kiedy dziś wieczorem się stąd ulotni.

Westchnął, rozkładając swój dobytek na łóżku. Większość rzeczy pożyczyła mu klinika albo Sophia kupiła na mieście, żeby przynajmniej miał coś na zmianę. Kilka par skarpetek i bieliznę, dwie piżamy, dres i klapki kąpielowe, przybory toaletowe oraz powieść historyczną Petera Prangego, którą właściwie powinien zwrócić do szpitalnej biblioteki.

Całe moje życie mieści się w jednym foliowym worku, pomyślał, chowając wszystko, czego nie chciał mieć na sobie, do mocnego worka na śmieci. Nie miał żadnego plecaka ani torby podróżnej, dlatego musiał się wspomóc workiem z kosza na śmieci.

Włożył czarny garnitur, który miał na sobie w dniu przybycia. Ocieplany zimowy płaszcz przerzucił przez rękę, w której trzymał worek. W drugiej ręce trzymał ciężkie sznurowane buty z cholewami. Miał zamiar włożyć je dopiero, gdy zejdzie już po drewnianych schodach.

Zatem w drogę.

Caspar zrezygnował z rzucenia ostatniego spojrzenia na przytulny pokój, zgasił światło i wyszedł na cichy korytarz z zamiarem opuszczenia kliniki na zawsze.

Godzina 19.06

Powoli skradał się na dół schodami, szczęśliwy, że klinika stoi na odludziu i nie ma prawie nikogo z

personelu, tak że nikt nie stanie mu na drodze. Ale już na pierwszym piętrze zorientował się, że wybrał najgorszy moment, aby wymknąć się niewidocznie głównym holem. Caspar wychylił się za balustradę. Z dołu doszedł do niego głośny, nieznany głos. Najprawdopodobniej kierowca karetki, który wbrew przypuszczeniom Sophii wcale nie był w szoku. Jak na to mówił zbyt płynnie.

– Jonathan Bruck, lat czterdzieści siedem, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, około dziewięćdziesięciu kilo wagi – referował mężczyzna. Jego przyjemny baryton brzmiał równie poważnie jak głos prezentera wiadomości, gdyby nie te dziwne odgłosy, które przypominały Casparowi szum ekspresu do kawy.

– Prawdopodobnie jest pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Właściciel motelu Teufelssee zadzwonił po karetkę, po tym jak sprzątaczką znalazła nieprzytomnego Brucka w pokoju.

Caspar usłyszał szcęk uchwyty metalowych noszy, których koła, jak się domyślał, właśnie zostawiały za sobą równe i długie odciski w miękkiej kremowej wykładzinie. Nagle uświadomił sobie, skąd pochodził bulgoczący szmer ekspresu do kawy. Prosto z gardła pacjenta.

– A tracheotomia? – zapytał Raßfeld, jakby szukając potwierdzenia.

– Samookaleczenie. Myślałem, że on śpi. To miał być mój ostatni kurs, chciałem go szybko odwieźć do kliniki Westend. Ale wtedy, akurat mijaliśmy wjazd do was, spojrzałem we wsteczne lustro i pomyślałem, że mam złudzenia. Ten świr wstał, wrzeszczał jak potłuczony i

dźgnął się scyzorykiem w szyję. Wcisnąłem hamulec, wpadłem w poślizg i walnąłem w transformator albo coś takiego. Resztę już pan zna.

Podczas tej relacji Raßfeld i sanitariusz szli do windy. Zatrzymali się bezpośrednio pod balustradą. Caspar znajdował się zaledwie kilka metrów nad ich głowami, tak blisko, że słyszał oddech Brucka, który sprawiał takie wrażenie, jakby ktoś przez słomkę wsysał się w ostatnią kroplę napoju z papierowego kubka.

– Byłbym wdzięczny, gdyby nie nazywał pan pacjenta „świrem” – powiedział Raßfeld, jakby osobiście został obrażony.

Caspar zamarł, ponieważ zauważył ruch blisko siebie.

Zaraz jednak zorientował się, że chodziło jedynie o refleks w szybie wielkiego panoramicznego okna wmurowanego w ścianę kilka stopni niżej. Zawierucha na zewnątrz w ciągu zaledwie kilku minut zmieniła się w prawdziwą burzę śnieżną. Słabe światło ogrodowych lamp w parku przy klinice nie miało większych szans z płatkami śniegu wielkości monety, które wirowały w podmuchach wiatru, przypominając nieprzyjemny rój białych pszczoł zlanych w jednolitą masę. Kiedy Caspar skoncentrował się na refleksie w szybie, na ułamek sekundy pojawił się tam budzący grozę obraz: dwóch silnych mężczyzn stało po bokach noszy, na których leżała nieruchoma postać. Z szyi sterczał szwajcarski scyzoryk. Drzwi do windy otworzyły się z gniewnym skrzypnięciem, a obraz zniknął tak samo szybko, jak w nozdrza Caspara uderzył brzydki zapach. Zapach ognia. Czegoś spalonego. Dymu.

Czyżby znów zwiastuny jakiegoś wspomnienia?

Caspar cofnął się odruchowo o krok od drzwi windy, jakby wspomnienie mogło wjechać do niego w górę i rzucić się na niego wprost z kabiny. Przeszły go dreszcze. I nagle wrzasnął przerażony, dokładnie w momencie, kiedy tyłem wpadł na szczupłą postać obserwującą go ukrycie przez cały czas z ciemności.

Godzina 19.10

Mężczyzna żuł gumę i nosił cienkie skórzane rękawiczki. Zdradziły go świeżo umyte włosy. Na nic się zdało, że papierosa palił przy otwartym oknie. Dym wgryzł się w tych kilka pozostałych kosmyków na jego głowie i kiedy teraz nerwowo nią pokręcił, wokół niego rozniósł się zapach zastałego papierosowego dymu.

– Spokojnie, już dobrze. Nie nakabluję na ciebie.

W całej klinice obowiązywał bezwzględny zakaz palenia, a to, że Linus zapalił swojego papierosa akurat na piętrze ze studium fitness i spa, świadczyło dobitnie o jego poczuciu humoru.

A jednak żadne zwiastuny. Żadne wspomnienia.

– Choną, muci co pozać!

Kąciaki ust Linusa drżały i wyglądał na przestraszonego. Za bardzo przestraszonego, żeby mogło chodzić tylko o złamanie regulaminu kliniki. Machał niespokojnie rękami, jakby trenował język migowy, co wobec jego ograniczonych możliwości werbalnej komunikacji wcale nie wydało się Casparowi złym pomysłem.

– Co się dzieje? – spytał.

Zamiast odpowiedzieć, Linus złapał go za rękę, w której

Caspar trzymał worek, i pociągnął za sobą. Otworzył drzwi naprzeciwko, nad którymi wisiała tabliczka „Centrum fitnessu”. W każdym innym szpitalu nazwano by to po prostu gimnastyką leczniczą.

Caspar był tu po raz pierwszy i dlatego też nieco go zaskoczyły nowoczesne urządzenia, które stały w sali z lustrami na ścianach. Widział bieżnie, ławeczki do wyciskania i zastanawiał się, do czego mogły służyć błyszczące gumowe schodki w rogu, kiedy Linus przyłożył palec do ust i zgasił światło. Otworzył potem szklane drzwi, prowadzące na mały balkon. Nagle zrobiło się jaśniej, ale było to tylko złudzenie optyczne wywołane przez płatki śniegu, które teraz tańczyły u ich stóp, odbijając migające światła elektronicznych przyrządów do ćwiczeń.

Okay, więc tutaj chodzisz na papierosa, pomyślał Caspar i zatrzymał się. Linus znowu zaczął machać ręką. Najwidoczniej chciał, żeby wyszedł za nim dalej. Na zaśnieżony i oblodzony parkiet balkonu.

– Hej stary, widzisz to? – Caspar, kręcąc głową, wskazał na swoje nogi. – Nie wyjdę przecież w samych skarpetach na ten mróz.

– Muci co pozać – syknął Linus. Tym razem z jeszcze większą niecierpliwością. Cofnął się o krok, skinął ponownie głową do Caspara i chwilę później zniknął w ciemności.

– Wracaj! – krzyknął Caspar. *Jeszcze się tu zabijesz.* Ta myśl wywołała w nim dreszcz, jeszcze zanim zdążył ją wypowiedzieć.

I co teraz?

Nie miał czasu do stracenia. W tej chwili Raßfeld i

reszta personelu skoncentrowani byli na nowym pacjencie. Świetny moment, żeby wymknąć się niepostrzeżenie z kliniki. Ale z drugiej strony Casparowi udało się chyba wreszcie zrozumieć niemowlęcy język Linusa.

Choną, mucii co pozać – Chodź ze mną. Muszę ci coś pokazać.

Cholera. Możliwe, że Linus zaraz pobiegnie za nim, gdyby teraz go nie posłuchał, a takiego zamieszania wolałby uniknąć.

Włożył buty i zarzucił płaszcz. Żaluzje opuszczone były na dwie trzecie wysokości wyjścia, więc o dwie głowy wyższy Caspar musiał się pochylić, żeby wyjść na zewnątrz. Lodowaty wiatr uderzył w niego niczym niewidoczny strażnik, strzegący wejścia do królestwa mrozu przed nieproszonymi gośćmi. Caspar skulił się jeszcze bardziej i oplótł ramionami tors. Gzyms z lewej strony powstrzymywał częściowo zimne powiewy i śnieg, ale nie chronił przed syberyjską temperaturą. Linus też schował się przed wiatrem, znów przykładając palec do ust.

– Tadole – wyszeptał i wskazał na czerwony pług śnieżny, zaparkowany przy drzwiach wejściowych. Większa część pługa schowana była pod baldachimem przy wejściu. Jedyne ostro zakończony przód wystawał na zaśnieżoną drogę. Silnik był jeszcze ciepły, więc płatki śniegu opadające na maskę natychmiast się topiły.

– O co ci chodzi? – Caspar wychylił się do przodu, wystawiając się ponownie na podmuchy wiatru, przez co jeszcze mniej widział. Wiatr nawiewał mu śnieg prosto w

oczy. Zamrugał, pochylił głowę i zezłościł się z powodu własnego braku rozsądku. Zamiast prześliznąć się obok Bachmanna i opuścić klinikę, stał teraz w ciemności na oblodzonym balkonie razem z szurniętym pacjentem.

Już chciał się wycofać, kiedy wiatr zmienił kierunek. Caspar momentalnie odzyskał wzrok. I od razu to zauważył.

Plama. Na śniegu. Zaczynała się przy tylnej części pojazdu i ciągnęła aż do samego wejścia do kliniki. W słabym świetle ze służbówki dozorca wyglądała jak żółtozłota kałuża moczu, ale Caspar natychmiast rozpoznał, co to.

Benzyna.

Albo przewód paliwowy przerwał się sam, albo ktoś w tym pomógł.

Ale po co? Po co ktoś miałby unieruchamiać jedyny środek transportu, którym można było przedrzeć się przez hałdy śniegu?

Chciał właśnie spytać Linusa, czy wie, kto się kręcił przy pługu, kiedy muzyk wciągnął go z powrotem w cień gzymsu. W odpowiednim momencie, zanim Bachmann zdążył ich zauważyć z dołu, gdy wyłonił się nagle zza pługa.

Godzina 19.18

W zasadzie wrócił do pokoju tylko po to, żeby odczekać, kiedy dozorca wreszcie zniknie sprzed wejścia i rozpocznie obchód. Jednak dziś nic zdawało się nie przebiegać zwyczajnym torem. Caspar zdał sobie sprawę,

że jego ucieczka, jeśli w ogóle do niej dojdzie, staje się coraz trudniejsza. Utknął tu bez jakichkolwiek możliwości porozumienia ze światem zewnętrznym, a dozorca z jakiegoś powodu uszkodził pług, który miał mu posłużyć do wydostania się stąd. Wszystko jedno. I tak zjedzie na dół, nawet gdyby musiał to zrobić na foliowym worku.

Za nic nie spędzi tu kolejnej nocy. Nie tylko ze względu na koszmarne myśli, że być może pozostawił gdzieś swoją potrzebującą pomocy córkę. Ale wyczuwał też, że razem z tajemniczymi nowymi gośćmi do kliniki przedostało się coś, czemu wolałby zejść z drogi. Zagrożenie, niewidoczne tak samo jak wirus, rozprzestrzeniło się, zburzyło wieczorną rutynę małego szpitala i wygłądało nawet, co właśnie odkrył, że znalazło drogę także do jego pokoju.

Co tu się dzieje?

Caspar zwalniał kroku, im bardziej zbliżał się do drzwi. Były otwarte, a w środku paliło się światło, chociaż kilka minut wcześniej sam je zgasił.

O co chodzi, do diabła?

Z pokoju dobiegały dwa podniesione głosy. Jeden z nich należał do Sophii, która pytając, „Co pan wyrabia?“, zrobiła dokładnie to, co chciał zrobić Caspar. Bo kiedy dotarł do drzwi, też nie bardzo potrafił sobie wytłumaczyć to, co zobaczył. Dlaczego ten facet stoi w brudnych buciorach na jego biurku i wyciąga rękę pod sufit?

– Chyba właśnie miałem pole. – Młody mężczyzna roześmiał się.

Caspar rozpoznał sanitariusza po głosie, który

kompletnie nie pasował do jego postury. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie kierowcę karetki – powinien być ociężały, ze zmęczonymi oczami świadczącymi o licznych nocnych dyżurach. Tymczasem miał przed sobą wzorowy okaz yuppie, który jeśli już, to powinien prowadzić raczej jakieś modne dwuosobowe coupé niż karetkę.

– Pole? – spytała Sophia.

– No tak, wie pani, ten znaczek na ekranie tu u góry. – Sanitariusz zeskoczył z biurka i pokazał Sophii mały telefon komórkowy. – Myślałem, że tu, pod samym dachem, może będzie zasięg. Przepraszam. – Rzucił Casparowi kumpłowskie spojrzenie i zaraz spojrzął z powrotem na lekarkę.

– Drzwi były otwarte, tylko sprawdziłem, czy mam tu zasięg.

Sophia mlasnęła ledwie słyszalnie językiem i z dezaprobatą strzepnęła brud z blatu.

– Telefony komórkowe nie działają na całym obszarze kliniki, bez względu na to, jak bardzo się pan będzie wyginał. – Napięcie w postawie Sophii zdradzało, co sądziła o sanitariuszu.

Również Caspar przypatrywał się gościowi, jakby miał przed sobą potencjalnego przeciwnika w bokserskim ringu. Dzięki ogolonej twarzy i naželowanej fryzurze szczupły mężczyzna sprawiał wrażenie nad wyraz niegroźnego. Normalnie Caspar nie zawracałby sobie młodzieńcem głowy, ale nie spodobało mu się, że tamtem bez przerwy filuternie puszcza oko do Sophii.

– Proszę wrócić na dół. Pan Bachmann wskaże panu pokój – powiedziała.

Młody człowiek uśmiechnął się.

– Naprawdę pani chce, żebyśmy spędzili tu razem noc, pani doktor?

Lekarka lekko przewróciła oczami.

– Nie rozmawiajmy teraz o życzeniach, panie Schadeck. Obawiam się, że na jakiś czas tu utknęliśmy.

Zignorowała prośbę pielęgniarki, żeby mówić do niego Tom, co szczerze ucieszyło Caspara.

– Ale pański dyspozytor z pewnością przyśle kogoś do karetki, jeśli nie zamelduje się pan dziś na czas?

– Nie sądzę. – Schadeck pokręcił głową. – To był mój ostatni kurs i miałem później pojechać wozem prosto do domu. W centrali oczekują mnie dopiero jutro po południu.

Sophia wzruszyła ramionami.

– Cóż, trudno. Wydaje mi się mało rozsądne, żeby samotnie przedzierać się w ciemności przez burzę śnieżną. Według prognozy pogody jutro rano warunki mają się poprawić i ulice znów będą przejezdne. Przy dziennym świetle możemy się wybrać wtedy razem na dół.

Na dół, pomyślał Caspar, stawiając plastikowy worek przy łóżku. W ustach Sophii zabrzmiało to, jakby znajdowali się na skraju wysokiego urwiska, przyprawiającego o zawrót głowy, u którego podstawy szaleją ciemne fale oceanu.

– Zatem to nie żart? Naprawdę mam tu zostać na noc? W tym... – Wyraźnie było widać, jak trudno przychodziło Tomowi powstrzymanie się od wypowiedzenia słowa „psychiatryk”, balansującego na końcu jego języka.

– Nic pan nie musi – odpowiedziała Sophia. – Może pan spróbować. Od najbliższych budynków dzieli nas jakieś

pół godziny marszu, ale sądzę, że ten kawałek musiałby pan przejść przez las na czworakach. Przy minus siedmiu stopniach. Z tendencją spadkową.

– A co, jeśli się coś stanie?

– Co ma pan na myśli?

– Jeśli Bruck gorzej się poczuje? Jak sprowadzimy pomoc?

Pytanie Schadecka miało sens, ale Caspar podejrzewał, że sanitariuszowi chodzi o coś zupełnie innego.

– Proszę się nie martwić. Jesteśmy bardzo dobrze wyposażeni – odpowiedziała Sophia. – Wygląda na to, że nóż nie spowodował specjalnych wewnętrznych obrażeń. W najgorszym wypadku uszkodzone są struny głosowe. W tej chwili profesor opatruje ranę, a potem doktor Bruck otrzyma lekarstwa zmniejszające opuchliznę tchawicy. Kiedy się obudzi, będzie odczuwał silny ból i prawdopodobnie nie będzie w stanie nic powiedzieć, ale na pewno to przeżyje.

Doktor Bruck?

– Czy mogę pana teraz przeprosić?

Sophia skinęła głową w stronę drzwi, a Tom uśmiechnął się, jakby właśnie zaprosiła go na randkę.

– Ależ oczywiście. – Sanitariusz na pożegnanie przystawił palec do skroni. – Ale może pożyczę śnieżny pług i przynajmniej dostanę się do mojej krótkofalówki.

– Powodzenia – odezwał się Caspar, ale przemilczał sprawę kałuży benzyny, którą dopiero co pokazał mu Linus.

Sophia szła dwa kroki za Tomem i przechodząc obok Caspara, ujęła go za rękę.

– Przepraszam za zamieszanie – szepnęła i obdarowała

go smutnym uśmiechem.

Jego melancholijny nastrój zniknął, ale tylko na chwilę, ponieważ kiedy Tom odwrócił się jeszcze raz w drzwiach, wrócił z podwójną siłą.

– A może pozwoli mi pani przenocować u siebie, pani doktor? Bardzo boję się ciemności. – Roześmiał się i uniósł obie ręce w górę, jak przy napadzie na bank. – Hej, to był żart.

Caspar już miał mu coś odpowiedzieć, ale jego uwagę przykuły blizny po oparzeniu na wewnętrznej stronie dłoni Toma. Były podobne do tych, które sam miał na ciele. Z tą tylko różnicą, że skóra na jego piersi fałdowała się przypadkowo, podczas gdy u Schadecka tworzyła geometryczny wzór.

Caspar nie był pewien, ale wyglądało to tak, jakby Tom w dość nieudolny sposób próbował się pozbyć wytatuowanej dawno temu swastyki.

Godzina 19.24

Nie minęła minuta, a Sophia wsadziła głowę do pokoju Caspara.

– Poza tym to też odnosi się do pana.

– Co? – spytał, wsuwając czarny worek nogą pod łóżko. Za późno. Wchodząc, Sophia wskazała najpierw na jego buty, potem na płaszcz, który zapomniał odwiesić do szafy.

– Proszę nie robić dziś wieczorem żadnych głupstw.

Caspar nie miał nawet zamiaru zaprzeczyć swoim zamiarom.

– Kiedy muszę. I tak już za długo tu jestem.

– I dokąd pan pójdzie? Przy tej pogodzie? W takim ubraniu? Bez pieniędzy?

– Pójdę na policję – wyjaśnił jej plan, który wymyślił w tej sekundzie. Przewidujące myślenie nie należało najwidoczniej do jego cech charakteru, do czego sam się przyznał.

– Ale już to przecież dziś omawialiśmy. Raßfeld zgodził się, żeby pan osobiście porozmawiał z policją i prasą.

– Kiedy? – Caspar podniósł się z łóżka i podrapał przez koszulkę bliznę po poparzeniu. – Jutro? Pojutrze? Po świętach? To wszystko trwa dla mnie zdecydowanie za długo. Kto wie, może nie mam tyle czasu?

Włosy Sophii opadły na czoło, tak intensywnie pokręciła głowę.

– Proszę posłuchać, ja też nie jestem zwolenniczką Raßfeldowej taktyki zwodzenia. Ale w jednym się z nim zgadzam. To zbyt ryzykowne, żeby pan w takim stanie sam opuścił klinikę.

– Może i tak. Ale ja nie mogę myśleć tylko o sobie.

– Chodzi panu o tę dziewczynkę?

Caspar przytaknął.

– Przykro mi, ale odkąd zobaczyłem jej zdjęcie, wydaje mi się, że się tu duszę. Muszę natychmiast się stąd wydostać.

– Nie wiemy w ogóle, czy to naprawdę jest pańska córka. Może ona wcale nie istnieje?

– Może, ale... – Caspar zastanowił się przez chwilę, czy tym zdaniem nie przekroczy pewnej granicy. – Ale kiedy jutro pani stąd odejdzie, zostanę całkiem sam. Nie będzie tu już nikogo, komu mógłbym zaufać.

Sophia długo mu się przyglądała, by w końcu smutno się uśmiechnąć.

W kieszeni jej kitla zadzwonił telefon, połączenie wewnętrzne, ale zignorowała go. Najwidoczniej wewnętrzna sieć jeszcze działała.

– Rozumiem – powiedziała, gdy sygnał ucichł. – Ale chciałabym prosić jeszcze o ostatnią przysługę.

– Jaka?

Wskazała na okno w krzywiznie dachu. Śnieg zakrył szybę, jak szczelne żaluzje.

– Proszę przespać tutaj jeszcze tylko tę jedną noc. Porozmawiamy jutro rano ostatni raz, zanim wyjdę.

– Niby po co?

– Jeśli jutro rano nadal będzie pan tak zdecydowany, nie będę już próbowała pana zatrzymać.

– Ale...?

– Przekażę panu informację, bez której pod żadnym pozorem nie wolno panu opuszczać kliniki. A już na pewno nie udawać się na policję.

Caspar zaskoczony otworzył usta. Zaraz potem rozbrzmiał cichy pisk, zupełnie jakby pękło mu w uchu małe naczynko krwionośne. Nagle poczuł się całkowicie bezradny. Zupełnie jakby właśnie usłyszał od lekarza, że nie pozostało mu wiele życia.

– Jaka znowu informację? – wyszeptał.

Sophia pokręciła głową jeszcze raz i teraz już spojrzała na telefon, który znów zaczął energicznie dzwonić.

– Jutro rano. Nie teraz.

Pisk w jego uchu stawał się coraz głośniejszy, tak samo jak jego głos.

– Chcę natychmiast to wiedzieć!

- Wiem, ale to niemożliwe.
- Dlaczego nie?
- Muszę się najpierw upewnić.
- Co do czego?

Zarówno Caspar, jak i Sophia wzdrygnęli się, gdy usłyszeli w drzwiach trzeci głos. Dźwięk telefonu zagłuszył zbliżającego się Raßfelda.

- Co do czego musi się pani upewnić? - powtórzył podejrzliwie pytanie ordynator, oskarżycielsko wyciągając w ich stronę bezprzewodowy telefon. Podczas gdy Caspar przełykał jeszcze ślinę, Sophia odzyskała pewność siebie.

- On... eee... to znaczy, pacjent poprosił o tabletki nasenne na dzisiejszą noc, ale powiedziałam, że muszę to najpierw uzgodnić z panem.

Raßfeld przytaknął z aprobatą, wyraźnie zadowolony, że jego autorytet nie został podważony.

- Dobrze, ale to może teraz naprawdę poczekać, pani Dorn - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu i wyprowadził lekarkę z pokoju.

- Cały czas próbuję panią złapać. Jest pani potrzebna na sali operacyjnej.

Jeszcze długo po tym, jak Raßfeld i Sophia zostawili go z palącymi pytaniami, w głowie huczała mu tajemnicza obietnica lekarki: *Przekażę panu informację, bez której pod żadnym pozorem nie wolno panu opuszczać kliniki.*

Głos Sophii nie ucichł również dwie godziny później, kiedy położył się do łóżka i zamknął oczy, aby uporządkować myśli. Co jeszcze znajdowało się w jego

aktach, których treści Raßfeld nie chciał mu zdradzić?

Muszę się najpierw upewnić.

Miał zamiar właśnie wstać, żeby odszukać w klinice Sopię, kiedy zorientował się, że nie może już otworzyć oczu.

Spróbował ostatni raz, wkładając w to całą siłę woli. Na próżno. Wydarzenia dnia zbyt wyreżyły jego i tak już udręczoną psychikę. Zasnął.

Wigilia – godzina 00.26

Trzy godziny i dwanaście minut przed lękiem

Dym to żywa istota. Rój mikroskopijnych komórek, które przenikały przez skórę, żeby rozsadzić go od środka.

Cząsteczki szczególnie upatrzyły sobie płuca, wtłaczając się przez tchawicę do oskrzeli. Zakastał.

Zazwyczaj w tym momencie budził się z koszmaru i wracał do świata, w którym jego pamięć sięgała dziesięciu dni wstecz. Ale dziś spał dalej, jakby płonący samochód, w którym był uwięziony, nie chciał go tej nocy wypuścić.

Nie, zanim nie spojrzy na zdjęcie leżące na siedzeniu przy kierowcy. Obok butelki. Temperatura była już tak nieznośna, że rogi zdjęcia powyginały się do środka, przez co jeszcze trudniej było rozpoznać na nim twarz mężczyzny.

Caspar wierzgał niespokojnie nogami. Znajdował się w nieprzyjemnym stanie, pomiędzy snem a jawą. Stanie, w którym spowolniona świadomość powoli wraca do rzeczywistości. Chciał przyspieszyć tę zmianę i samemu wyrwać się z koszmaru.

Dlatego rozpiął pasy bezpieczeństwa i patrzył w płomień. Buchały bezpośrednio przed nim na wysokości piersi z deski rozdzielczej i zaczęły już sięgać jego koszuli. Przez krótką chwilę miał wrażenie, jakby

widział zabliznione wewnątrz dłoni Toma, kiedy wyciągał rękę w stronę ognia, żeby wyimaginowany ból wreszcie go wybudził.

Ostatecznie jednak obudził go całkiem realny dotyk, ktoś mocno nim potrząsał.

Caspar otworzył oczy, płonący samochód zniknął, a zamiast tego pochyłał się nad nim Linus z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Czubek jego nosa był tak blisko, że Caspar mógłby go dotknąć językiem.

– Sophicy – powiedział głosem, który bardziej przypominał skrzeczenie, tak jak wtedy, kiedy człowiek szepcze, chociaż właściwie chciałby krzyczeć.

– Tylko nie to. – Ziewnął zmęczony. Linus cierpiał na bezsenność i nocami, kiedy nie mógł zasnąć, wędrował po klinice.

– Sophimocybićpacje. – Muzyk szarpał Caspara za ramię, próbując wyciągnąć go z łóżka. To, że ubrany był jedynie w poplamione spodnie od piżamy, które ledwo trzymały się na jego wąskich biodrach, jeszcze mocniej potęgowało absurdalność sytuacji.

– Słuchaj, nie możesz przecież... – zaczął Caspar, ale zaraz potem sam to usłyszał: głuchy łoskot piętro niżej. Brzmiało to tak, jakby ktoś podnosił ciężki stół i upuszczał go z powrotem na parkiet. Caspar spojrzał na zegarek. Dwunasta dwadzieścia siedem. Nie najlepsza pora na przemeblowanie.

– Co tam się dzieje? – zapytał, próbując sobie jednocześnie przypomnieć, kto lub co zajmuje pomieszczenie bezpośrednio pod jego pokojem piętro niżej.

– ...bić... bić... – Linus powtórzył kilka razy jedno

słowo, puszcżając ramię Caspara, gdy zauważył, że ten próbuje wyplątać się z pomiętego prześcieradła.

– Oómną.

– Tak, tak, przecież już idę.

Caspar rozejrzał się, szukając domowych pantofli. I wtedy łoskot pod nimi zmienił się w szuranie, jakby ktoś próbował przesunąć mokry dywan z jednego pokoju do drugiego. Postanowił nie tracić już więcej czasu.

Podczas gdy Linus zbiegał z tupotem po schodach, Caspar starał się zachowywać względnie cicho, w razie gdyby miało się okazać, że jest jakieś niewinne wytłumaczenie tych nocnych hałasów. Ale po wydarzeniach z ostatnich godzin sam w to nie wierzył, tym bardziej że na pierwszym stopniu schodów przypomniął sobie słowo, którym Linus go obudził.

Sophimocy.

Teraz i on zaczął szybciej biec. *Sophia... pomocy.*

Za rogiem skręcił w ciemny korytarz, dziwiąc się, dlaczego nie zadziaływały czujniki ruchu. Zazwyczaj górne oświetlenie włączało się automatycznie, gdy ktoś wszedł na korytarz. Jednak teraz jedyne światło dochodziło z jednego z pokojów w głębi. Przed jego szeroko otwartymi drzwiami stał Linus i chował twarz w dłoniach. Cały się trząsał.

I wtedy, w momencie gdy poczuł szczypiący mróz wylewający się z pokoju, zrozumiał resztę kryptogramów: „bićpacje”.

Zabić. Pacjent.

Zajrzał do pokoju. No przecież. Na trzecim piętrze znajdowały się ciężkie przypadki. Intensywna opieka medyczna. Odgrózione pomieszczenia z łózkami

hydraulicznymi i elektronicznymi urządzeniami pomiarowymi obok stolika nocnego.

Sophia. Pomocy. Zabić. Pacjent.

Caspara przeszły dreszcze, kiedy zobaczył stojak do kroplówki, który niczym niemy sługa stał ze zwisającymi rurkami obok osieroczonego łóżka. Zwrócił uwagę na swój parujący oddech i zaraz potem wszystko spowolniło. Czuł się teraz jak neutralny obserwator, który z zainteresowaniem przegląda album ze zdjęciami i za każdym razem musi przewrócić stronę, żeby oko mogło przesłać do mózgu nowy, wstrząsający obraz:

Otwarte okno – Mężczyzna – Jedna noga na kaloryferze, druga na zewnątrz – Linus, który próbuje precyzyjnie się obok Caspara – Wykrzywiona w bolesnym grymasie twarz mężczyzny, który jeszcze raz się odwraca – Pokazuje na opatrunek na swojej szyi – Kręci głową – I rzuca się w otchłań.

W chwili, gdy śnieżna ciemność pochłonęła uciekającego pacjenta, czas znów przyspieszył i pierwsze uchwytnie wspomnienie zaplątało się w dziurawą sieć jego pamięci. Caspar znał mężczyznę, który przed sekundą wyskoczył przez okno. Jego twarz znał tak samo dobrze jak zapach palonego papieru, który akurat znów wypełniał jego nos. Często widywał Jonathana Brucka. Ostatni raz kilka minut temu, chwilę przed tym, gdy Linus wyrwał go ze snu. To jego zdjęcie noc w noc płonęło na przednim siedzeniu pasażera w jego koszmarze.

– Co tu się dzieje? – spytał Linusa, który wychylał się przez okno. Caspar nie był pewny, czy tamten dygoce z zimna, czy raczej ze strachu.

– Sophimocybićpacje. – Znów usłyszał to samo. Tylko że Caspar nigdzie nie widział lekarki. Co się stało z Sophią? Nie rozumiał ani Linusa, ani siebie samego. Dlaczego znał tego mężczyznę? Dlaczego Bruck rzucił się w śnieżną burzę w cienkiej szpitalnej piżamie? I z jakiego powodu Linus znów z przerażeniem w oczach wybiegł z pokoju?

Trwało to chwilę, zanim usłyszał odpowiedź. Nie potrafił później powiedzieć, czy w łazience przez cały czas szumiała lecąca z kranu woda. W każdym razie nieregularny dudniący odgłos za drzwiami łazienki rozbrzmiał dopiero teraz.

Godzina 00.34

Mimo wszystko była piękna. W pierwszym momencie Caspar czuł się tak, jakby patrzył na bezduszny posąg, który w małej łazience umieścił jakiś pozbawiony talentu, chory umysłowo artysta.

Chociaż jej twarz nie zdradzała jakichkolwiek uczuć, a prawa noga drgała w sposób niekontrolowany w wannie, cały obraz zdominował urok Sophii, tak że aż nie mógł znieść widoku jej męki.

– Sophia? – spytał Caspar o wiele za cicho. Szumiący strumień wody splukał jego łamiący się głos do odpływu. Terapeutka zdawała się nie zwracać uwagi ani na niego, ani na lodowatą wodę, która tworzyła już pod nią kałużę.

– Co z panią? – Tym razem Caspar prawie krzyknął, ale Sophia nawet nie mrugnęła powiekami. Tylko jej głowa odchyliła się w bok pod niebezpiecznym kątem, a oczy

wpatrywały się w jakiś nieistniejący punkt wysoko nad łazienkowymi płytkami. Jej przemoczone ciało okrywała podsunięta w górę biała koszula nocna, pod którą odznaczały się jej sutki, a rozerwane figi ledwo zakrywały okolicę łonową.

– Słyszysz mnie pani? – spytał Caspar. Miał wrażenie, jakby mówił do zwłok. Co prawda nigdzie nie było śladów krwi, nie zauważył też żadnych zewnętrznych ran i nadal oddychała, ale sprawiała wrażenie martwej. Nawet fakt, że jej stopa w nieregularnych odstępach uderzała o emaliowaną wannę, nie był wiarygodną oznaką życia i przypominał bardziej przedśmiertne drgawki ofiary wypadku, u której zerwane zostały połączenia nerwowe między mózgiem a rdzeniem kręgowym.

Straszna myśl uderzyła go, gdy zdał sobie sprawę z analogii swoich wspomnień o małej dziewczynce i okrutnej terażniejszości łazienki.

Ale wrócisz zaraz, prawda?

Tak. Nie bój się.

Natychmiast przyszedł mu do głowy tytuł na nazwanie przerażającej sceny, jaką psychotyczny artysta tu zainscenizował: *Pogrzebana żywcem*.

Dokładnie taka była. Zamurowana, żeby umrzeć. We własnym ciele.

Caspar wyciągnął rękę do jej włosów, które zaledwie parę godzin temu dotykały go tak delikatnie, a teraz kleiły się do bladej szyi niczym blond wodorosty. Ale powstrzymał się. Będąc w szoku, i tak stracił już o wiele za dużo czasu.

– Sprowadzę pomoc – szepnął. Chciał się właśnie

odwrócić, kiedy to się stało. Do ciała Sophii wróciło życie, co sprawiało jeszcze gorsze wrażenie niż bezwolna apatia sprzed chwili. Cała zaczęła nagle drżeć jak wprawiony w ruch kamerton. Caspar instynktownie cofnął się o krok, kiedy poderwała do góry prawą rękę. W pierwszej chwili pomyślał, że chce mu coś pokazać.

Muszę się najpierw upewnić.

Odwrócił się w stronę otwartych drzwi do łazienki. Nic.

Wtedy spojrział na jej lewą rękę, niemal nieprzyzwoicie dyndającą z brzegu wanny. Zobaczył śnieżnobiałe kostki jej dłoni. Wyglądało to, jakby Sophia świadomie z całej siły zaciskała pięść, żeby zatrzymać krążenie krwi.

– Co pani tam trzy... – zaczął Caspar ciche pytanie, kiedy kolejny wstrząs przeszedł przez jej ciało. Sophia otworzyła dłoń, niemiłosiernie wolno, jak w zwolnionym tempie, aż wreszcie na podłogę upadł tajemniczy przedmiot, który tak kurczowo zaciskała.

Jeszcze zanim Caspar zdążył upewnić się w przerażającym podejrzeniu, ktoś chwycił go od tyłu za ramiona, przewrócił i przycisnął twarzą do kafelków w podłodze.

Godzina 00.36

– Co tu się dzieje? – usłyszał pytanie Raßfelda, którego białe chodaki ukazały się w jego ograniczonym polu widzenia.

– Nie mam pojęcia, co on jej zrobił – odpowiedział dozorca, napierając całym swoim ciężarem na plecy Caspara.

– Nic! – chciał krzyknąć Caspar, ale nie miał tyle powietrza w płucach, żeby to zrobić.

– Wielkie nieba, pani Dorn? – Słyszał, jak Raßfeld pstryka palcami, potem przestała płynąć woda i nagle zapadła cisza tak wielka, że słyszeli brzęczenie halogenowych żarówek pod sufitem.

– Podejrzanie udaru. Yasmin, proszę natychmiast przygotować tomograf – polecił Raßfeld z profesjonalnym spokojem. – Potrzebna też będzie morfologia krwi.

Gdzieś za Casparem oddalał się pisk gumowych podeszew. Ktoś z każdym krokiem przyspieszał. Poczuł kłujący ból pomiędzy łopatkami, kiedy Bachmann poderwał go do góry i unieruchomił podwójnym nelsonem. Masywne ramię dozorca zasłoniło mu prawie całą twarz, ale Caspar i tak próbował znaleźć kontakt wzrokowy z szefem kliniki, który klęczał teraz przed wanną w miejscu, gdzie on sam przed chwilą stał. Raßfeld zaświecił małą latarką w oczy Sophii.

– Widoczna reakcja źrenic – mruknął. – Ale co do diabła...?

Raßfeld pokręcił głową i odwrócił się do Caspara, nie odejmując lewej ręki od tętnicy na szyi Sophii.

– Co jej pan dał?

– Nic – wykrztusił.

Bachmann zluzował chwyt i Caspar mógł wreszcie ze świstem nabrać powietrza.

– To Bruck – wyrzęził.

– Bruck?

– Jego łóżko jest puste – potwierdził Bachmann.

– Uciekł przez okno.

Raßfeld wstał, mrużąc oczy. Musiał dać Bachmannowi

jakiś znak, bo ten wyciągnął Caspara z łazienki. Jednocześnie przemknął obok niego czyjś cień. Pachniał wodą po goleniu.

– Czego pan tu szuka?

– Chciałem pomóc. – Caspar usłyszał odpowiedź cienia.

Jak w staromodnym fotoplastikonie przed jego oczami pojawił się obraz Toma Schadecka.

Wyglądało na to, że hałas obudził już wszystkich w klinice. Raßfeld najwyraźniej nie zamierzał rezygnować z pomocy sanitariusza. Dotarł do nich głośny plusk, a Casparowi zrobiło się niedobrze już na samą myśl, że oni obaj próbują wyciągnąć mokrą lekarkę z wanny.

– Niepotrzebnie tracimy cenne sekundy – odezwał się do Bachmanna, który pozwolił mu usiąść na pustym łóżku. Zapewne tylko po to, żeby mieć wolne obie ręce i przysunąć w stronę łazienki wózek dla niepełnosprawnych, stojący obok łóżka Brucka.

– Jeśli się pospieszymy, może uda się nam go złapać.

– Kogo?

Bachmann czochrał się po bokobrodach. W przeciwieństwie do jego dotychczas bardzo energicznej mowy ciała, wyraz twarzy miał raczej wystraszony.

– No, Brucka – powtórzył Caspar i skinął głową w stronę otwartego okna. Bachmann zamknął je, wzdrygając się z zimna, ale mimo to w pokoju jakby nagle zrobiło się jeszcze mroźniej. A to dlatego, że obraz, który ukazał się teraz ich oczom, był zaiste przerażający: mokry tobołek mięsa i kości, który Raßfeld razem z sanitariuszem posadzili na wózku, bardziej przypominał jakąś łowiecką zdobycz niż żywego człowieka.

– Raz-raz, do piwnicy! – krzyknął Raßfeld, a Tom zaczął

pchać przed sobą wózek ze zrelaksowanym wyrazem twarzy, zupełnie jakby to był wózek z zakupami, a nie pacjentka.

Ordynator podążył za nim i zatrzymał się jeszcze w drzwiach, jakby o czymś zapomniał.

– Bruck? – spytał niepewnie Caspara.

– Tak.

Raßfeld wrócił i stanął trzy kroki przed Casparem. Małe kropelki potu albo wody z wanny wypełniały zmarszczki na jego czole.

– Linus może to potwierdzić – dodał Caspar i natychmiast uświadomił sobie, jak śmiesznie musiało to zabrzmieć. Równie dobrze mógłby wskazać na świadka kogoś niewidomego.

– Okay, niech pan posłucha. Nie stwierdziłem żadnych zewnętrznych obrażeń na ciele, ale pani doktor Dorn mimo to wygląda na pogrążoną w głębokiej traumie. Nie mam zamiaru marnować czasu na niepotrzebne badania. Jeśli zatem pan coś wie, jeśli pan coś widział, musi mi pan o tym teraz powiedzieć, inaczej...

– Nie, nic nie widziałem – odpowiedział szybko Caspar, kiedy lekarz miał zamiar się odwrócić i pospieszyć na oddział radiologii.

– Ale coś znalazłem.

Otworzył pięść i pokazał Raßfeldowi przedmiot, który zabrał na chwilę przed tym, jak Bachmann go obezwładnił.

– Nie wiem, czy to coś ważnego, ale Sophia trzymała to w dłoni.

– O nie, tylko nie to.

Raßfeld podszedł do niego i niemal z odrazą sięgnął po

małą karteczkę. Wyglądała zupełnie niewinne, jak jeden z tych papierków, którymi dzieciaki w szkole strzelają z gumy. Sprawne palce psychiatry zaczęły drżeć, kiedy otwierał małą, podwójnie złożoną karteczkę.

– „To prawda, chociaż nazwa kłamie” – odczytał szeptem. Zaraz potem podniósł głowę do góry i zamknął oczy. W jednej chwili dotarł do Caspara rozmiar całej zgrozy. Być może duszący chwyt Bachmanna przywołał w nim to wspomnienie. Albo to tajemnicze zdanie, które przed chwilą Raßfeld przeczytał, przypomniało mu miłość do zagadek Grety Kaminsky i głos prezentera wiadomości.

Jedyną wskazówką są karteczki znalezione w dłoniach wszystkich ofiar, których treść policja utrzymuje jednak w tajemnicy.

– Łamacz Dusz. – Raßfeld wypowiedział myśl, która właśnie tłukła się w głowie Caspara. Ordynator spojrzał krótko na zamknięte okno.

– Wie pan, co trzeba teraz zrobić?

Bachmann przytaknął powoli.

– Gródź.

– Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia. – Ordynator znów otarł pomarszczone czoło. Tym razem rękaw kitla jednoznacznie wchłonął pot.

– Musimy ją natychmiast opuścić.

Godzina 00.41

Drugi raz w ciągu pół godziny Caspar stał w służbówce dozorczy i wpatrywał się w monitor na jego biurku.

Tym razem był boso, a przewróconą karetkę zdążyła już pokryć dość gruba warstwa śniegu, przez co przy ograniczonym świetle nabrała na ekranie zielonego połysku.

– Wesołych Świąt – mruknął dozorca.

Jego uwaga skierowana była na szarą skrzynkę na ścianie, która pokazała się dopiero, gdy przesunął na bok ciężką choinkę.

– Gródź? Co Raßfeld miał na myśli? – spytał Caspar któryś raz z kolei, odkąd ordynator zabronił mu odchodzić od dozorce na krok. Bachmann o dziwo był gotów udzielić wyjaśnienia.

– Gródź to środek bezpieczeństwa. Na całym świecie są takie tylko trzy. W Niemczech ma ją jedynie klinika Teufelsberg. Tu, widzi pan? – Z sapnięciem zdjął plastikową obudowę, odsłaniając szereg identycznych przełączników. Wciągnął okrągły brzuch, żeby Caspar mógł zobaczyć zieloną dźwignię, która jako jedyna odstawała z szeregu. Ktoś czarnym flamastrem napisał pod nią wielkimi literami „GINA”.

– Jedno pociągnięcie i GINA automatycznie blokuje wszystkie wyjścia. Dwa tuziny masywnych żaluzji zamykają wszystkie okna i drzwi.

Caspar przypomniał sobie ciężką żaluzję, pod którą musiał się przecisnąć, podążając za Linusem na balkon.

– Gina? – zapytał.

– To imię mojej żony – powiedział Bachmann. – Jak w domu jest awantura, też nie ma do niej dostępu. – Zaśmiał się z przymusem.

– Ale czemu ma to służyć?

– Żeby powstrzymać przed ucieczką niebezpiecznych

pacjentów albo osoby o tendencjach samobójczych. Jeszcze nigdy z niej nie korzystaliśmy. Ale każdego nowego pacjenta informujemy o tym, że w razie czego może zostać zamknięty.

Caspar zastanowił się, czy w jego przypadku też tak było, i oparł się ręką o biurko. Pod palcami poczuł lekkie wibracje.

– Pięknie, tylko że Bruck akurat już uciekł. Nie będziemy mogli przecież temu zapobiec, a jeśli uda mi się dotrzeć do najbliższego osiedla, to może znaleźć kolejną ofiarę.

– Nie o to chodzi. – Brzuch Bachmanna znów wysklepił się do przodu, zasłaniając Casparowi widok skrzynki.

– To o co?

– Słyszał pan o Łamaczu Dusz?

Caspar ostrożnie przytaknął.

Być może nawet znam go osobiście, pomyślał i jednocześnie uznał, że lepiej będzie, jak zachowa tę wiedzę dla siebie. Przynajmniej do czasu, aż się dowie, z jakiego powodu wizerunek Brucka nawiedzał go w snach.

– Profesor został poproszony przez policję o ekspertyzę psychiatryczną. Badał ofiary. Również tę kobietę, która dziś zmarła. Wie zatem najlepiej z nas wszystkich, do czego zdolny jest Łamacz Dusz. I właśnie z tego powodu mam opuścić gródź. Raßfeld nie chce go zamknąć. On nie chce, żeby szalenciec znów się tu wdarł. Do nas!

Caspar odchrząknął. Słowa Bachmanna uspokoiły go w takim samym stopniu, w jakim wzmogły się wibracje wokół niego. Dozorca cofnął się o krok od skrzynki bezpieczeństwa i Caspar zauważył, że zielona dźwignia

została przełączona w dół.

– Ratunku!

Przeraźliwy krzyk kobiety rozbrzmiał w całym holu. Dopiero za drugim wołaniem o pomoc Caspar rozpoznał głos młodej pielęgniarki. Yasmin pędziła przez hol prosto na nich.

– Co się dzieje? – spytał przestraszony Bachmann.

W jasnym świetle halogenowych świetlówek Yasmin wyglądała przez zafarbowane na czerwono włosy, jakby jej czoło pokrywała krew.

– Profesor – wykrztusiła. – Raßfeld zniknął.

– Zniknął?

– Tak. Skończyły się zatyczki i Raßfeld wysłał mnie do magazynu, żebym przyniosła nowe.

Pokazała prawą dłoń, w której trzymała dwa żółte korki z tworzywa piankowego, które najpewniej miały chronić uszy Sophii podczas badania tomografem.

– Kiedy wróciłam, już go nie było.

– Cholera. – Bachmann odszedł kawałek na bok, pochylił się i otworzył środkową z trzech szuflad biurka. W jego dłoni pojawiło coś, co przypominało trochę za duży, przezroczysty pistolet zabawkę.

– Cholera. – Dozorca stęknął jeszcze raz i ruszył przed siebie.

Caspar podążył za nim i kiedy przebiegali przez hol, zmieniło się światło. Zdawało się jeszcze jaśniejsze, ale w rzeczywistości odgradzona została ciemność na zewnątrz. Światło halogenów odbijało się mocniej, natrafiając na opór żaluzji opadających powoli przed wielkimi oknami panoramicznymi w holu wejściowym. I przed wszystkimi innymi oknami kliniki Teufelsberg.

Gródź.

Żaluzje opadły już niemal do połowy, kiedy w piwnicy zaczęła krzyczeć Sophia.

Godzina 00.43

Pełne cierpienia, paniczne odgłosy były nie do zniesienia. Ale jeszcze bardziej przerażała cisza, która zapadła nagle w środku krzyku Sophii, jakby ktoś przeciął nożycami jej struny głosowe.

Zbiegali na dół. Bachmann z przodu, Caspar tuż za nim. Jego nagie stopy uderzały o masywne stopnie kamiennych schodów prowadzących do sutereny willi.

– Halo? – Yasmin została na górze, jednak jej wystraszony głos wyprzedził ich, tworząc echo w wąskim korytarzu ciągnącym się w obie strony na dole schodów. Na obu końcach korytarza znajdowały się szklane drzwi ewakuacyjne, za którymi gródź pokonywała ostatnie centymetry.

Chwilę potem trzasnęło i żaluzje ostatecznie zasłoniły szyby.

– Och nie! – Bachmann wskazał na krwawy ślad stopy na podłodze. Pobiegli w prawo, aż do przedostatnich drzwi, nad którymi wisiała fosforyzująca czarno-żółta tabliczka: „Rentgen – zakaz wstępu”.

Ciężkie robocze buciory Bachmanna walnęły w obite metalem drewniane drzwi, po czym on sam wpadł do pokoju technicznego neuroradiologii. Caspar wszedł zaraz za nim.

– Gdzie oni są?

Raßfeld, Sophia!

Ich nerwowe spojrzenia spotkały się na chwilę, gdy obaj niezależnie od siebie rozglądali się dokoła. Nikogo więcej tu nie było. Nic, oprócz wielkiej szyby, w której odbijały się ich zmęczone twarze. *Szyba!*

Dozorca podszedł do ściany i przeciągnął ręką po wszystkich włącznikach światła. W miejsce ich odbić pojawiło się pogrążone wcześniej w ciemności pomieszczenie za szybą.

Nogi. Trzęsące się stopy.

– Czy to ona?

Pytanie Caspara było zbędne. Piękne ciało Sophii drgało wewnątrz tomografu, jakby raził ją prąd o wysokim napięciu.

Caspar poszedł za dozorcą, który znów wyrwał do przodu.

Obydwaj musieli się zmuszać, żeby nie odwracać oczu.

Sprawiające wrażenie niezwykle kruchych ręce i nogi lekarki przywiązane były do ruchomych noszy.

Bachmann wyciągnął Sopię z tomografu. Zauważył, że podczas spazmatycznych ruchów poluzował się jeden węzeł przytrzymujący przedramię. Chciał teraz odpiąć rzepy, którymi na czas badania Raßfeld przymocował do noszy jej nogi, ale gdy tylko uwolnił lewą, ta zaczęła uderzać w jeszcze bardziej niekontrolowany sposób, aż Casparowi wydało się, że czuje ruch powietrza. Spodziewał się, co zobaczy, gdy spojrzy na podłogę. Jego przypuszczenia się potwierdziły.

– Tu też jest krew.

– Co?

– Tu.

Wskazał na podłogę przed sobą. Kilka dużych kropel prowadziło do wyjścia z pomieszczenia z tomografem. Dwie z nich były rozmyte, jakby ktoś stanął na nie bosą stopą.

– Okay, zostanę przy niej. – Z kwadratowej czaszki Bachmann ściekał pot. – Ty poszukaj Raßfelda i Linusa. I sprowadź tu pozostałych. Yasmin, pielęgniarza, może i kucharkę. Potrzebujemy teraz każdej pary... – Nie dokończył zdania.

– Co ci jest?

– Słyszysz to?

Caspar przechylił głowę na bok.

Co to jest?

Nowy odgłos zagłuszył drgawki Sophii. Caspar odbierał to, jakby jakiś olbrzym napinał nad ich głowami metalową pętlę.

– Czy to nie...?

Caspar nie czekał, aż Bachmann dokończy pytanie. Wybiegł z powrotem na korytarz, a hałas przybierał na sile, im bardziej zbliżał się do aluminiowych drzwi.

Faktycznie. Winda.

Caspar zatrzymał się przed windą i patrzył na elektroniczny wskaźnik. Ktoś właśnie jechał tą windą z piwnicy w górę.

Godzina 00.47

Między pierwszym a drugim piętrem złapała go kolka. Zagryzł zęby i biegł dalej.

Winda żółwym tempem jechała w górę, ale i tak jej nie

dogodni, jeśli nie przyspieszy. Przewycięzył ból i zaczął biec po dwa schody naraz.

Ping.

Na drugim piętrze Caspar wypadł z klatki schodowej akurat w momencie, kiedy nad drzwiami windy rozległ się sygnał.

Udało się. Ale radość z wygranego wyścigu szybko ustąpiła miejsca strachowi. W chwili gdy pojawiła się mała szczelina w drzwiach windy, uświadomił sobie bowiem, że zaraz stanie bezbronny twarzą w twarz z Łamaczem Dusz.

Drzwi windy zaczęły się otwierać centymetr po centymetrze, stopniowo odsłaniając wielkie lustro na tylnej ścianie kabiny. Caspar stłumił chęć ucieczki, uniósł do góry ręce w obronnym geście i zobaczył...

– A ty czego tu szukasz?

Pusto!

Odwrócił się tak raptownie, że większość ludzi instynktownie usunęłaby mu się z drogi. Tom Schadeck stał jednak za nim niewzruszony. Nie mrugnął nawet powieką.

– Gadaj, co tu robisz?

Sanitariusz musiał się wcześniej przebrać. Kiedy prowadził Sophie na wózku, miał na sobie jeszcze szlafrok. Teraz znów nosił białe dzinsy i golf. Włosy wyglądały na świeżo nażelowane.

– O to samo mógłbym spytać ciebie – odpowiedział Caspar. – Ta winda to twoja sprawka?

– Że co? – Sanitariusz zajrzał do pustej kabiny.

– Chodzi mi o to, czy ty... – Caspar szukał odpowiednich słów, natychmiast zdając sobie sprawę,

jak idiotycznie musi wyglądać. Bosa, nieogolony, w zielonych spodniach od piżamy i spranym T-shircie mógł robić za wzór szurniętego faceta, którego pominięto przy wieczornym rozdziale tabletek. – Nieważne, później ci to wyjaśnię. Teraz musimy znaleźć Raßfelda.

– Raßfelda?

– Tak, zniknął.

Caspara przeszedł dreszcz. Spojrzał na swoje bosa stopy, których podszew już prawie nie czuł, i zrozumiał swój błąd. Marzył nie dlatego, że był w cienkich rzeczach do spania. Klinika była doskonale ogrzewana. Marzył z powodu strumienia lodowatego powietrza, który owiewał jego kostki.

– I co teraz?

Caspar nie odpowiedział. Całą jego uwagę znów pochłonęły krople krwi na wypolerowanym linoleum.

– Hej, mówię do ciebie, czubku!

Caspar zignorował Toma i poszedł w głąb korytarza za krwawym śladem, który po dwudziestu krokach gwałtownie skręcał w prawo.

Wściekły głos sanitariusza stawał się coraz cichszy, ale za to, kiedy skręcił za róg, zrobiło się zimniej. Znów usłyszał trzaśnięcie. Tym razem nie miało metalicznego podźwięku, lecz jakby kościany. I wreszcie zobaczył.

Gródź przy wyjściu ewakuacyjnym na samym końcu korytarza nie zdążyła się całkowicie zatrzasnąć. Jak mucha, która po dwóch sekundach zapomniała, że po raz setny z kolei wali w szybę, żaluzja uderzała o metalowy pręt, który uniemożliwiał całkowite zasłonięcie drzwi z wybitą szybą.

Caspar odwrócił się, żeby zawołać Toma, ale okazało się

to zbędne, bo ten stał już tuż za nim. Razem z Bachmannem, który również musiał wbiec po schodach.

Co z Sophią? – miał zamiar spytać Caspar, ale dozorca wyprzedził go swoim pytaniem.

– Znaleźliście Raßfelda?

– Nie. Ale spójrzcie na to.

Caspar wskazał na metalowy pręt, blokujący żaluzję.

– Pewnie tym rozbił szybę.

– I pokaleczył się odłamkami.

Schadeck uklęknął i dotknął jednej z licznych kropli krwi.

– Cholera. – Sanitariusz wyraził jednym słowem to, co czuli wszyscy.

Forma i kierunek plam krwi były jednoznaczne.

Łamacz Dusz wyskoczył ze swojego pokoju i wylądował na balkonie piętro niżej. Wybił szybę w drzwiach i zablokował gródź, zanim całkiem opadła. Po tym jak z powrotem wczołgał się do kliniki, wytrącił pręt, powodując, że żaluzja opuściła się prawie do samego końca.

– Czy to znaczy, że on...?

– Tak – odpowiedział Caspar na niedokończone pytanie Bachmanna.

– W takim razie natychmiast to otwórz! I to już! – zażądał Tom, pokazując na gródź. Wcześniej daremnie próbował podważyć żaluzję prętem.

– Nie. – Dozorca pokręcił głową.

– Jak to nie? Nie widzisz? Ślady krwi prowadzą od okna. Łamacz nie uciekł, on jest tu, w środku!

Razem z nami.

– Nie – powtórzył Bachmann i głos miał tak samo

zrezygnowany jak wygląd. – To niemożliwe. – Westchnął ciężko. – Nie mogę, ot tak, podnieść teraz grodzi.

Wigilia – Godzina 1.12

Dwie godziny i dwadzieścia sześć minut przed lękiem

Caspar wiedział, że rozpędzone płatki śniegu, które uderzały w zabarykadowane okna kliniki Teufelsberg, miały za sobą długą drogę. Mikroskopijne kropelki wody zamarzały wysoko w górze przy minus pięćdziesięciu stopniach wokół drobin pyłu. Podczas opadania przez chmury cząsteczki miały zaledwie jedną dziesiątą milimetra średnicy. Dzięki mikroskopijnej powierzchni nie topiła ich siła tarcia. Dopiero na wysokości trzech tysięcy metrów, gdzie temperatura powietrza miała jakieś minus piętnaście stopni i przymarzało do nich coraz więcej pary wodnej, nabierały swej niezwyklej gwiazdzistej formy. Caspar wiedział również, że wszystkie ramiona każdej gwiazdki, których jest zawsze sześć, są identyczne. Pomimo turbulencji, pomimo wiatru z różnych kierunków, który nimi miotał. A i tak nigdy jeszcze w dziejach świata nie spadły na ziemię dwa takie same płatki śniegu. Wszystkie się różniły. Cud natury, którym zainteresował się już sam Arystoteles. Caspar potrafił przypomnieć sobie te wszystkie mało istotne fakty, ale jego przeszłość ciągle pozostawała tajemnicą. W jaki sposób się tu dostał? Skąd znał mężczyznę, który właśnie próbował zabić Sophię? Kogo opuścił z obietnicą sprowadzenia pomocy? Caspar

poczuł ucisk w klatce piersiowej, gdy zdał sobie sprawę, że sytuacja, w jakiej się właśnie znalazł, stanowi dokładne odbicie jego wnętrza. Gródź uniemożliwiła mu ucieczkę z więzienia i odnalezienie bezimiennej córki.

– Nie wiem, jak się czujecie.

Caspar próbował skoncentrować się na słowach dozorca, wypowiedzianych wymuszenie lekkim tonem.

– Ja ostatni raz byłem tak wcześnie na nogach w święta, kiedy miałem dostać od rodziców tor wyścigowy z Porsche Carrera.

Próba Bachmanna rozładowania atmosfery dowcipem nie wyszła mu najlepiej. Nikt się nawet nie uśmiechnął. Wręcz przeciwnie. Cztery pary oczu wpatrywało się w niego podejrzliwie. W spojrzeniu Schadecka dominowało politowanie, a kucharka wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. Również zazwyczaj obojętna Yasmin drapała się nerwowo po nadgarstku.

– Daj spokój Bachi. Lepiej powiedz, jaki jest teraz plan – skarciła go.

– Spokojnie, Yasmin. Tu, w bibliotece, jesteśmy na razie bezpieczni.

Z przedniej kieszeni kombinezonu Bachmann wyjął pozbawione oprawek okulary do czytania i założył je na porowaty nos. Pewnie myślał, że bardziej intelektualnym wyglądem podkreśli swoje umiejętności rozwiązywania sytuacji kryzysowych. W rzeczywistości okulary tak samo pasowały do jego ogolonej głowy jak sygnalizacja świetlna na pustyni. Nie ukryły nawet bojaźliwej nerwowości dozorca. Żeby opanować drżenie palców, jeszcze mocniej zacisnął spocone dłonie na plastikowych rączkach wózka Sophii i popchnął go kilka centymetrów

do przodu.

– Biblioteka zabezpieczona jest ciężkimi dębowymi drzwiami. Nikt ich łatwo nie pokona. Nie ma więc powodu do paniki.

– Nie ma powodu do paniki? – Nie wytrzymała pielęgniarka, śmiejąc się drwiąco. – Pani doktor Dorn jest nieprzytomna, Raßfeld zniknął, a ja musiałam pozamykać na górze pacjentów w pokojach, ponieważ jakiś krwawiący psychopata szaleje w klinice. Możesz mnie nazwać dramatyzującą paniusią, ale jeśli nie ma powodu do niepokoju, to wyjaśnij mi, dlaczego się tu wszyscy zabarykadowaliśmy?

Wściekłe spojrzenia Yasmin przeszywały otoczenie jak niewidoczne promienie urządzenia alarmowego na podczerwień. Pokój, w którym się zebrali, miał służyć za jadalnię i rzeczywiście wszyscy pacjenci, którzy byli w stanie, spożywali tu obiady. Jednak sala ze swymi wysokimi pod sam sufit, wypełnionymi książkami regałami przypominała raczej palarnię jakiegoś angielskiego klubu dla dżentelmenów, dlatego właśnie nazywano ją biblioteką. W każdym rogu stało kilka mebli, kanapa, czerwone skórzane fotele, krzesła z kremowym obiciem. Ale największym powodzeniem wśród pacjentów i odwiedzających cieszyły się prążkowane fotele ustawione przed kominkiem. W tej chwili wszyscy stali przy stole z masywnego drewna, który był rozciągnięty na taką długość, że spokojnie można by przy nim zaaranżować scenę z Ostatniej Wieczery.

– Jaki krwawiący psychopata? – odezwała się kucharka. Sybille Patzwalk wzięła wcześniej tabletkę

nasenną i przespała ostatnie gwałtowne wydarzenia. Dotychczas nikt jej nie wyjaśnił, dlaczego w środku nocy została wyciągnięta z łóżka i musiała biec w samej koszuli nocnej, bez makijażu, do biblioteki. Również i teraz zignorowano jej pytanie, kiedy Schadeck przejął inicjatywę.

– Nadal tego nie rozumiem. Dlaczego po prostu nie otworzymy grodzi i nie sprowadzimy pomocy?

Tom poszedł na koniec pokoju. W ciepłe dni dwuskrzydłowe szklane drzwi prowadzące do ogrodu były otwarte. Teraz szare żaluzje zasłaniały jednak widok.

Bachmann odchrząknął i odruchowo sprawdził pistolet gazowy w kieszeni spodni, który wcześniej zabrał ze swojego biura. Co prawda naładowany był tylko dziewięciomilimetrowymi straszakami, ale dozorca zapewniał, że z najbliższej odległości mogą spowodować ciężkie obrażenia, a nawet zabić.

– Nie znam kodu.

– Co? Nie mówiłeś, że wystarczy przestawić dźwignię?

Caspar zorientował się, że Tom do każdego, z kim rozmawia, zwraca się na ty.

– Tak. Zamknięcie to żaden problem, żeby na przykład powstrzymać przed ucieczką jakiegoś pacjenta z myślami samobójczymi. A taki pacjent nie powinien przecież mieć możliwości uwolnienia się, zanim go nie uspokoimy. Dlatego gródź dezaktywuje się za pomocą kodu.

– Którego ty nie znasz? To przecież wbrew wszelkim regulacjom przeciwpożarowym!

Schadeck gapił się zdumiony na dozorcę.

– Istnieje oczywiście plan awaryjny. Ze względów bezpieczeństwa zawsze dwóch lekarzy na jednej zmianie musi znać kombinację. Tylko że... – Bachmann znów chrząknął.

– Jeden zniknął, a drugi jest nieprzytomny.

Caspar spojrział na Sopię, której głowa opadła trochę na bok. Wyglądała, jak pogrążona w wiecznym pozbawionym marzeń śnie.

– Ale nawet jeśli się ocknie, co nam da ten kod? – spytał Bachmann. – Na dworze szaleje zamieć stulecia.

– Czyli ugrzęźliśmy tu na dobre? – zapytała Yasmin.

– Tylko na sześć godzin. Do czasu aż przyjedzie poranna zmiana. Koledzy sprowadzą pomoc, gdy się zorientują, że coś się stało.

– Kiepski plan – powiedział Schadeck i pokręcił energicznie głową. – Powinniśmy stąd wyjść i przygwoździć tego świra. Przecież ciągle wiążę waszego szefa.

– I Linusa – dodała Yasmin.

– Linusa? – zapytał Caspar.

Myśląc o muzyku, odniósł nieprzyjemne wrażenie, że przegapił coś bardzo istotnego.

– Tak, nie było go w pokoju, kiedy chciałam go zamknąć. Inaczej niż Greta. Ona na szczęście już spała.

Yasmin spojrzała, wściekła, na Caspara, jakby jeszcze raz chciała przypomnieć, że kompletnie nie zgadza się na jego obecność tu na dole. Odmówił pozostania sam w pokoju, aż w końcu Bachmann pozwolił mu dołączyć do grupy. Najpewniej tylko dlatego, że potrzebował kogoś do zneutralizowania Schadecka, jeśli tej nocy miał zachować status osob decydującej.

– No pięknie. Raßfeld i Linus zniknęli – powiedział Bachmann. – Ale jeśli zaczniemy ich teraz szukać, wystawimy się tylko na cel Łamacza Dusz.

– Łamacza Dusz? – wyszeptała kucharka.

Skrzyżowała ręce na potężnych piersiach odznaczających się pod nocną koszulą. Mimo że zadała już kilka pytań, nie wyglądała na osobę, która naprawdę chce poznać szczegóły przerażających wydarzeń w klinice. Caspar wręcz czuł, ile wysiłku ją kosztuje, żeby spojrzeć na Sophię na wózku.

– Czy to oznacza, że...

– Tak, niestety.

Bachmann wzruszył ramionami i westchnął ciężko. Wybrał na ślepo jedną z gazet leżących na stoliku przed udekorowanym świątecznie kominkiem. Nie szukał długo.

– O, proszę: Trzy kobiety. Wszystkie młode, atrakcyjne i cieszące się życiem.

Jak Sophia, dodał w myślach Caspar, kiedy z pozostałymi pochylił się nad gazetą i patrzył na zdjęcia ofiar.

– Wszystkie zostały uprowadzone jedna po drugiej i po kilku dniach nagle się odnalazły. Bez widocznych obrażeń zewnętrznych. Ale ich wewnątrz było zdruzgotane. Nikt nie wie, co z nimi zrobiono, jakim torturom zostały poddane. Spójrzcie tylko na to zdjęcie.

Postukał palcem w czarno-białą fotografię. Vanessa Strassmann, pierwsza ofiara, która dziś zmarła.

– Ten sam apatyczny wyraz twarzy, jak u doktor Dorn.

– I Bruck miałby to zrobić? Nigdy w życiu.

Wszystkie oczy skierowały się na Schadecka, który

oparł się pośladkami o stół i skrzyżował nogi. Jeśli nawet ostatnie wydarzenia wywołały w nim niepokój, świetnie potrafił to ukryć. Na jego wąskich ustach pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Dlaczego nie? – Bachmann zakasłał nerwowo w zaciśniętą dłoń.

– Kiedy przyjechałem do motelu, Bruck leżał obok łóżka w kałuży wódki. To alkoholik. Menel. Menedżer motelu chciał go wywalić jeszcze przed świętami, co wcale nie jest czymś niezwykłym. Przed Bożym Narodzeniem jesteśmy kimś w rodzaju służby do wywozu ludzkich śmieci.

Uśmiech na ustach Schadecka poszerzył się, jednak dozorca pokręcił tylko głową.

– Jedno nie pasuje do drugiego. Profesor Raßfeld mówił o nim doktor Jonathan Bruck i doktor Dorn też chyba go znała.

– W takim razie oboje mają ciekawych kolegów po fachu – zakpił Schadeck.

– Przyznaję, że też tego nie rozumiem. Co pijany Bruck robił w tamtym motelu? Dlaczego wbił sobie w szyję nóż? Dlaczego najpierw uciekł, żeby zaraz wrócić? – Mięсистym paluchem dozorca nakreślił w powietrzu znak zapytania. – Nie wiem. Ale jednej rzeczy jestem pewien. Pani doktor Dorn jest czwartą ofiarą Łamacza Dusz.

Caspar domyślał się, co teraz nastąpi. Nawet jeśli nikt nie miał ochoty tego słuchać, Bachmann zakończy swój oskarżycielski wywód przekonującym dowodem.

– U wszystkich kobiet znaleziono kartkę papieru. – Sięgnął do kieszeni spodni. – Podobną do tej.

Dozorca przekazał ją Schadeckowi, który przeczytał na

głos:

- „To prawda, chociaż nazwa kłamie”.
- No właśnie. To zagadka.
- Kiedy znalazłem Sophię w wannie, wypadła jej z dłoni
- uzupełnił Caspar.
- Mój Boże! – Głos Sybille załamał się. Pewnie oglądała wczoraj w telewizji ten sam program co Caspar w pokoju Grety. Otarła łzy, spływające po jej rumianych policzkach, i ku zdumieniu Caspara uklękła tuż przed wózkiem.
- Biedne dziecko. – Zaszlochała i ścisnęła bezwładną dłoń Sophii. – Akurat ona. Dlaczego? Dlaczego ona?
- Czego on może od nas chcieć? – spytała Yasmin.
- Od nas niczego. – Tymi słowami, wypowiedzianymi ledwie słyszalnym głosem, Caspar skupił na sobie uwagę wszystkich. Postukał dwoma palcami w otwartą gazetę, która ciągle leżała przed nimi na stoliku, i odchrząknął.
- Tu piszą, że dotychczasowe ofiary reagowały wyłącznie na ekstremalne bodźce zewnętrzne. Nie okazywały żadnych reakcji. Były całkowicie nieme. Przypadek doktor Dorn jest nieco inny. Wcześniej miała dreszcze. Słyszeliśmy nawet jej krzyk. Raßfeld zauważył też reakcję źrenic, co według tego tekstu u pozostałych ofiar nie występowało.
- Więc może to wcale nie Łamacz Dusz? Może to tylko jakiś wypadek? – W Sybille wstąpiła iskierka nadziei.
- Nie, to oznacza tylko, że Łamacz Dusz jeszcze nie skończył. Linus mu przeszkodził. Myślę, że chce się nas pozbyć, aby znów mógł być sam na sam z Sophią. Dlatego wrócił. Żeby doprowadzić do końca to, co zaczął. Cokolwiek to jest.

Caspar sam się zdziwił, że ma w sobie tyle siły, aby spokojnym głosem przedstawić ten straszny scenariusz. Bo jeśli miał rację i jeśli nie uda im się dziś w nocy ochronić Sophii przed Łamaczem Dusz, to razem z nią zginie nie tylko kod do więzienia, w którym sami się zamknęli. Nigdy nie dowie się, co Sophia wiedziała o jego tożsamości. I o jego córce.

Muszę się jeszcze najpierw upewnić.

Nagle, jakby Sophia chciała przyklasnąć myślom Caspara, metalowe części wózka zaczęły szczełkać pod wpływem gwałtownych drgawek jej ciała. Chwilę później doszło jeszcze coś znacznie bardziej wstrząsającego. Otworzyła usta i zaczęła mówić.

Godzina 1.22

Nopor. Tylko jedno słowo. Krótkie i niezrozumiałe. A może powiedziała *sopor* albo *ropor*. Reszta towarzystwa również patrzyła po sobie bezradnie. Caspar ukląkł przed Sophią i delikatnie dotknął jej policzka. Odwzajemniła ostrożny kontakt, dociskając brodę do jego dłoni, a potem rozchyliła wyschnięte wargi, które w okolicach siekaczy były lekko poranione.

– Pani doktor Dorn?

Po raz pierwszy głos Caspara zdawał się do niej docierać. Mimo to nie był pewny, czy powinien się z tego cieszyć. U pacjentów w śpiączce jakakolwiek reakcja to zawsze kamień milowy na drodze do wyzdrowienia. Ale jeśli to tutaj to tylko chwilowa mobilizacja, ostatni wysiłek jej woli życia?

– Słyszysz mnie pani? – spytał cicho.

Pod zamkniętymi powiekami Sophii gałki oczne przesuwwały się z jednej strony na drugą jak chrząszcze pod prześcieradłem.

Do Caspara podszedł z zatroskaną miną Bachmann.

– Jej jest zimno – stwierdził Caspar.

Ktoś, chyba Yasmin, przyniósł kitel Sophii i włożył na jej cienką koszulę nocną. Pomimo tego dalej się trzęsła. Dozorca kiwnął tylko głową i odszedł z powrotem na bok.

– Zrozumiałeś, co chciała nam powiedzieć? – spytał Schadeck wprost do jego ucha. Caspar nie zauważył, kiedy sanitariusz ukląkł przy nim.

– Nie, to było... – Wzdrygnął się, niemal tracąc równowagę.

Niespodziewanie Sophia odwróciła głowę w jego stronę, jak gość przy barze, który przez cały czas gapił się w swoją szklankę i nagle zebrał się na odwagę, żeby zacząć rozmowę z sąsiadem.

Co ona chce mi powiedzieć?

Caspar zmarszczył czoło, wpatrując się w oczy Sophii, które po raz pierwszy od czasu zajścia w pokoju Brucka skoncentrowały się na jednym punkcie. Na nim. Po dotychczasowej pustce nie było śladu. Jej spojrzenie nabrało takiej intensywności, że mogłaby nim wbijać gwoździe w ścianę.

– Sophia? – zapytał Caspar cicho jeszcze raz. Tom poruszał dłonią między ich twarzami, jak wycieraczką samochodową, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Maaa... nnnnn... sztopooooor... – wyrzęziła z głębi gardła lekarka. Caspar zrozumiał z tego tyle samo, co poprzednio.

Przez chwilę opanowało go nierzeczywiste uczucie, że tajemnicze dźwięki wypowiedziane przez Sopię zmieniły się w chmurę brzożowego dymu. Potem dostrzegł w jej żrenicach odbicie płomieni. Bachmann rozpałił ogień w kominku.

– Dobry pomysł. – Caspar wstał, podziękował dozorcę skinieniem głowy i popchnął wózek przed kominek. Yasmin wytrzasnęła skądś brązowy koc, którym dokładnie okryła ramiona Sopi. Nuciała przy tym jakąś smutną melodię, która Casparowi wydała się zadziwiająco znajoma. Nie potrafił powiedzieć, jaki zespół był autorem tego kawałka, ale tekst znał na pamięć.

Yesterday I got so old.

I felt like I could die.

Yesterday I got so old.

It made me want to cry.

Nucenie tej piosenki wyraźnie wpłynęło uspokajająco na Sopię. Zamknęła oczy.

– Mam nadzieję, że nic ją nie boli – powiedziała cicho Yasmin i nuciała dalej.

Go on go on

Just walk away

Go on go on

Your choice is made

Sceneria stawała się coraz bardziej nierzeczywista. Śpiewająca pielęgniarzka, palący się ogień, udekorowany choinkowymi gałązkami i ciemnozielonymi bombkami

kominek i otulona kocem kobieta przed nim. Wszystko razem wyglądało niezwykle ciepło i rodzinnie, co jeszcze bardziej wzmogło w Casparze wewnętrzne poczucie zagrożenia.

Czubkami palców ostrożnie dotknął wyschniętych warg Sophii.

– Ona się odwadnia – stwierdził.

– Ale nie mamy tu wody – zauważyła kucharka wyraźnym głosem. Jej łzy znikły i na razie trzymała się w garści. A może tylko reagowała mechanicznie, jak człowiek w powypadkowym szoku.

– Sama woda nic nie da. Ona nie jest w stanie niczego przełknąć. Potrzebna kroplówka – wtrąciła Yasmin.

– Brzmi rozsądnie – zgodził się Tom. – Najlepiej spora dawka elektrolitów.

– No nie wiem. – Bachmann niepewnie masował się po łysej czaszce. – Czy to naprawdę konieczne?

– Nie mam pojęcia. Trudno stwierdzić, dopóki nie dowiemy się, co zrobił jej Bruck. – Caspar sprawdził czoło Sophii. – Sól fizjologiczna z pewnością nie zaszkodzi. Ale jeśli doznała toksycznego szoku, powinna jak najszybciej dostać kortyzon.

– Nie, myślę, że nie powinniśmy tak ryzykować. – Bachmann potarł oczy pod okularami. – Zostańmy tu na razie i poczekajmy.

– Co za idiotyczny pomysł – sprzeciwił się głośno Schadeck. – Nie zaszyję się przecież jak jakiś tchórzliwy pedał.

Caspar zauważył, że dozorca ledwie zauważalnie się wzdrygnął, jakby to ordynarne słowo odnosiło się bezpośrednio do niego. Niewykluczone, że tak właśnie

było. Okulary, staranny dobór słów, teksty o problemach w małżeństwie rzucone mimochodem. Wszystko to wskazywało na człowieka, który nie żyje w zgodzie z sobą samym. Kogoś, kto być może okłamuje sam siebie.

Schadeck zrobił krok w kierunku Bachmanna.

– Uważaj, opowiem ci teraz, czego nauczył mnie ojciec. Był zawodowym bokserem.

– Już się domyślam.

– Zaczekaj. Mój stary nie przegrał ani jednej walki. Wiesz dlaczego?

– Nie, i nie wiem, czy naprawdę jest to najlepszy czas na opowiadanie anegdot.

– Ponieważ zawsze wybierał słabszych przeciwników. – Schadeck zignorował pytanie. – Najczęściej bił się z moją matką. – Tom uśmiechnął się jak ktoś, kto tuż przed puentą chce jeszcze odrobinę podnieść napięcie. – Raz, kiedy miałem dwanaście lat, przesadził. Bo ziemniaki były za mało słone. Sięgnął przez stół i zaczął głową matki rozgniatać purée, zupełnie jakby siłował się na rękę. Bum, bum. – Schadeck energicznie naśladował ruchy ręki ojca. – Myślałem, że matka już nigdy nie podniesie głowy, tak mocno trzaskała. Ziemniaczana papka bryzgała po całej kuchni. Stałem przy zlewie, jakieś dwa metry od nich, a i tak miałem żółte plamy we włosach. – Ironiczny grymas zniknął z twarzy Schadecka. – Ale w końcu mama podniosła wzrok. Krew buchała jej z nosa, wsiąkając w resztki purée. Nie wiem, co było połamane na więcej kawałków, talerz, czy jej szczęka. Ojciec tylko się roześmiał i powiedział, że teraz to przesadziła, bo ziemniaki na pewno będą przesolone. Potem musiałem szukać w książce telefonicznej adresu

jakiegoś szpitala, w którym jeszcze nie byliśmy. – Schadeck rozejrzał się po twarzach słuchających. – Wiecie, ze względu na te głupie pytania, które stawiają, gdy żona dwa razy pod rząd ulega podobnemu wypadkowi.

– Okay, to doprawdy wstrząsająca historia – przerwał mu Bachmann. – Ale co na Boga ma ona wspólnego z naszą sytuacją?

– Tamtego wieczoru przyrzekłem sobie, że nigdy więcej nie pozostanę bierny. Byliśmy co prawda tylko dziećmi, ale razem z matką było nas czworo. A on był jeden. Rozumiecie?

– Co pan takiego zrobił? – spytała cicho Sybille.

– Każdy ma jakieś mroczne tajemnice. – Schadeck uśmiechnął się drwiąco, kierując wzrok w stronę Caspara.

– Piękna historyjka – powiedział Bachmann. – Ale i tak powinniśmy poczekać do jutra...

Nagle wszyscy spojrzeli nerwowo w górę i dozorca zamilkł na chwilę.

– ...do jutra, na poranną zmianę... Cholera, co tam się wyrabia?

Teraz usłyszał to i Caspar. Dziwne odgłosy wydobywały się z małej plastikowej skrzynki, którą dotychczas brał za czujnik dymu. Bulgoczące syczenia, którym towarzyszyły metaliczne odgłosy, były jeszcze mniej zrozumiałe niż żałosne jęki Sophii. Można było odnieść wrażenie, jakby ktoś próbował naśladować ekspres do kawy, który za chwilę wyzionie ducha.

– Skąd to dochodzi? – spytał Schadeck.

– Z naszego interkomu. W każdym ogólnodostępnym

pomieszczeniu znajduje się głośnik.

– Dobry Boże, czy to właśnie Ła...?! – wykrzyknęła kucharka, a Caspar odruchowo skinął na potwierdzenie głową. Oczywiście, że on. To musiał być głos kogoś, kto nożem rozdarł sobie struny głosowe.

– Łamacz Dusz chce nam coś powiedzieć – odezwała się Yasmin coraz wyższym głosem.

– Ciii, zamknijcie się wreszcie! – Schadeck machnął zdenerwowany ręką, stanął na jednym ze stylowych krzesel i przekrzywił głowę. – Tam jest coś jeszcze – stwierdził w końcu, patrząc na pozostałych. – W tle.

Cholera, teraz i ja to słyszę, pomyślał Caspar. Zrobiło mu się niedobrze. Wreszcie wiedział, o kim zapomniał w ferworze ostatnich wydarzeń. Czyj przepętiony cierpieniem głos coraz wyraźniej wydobywał się z głośnika.

Wcześniej, kiedy siedział blisko niego, nie rozpoznał go. Teraz, gdy jego dalekie szczekanie docierało do Caspara zniekształcone przez głośnik, nie miał wątpliwości. Już raz słyszał ten dźwięk. Wtedy wydobywał się on jednak nie z głośnika, a z porozbijanego wraku na skraju pchłego targu. Caspar zamknął oczy, a skomlenie stało się głośniejsze.

Znów było lato. Promienie słońca tak mocno odbijały się od srebrnego wraku, że musiał zasłaniać oczy dłonią, kiedy patrzył w jego kierunku. W samochodzie brakowało wszystkich kół, rdzewiejące resztki limuzyny stały na gołych felgach. Nie było nic, co nie zostałoby jeszcze rozbite. Reflektory, szyby, lusterka. Bagażnik wyglądał, jakby ktoś zrzucił na niego lodówkę z trzeciego piętra. Caspar słyszał w tle gwar obcojęzycznych

głosów, radość młodej kobiety z udanego interesu i ciągle trąbienie samochodów dostawczych. Dwoje usmolonych dzieciaków bawiło się w rynsztoku i uciekło, kiedy podszedł bliżej, żeby zbadać gruby sznur, przywiązany do zderzaka i kłapy bagażnika. Przepalił sznur zapalniczką i kłapa otworzyła się sama. Wtedy ujrzał twarz śmierci. Cztery psy. Szczenięta. Zagłodzone, wysuszone, prawie usmażone. Na dworze było jakieś trzydzieści stopni. W bagażniku musiało być co najmniej dwa razy goręcej. Musiały zdechnąć powoli i w okrutny sposób. Wszystkie, z wyjątkiem jednego, któremu ktoś wyłupił lewe oko.

Tego samego, którego wszyscy nazywali tu Mister Ed i który w tej chwili tak samo przeraźliwie skowyczał przez głośnik, jak wówczas na kilka minut przed przypadkowym uwolnieniem.

Godzina 1.31

Ciemność miała kojące, wręcz oczyszczające działanie. Caspar słyszał i czuł otaczającą go niewidzialną przestrzeń, którą od kilku sekund pokonywali tak intensywnie, jakby hol wejściowy oświetlał silny reflektor przeciwmgielny. Łamacz Dusz rozbił wszystkie źródła światła na parterze.

– Trzymaj się z lewej – szepnął Schadeck idący tuż za nim, gdy zniekształcone skomlenie nad ich głowami ucichło na chwilę. Sanitariusz uparł się, żeby mu towarzyszyć w drodze do szpitalnej apteki.

– To prawda, co mówi Yazzie? Masz blackout?

Posuwali się powoli naprzód, jedną ręką cały czas dotykając lakierowanej ściany, żeby nie stracić w ciemności orientacji. Caspar nie wiedział, czemu się bardziej dziwić. Temu, że Tom chciał wykorzystać wycieczkę do biblioteki na ucięcie krótkiej pogawędki, czy też temu, że zdążył już nadać pielęgniarce pieszczotliwe imię.

– Wiesz, urwanie filmu, amnezja, zaciemnienie. W jakiś sposób pasuje to do naszej sytuacji, nie sądzisz? – Schadeck zaśmiał się cicho. – Nieważne. Mam nadzieję, że psychol nie ma noktowizora, bo inaczej możemy już zapomnieć o naszym genialnym planie.

„Tylko przyniesiemy najpotrzebniejsze rzeczy dla pani doktor, poszukamy Mister Eda i wyłączymy to cholerne nagłośnienie”, klarował Caspar dozorczy. Bachmann przystał na to z niechęcią i ich ostrzegł.

„Z biura Raßfelda jest bezpośredni dostęp do szpitalnej apteki. A jeden z dwóch mikrofonów całego nagłośnienia stoi na jego biurku. Macie więc pięćdziesiąt procent szans, że Bruck tam na was nie czeka”.

Caspar skradał się wolno dalej i omal nie wpadł na hydrant. O ile sobie dobrze przypominał, plastikowa skrzynka znajdowała się zaraz obok ich celu. Zaledwie dwoje drzwi dalej.

Skomlenie nad ich głowami nieco ucichło, ale tylko dlatego, że oddalili się od głośnika.

Mimo to Caspar ciągle miał przed oczami wyraźny obraz duszącego się zwierzęcia w samochodowym bagażniku.

– Spójrz. – Ciężka dłoń Toma opadła nagle na jego ramię.

– Co?

– Tam.

Okay. On też to zauważył.

Za pierwszym razem Caspar uznał czerwone migające światełko za złudzenie. Jakieś odbicie, które powstaje, gdy zbyt mocno zaciśnie się w ciemności powieki. W szczelinie pod drzwiami do biura Raßfelda w regularnych odstępach pojawiał się mały czerwony punkt. Jakby ktoś leżał na podłodze i laserowym wskaźnikiem przesyłał pod drzwiami sygnał swojej obecności morsem.

– Przed chwilą tego nie było, nie? – chciał się upewnić Tom.

Caspar przytaknął ruchem głowy, zapominając z napięcia, że Schadeck nie może przecież zobaczyć jego reakcji.

– Co teraz? – zapytał, od razu domyślając się odpowiedzi sanitariusza.

– Jak to co? Wchodzimy.

Godzina 1.33

Żadnego wskaźnika laserowego. Żadnej latarki. Żadnych znaków alfabetu Morse'a. W pierwszej przerażającej sekundzie Caspar pomyślał, że to bomba z migającym zapalnikiem, czekająca na środku biurka Raßfelda na detonację. Później jednak rozpoznał ten przedmiot.

– Co za pieprzony dupek! – krzyknął Schadeck i wcisnął włącznik światła obok drzwi, rezygnując z wszelkich środków ostrożności. Oczy Caspara szybko

przyzwyczyły się do oślepiającego światła, które oświetliło tyleż przestronne, co niezbyt uładzone biuro ordynatora. Jednak oprócz stert akt pacjentów, chwiejnych wież z książek, pustego kartonu po pizzy i dwóch wypełnionych książkami po brzegi regałów nie było tam nic nadzwyczajnego. W każdym razie nic żywego. Oprócz nich nikogo tam nie było. Ani Raßfelda, ani Łamacza Dusz.

– Bawi się z nami. – Schadeck sięgnął po dyktafon stojący obok mikrofonu, którego dioda migiała na czerwono za każdym razem, gdy odtwarzacz wybierał jedno z wielu nagrań i je odtwarzał.

– Łap... – rzucił dyktafon Casparowi. – Musiał męczyć psiaka i wszystko nagrał.

Caspar obejrzał mały dyktafon. Bez zastanowienia nacisnął boczny przycisk i udręczony Mister Ed ucichł. Zrobiło mu się niedobrze, obiema rękami musiał oprzeć się o biurko. Dyktafon upadł przy tym na podłogę.

– Co ci jest? – spytał Schadeck.

– Ja... – Caspar zająknął się. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, więc zdecydował się na prawdę. – Nie mam pojęcia.

Nie znał tego pokoju, nigdy wcześniej w nim nie był. A mimo to wszystko zdawało mu się niezwykle znajome. Jak w prawie wszystkich większych pomieszczeniach willi, również i w biurze Raßfelda stał kominek, nad którym wisiały liczne dyplomy i kilka rodzinnych zdjęć; Casparowi wydały się one obce, a zarazem dobrze znane.

Chciał podejść do kominka, odetchnął głęboko i się zaczęło. Bez ostrzeżenia. Biochemiczny dróżnik przełożył pierwszą zwrotnicę na bocznym torze jego pamięci.

Pociąg pełen wspomnień nadjechał szybko. O wiele za szybko jak dla zamkniętych dotychczas torów. Caspar spodziewał się, że nie ogarnie wszystkich myśli. Jednak lokomotywa, z której komina wydobywał się gęsty, pachnący spalonym papierem dym, zwolniła. Dym ulatywał w górę, coraz wyżej z otchłani jego zgruchotanej pamięci długotrwałej, aż wreszcie zmaterializował się przed oczami Caspara. *W biurko! Biurko, przy którym zobaczył samego siebie. Jak siedzi z dyktafonem w ręku, podobnym do tego, który przed chwilą rzucił mu Tom.*

„Możemy zaczynać. Pańska córka jest już gotowa” – usłyszał kobiecy głos. Widział, jak wstaje, odsuwa krzesło od biurka i rzuca ostatnie spojrzenie na zdjęcie w aktach, zanim je zamyka. Fotografia dziewczynki z kręconymi włosami blond. Jego córki?

„Wszystko gotowe, panie...”

– Halo? Jest tam kto?

– Co, jak...? Eee... tak, tak. Wszystko okay – wyjąkał Caspar mało przekonująco. Kobiecy głos powoli cichł w jego głowie.

Tom patrzył na niego podejrzliwie.

– Przypomniało ci się coś?

– Nie, jestem... jestem tylko trochę zdenerwowany, to wszystko.

Zanim sam nie zrozumie powracających powoli wspomnień, nie chciał nikogo niepokoić. A już najmniej człowieka, który emanował ukrytą wrogością wobec jego osoby.

– Coś sobie przypomniałeś, prawda?

– Nie.

– Chyba jednak tak.

Caspar nie miał ochoty na słowne przepychanki i przeszedł obok Schadecka w kierunku drzwi łączących biuro z apteką. Były zamknięte, ale Bachmann dał im swój klucz.

Gdy Caspar wszedł do pomieszczenia bez okien, czujnik ruchu automatycznie włączył oświetlenie w suficie. Niezdecydowany zatrzymał się przed szklanymi szafami i metalowymi regałami, w których przechowywano leki.

– Tu znajdziemy wszystko, czego potrzebujemy. – Schadeck podążył za nim. Otworzył lodówkę ze szklanymi drzwiami i wyjął z niej dwa woreczki infuzyjne, którymi wstrząsnął jak shakerem do koktaili. Kontynuował też dalej rozmowę.

– Mógłbym się założyć, że pracujemy w tej samej branży.

– Dlaczego?

– Infuzja, odwodnienie, kortyzon? – wyliczał kierowca, szukając jednocześnie w szufladach igieł i plastrów. – Wszystko twoje słowa. Albo więc jesteś hipochondrykiem, albo zawodowo czytasz ulotki informacyjne. Poza tym wyglądało to na dość wycwiczone.

– Co?

– No, jak złapałeś kobitkę za nadgarstek, żeby wyczuć puls. Chłopie, idę o zakład, że nieraz zakładałeś już welflon.

Schadeck włożył do kieszeni spodni kilka igieł w szczelnych plastikowych woreczkach i spojrzał na Caspara.

– Pamiętaj, że mam cię na oku. Wiem o nagraniu.

– Jakim nagraniu? – zapytał Caspar, chociaż domyślał się, co Schadeck miał na myśli.

– Węszyłeś przy podjeździe i poszedłeś ze swoim psem na górę dopiero wtedy, gdy nasz duży dzidzius Bachmann odwoził starego. Dla mnie świadczy to o tym, że nie znalazłeś się tu przypadkowo. Miałeś jakiś cel.

– Ach tak? I o tym wszystkim opowiedziała ci Yazzie? – spytał Caspar, zły na siebie, że nie zabrzmiało to tak obojętnie, jak by sobie tego życzył. Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że w żaden sposób nie mógł zdementować ani potwierdzić tej insynuacji.

– Tak, a ona wie od Bachmanna.

– Świetne źródła. – Caspar spojrzał na przegub ręki, na którym jednak nie było zegarka. – Nie traćmy lepiej już więcej czasu. Powinniśmy jak najszybciej wracać. Zdajesz sobie sprawę, dlaczego Łamacz Dusz zostawił nam dyktafon na biurku?

– Żeby wywabić nas z ukrycia! – Tom odwrócił się całkiem w jego stronę.

– Zgadza się.

Jakby na potwierdzenie ostatnich słów Caspara gdzieś na wysokości biblioteki trzasnęły drzwi. Potem korytarz wypełniły przeraźliwe piski kucharki.

Godzina 1.37

Biegli korytarzem, przypominającym teraz Casparowi ciemny tunel, na którego końcu huśta się górnicza lampa. O ile wcześniej hol wejściowy, który właśnie

minęli, chciał ich wchłonąć niczym czarna dziura, teraz mogli się kierować cienki strumieniem światła. Strumieniem, którego w zasadzie nie powinno być. Chyba że ktoś otworzył drzwi do biblioteki.

– Ostrożnie – ostrzegł Caspar, kiedy dotarli do miejsca, w którym korytarz z prawej strony odgałęział się w prawo. W stronę biblioteki. W stronę światła.

Dlaczego Bachmann to zrobił? Dlaczego otworzył drzwi?

Sybille Patzwalk już nie krzyczała, a Caspar obawiał się, że to nie najlepszy znak. Do krzyku potrzebne jest powietrze. Ból można odczuwać tylko wtedy, gdy mózg jest ukrwiony. Wstydził się swego perwersyjnego życzenia, żeby móc chociaż usłyszeć charczenie kucharki. Skręcili i Caspar zdał sobie sprawę, że był w błędzie. Drzwi biblioteki były zamknięte. Światło z małej sali naprzeciwko.

– To pułapka – szepnął Schadeck. Jednocześnie wyjął podłużny przedmiot lśniący srebrzyście w słabym świetle. Tom musiał zabrać otwieracz do butelek z biurka Raßfelda, kiedy Caspara akurat dopadły tajemnicze wspomnienia. Położył się teraz na podłodze i zaczął się czołgać zręcznymi ruchami, jakby w wolnym czasie trenował partyzantkę miejską. Brakowało tylko, żeby otwieracz trzymał w zębach.

To przecież bez sensu. Caspar obrócił się w prawo i zaczął szarpać za klamkę drzwi do biblioteki.

– Hej, otwórzcie!

– Jesteście sami?

Dozorca odpowiedział natychmiast. Najpewniej stał z uchem przy drzwiach i nasłuchiwał.

– Tak, nie. Nie wiem – odpowiedział Caspar,

spoglądając na pomieszczenie, w którym akurat coś zaszeleściło, jakby szczury przebiegły po foliowej reklamówce. Przypomniawszy sobie, że na tym poziomie mieści się kuchnia.

– Niech mnie pan wpuści.

– Gdzie jest Sybille? – Głos Bachmanna dochodził głucho zza ciężkich dębowych drzwi.

– Nie mam pojęcia, to chyba pan powinien...

Caspar odwrócił się raptownie. Szelest stał się głośniejszy i się zmienił. Przypominał teraz ciągnięcie przepelnionego worka ze śmieciami po kamiennej posadzce.

Również Tom się zaniepokoił i przerwał swoje pływackie ruchy metr od drzwi do pomieszczenia. Sanitariusz uniósł głowę, pochylił na bok, tak że prawe ucho niemal dotykało podłogi. Potem podciągnął kolano i już miał zamiar podczołgać się dalej do przodu, żeby móc zajrzeć do środka, kiedy wszystko wokół nich pochłonęła ciemność.

Jeszcze zanim odłamki stłuczonej żarówki spadły na podłogę, noc wypełniła każdy kąt parteru.

Nic. Żadnej poświaty. Żadnego odbłasku. Caspar kompletnie nic nie widział. Tylko słyszał. Szmer ciągniętego worka zbliżał się do niego. *Wyłącznie* szmer. Wywołało to w nim obraz wypchanego robakami worka na śmieci, który w konwulsyjnych ruchach niczym wąż sunie sam po korytarzu.

Chciał krzyknąć, ale zorientował się, że już wrzeszczy. Bolały go płuca i stłuczone palce u nóg, którymi uparcie kopał w drzwi z nadzieją, że Bachmann wreszcie je otworzy i ich uwolni. Z objęć nocy, z ciemności, która

zdawała się zagęszczać coraz bardziej, im głośniejsze były odgłosy sunącego worka, wzmocnione teraz dodatkowo zduszonym świstem. Caspar miał nadzieję, że Schadeck właśnie wdał się w walkę z Łamaczem Dusz. Miał nadzieję, że zduszone gardłowe jęki wywołał sanitariusz, miążdżąc krtań Brucka, ale zaraz potem uświadomił sobie, że równie dobrze może być odwrotnie. A jeśli Tom właśnie przegrał walkę o życie, on będzie kolejną ofiarą.

Co tu się dzieje? Dlaczego Bachmann nie otwiera? – zastanawiał się Caspar, podczas gdy w ustach roznosił się metaliczny smak. Nie czuł, że ugryzł się w język, zajęty panicznym szarpaniem klamki w drzwiach.

– Czego od nas chcesz!?! – krzyknął w końcu, choć dużo ciszej niż zamierzał, i nagle wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Zaczęło się od błysku, który przypalił mu włosy, o milimetry mijając skroń. Caspar szarpnął głową w bok, ale o dziwo nie walnął czołem w dębowe drewno drzwi, tylko stracił równowagę. Kiedy wpadał w światło, zobaczył jeszcze raz bladozielony bawełniany materiał, który odznaczył się w błysku z wylotu lufy.

Koszula nocna. Bruck!

Wreszcie ktoś pociągnął go siłą w tył. Ciężkie buty śmignęły mu koło nosa. Jeden walnął go w brzuch, drugi w ramię. Później, kiedy siniaki rozkwitły, Schadeck przeproszał, że stratował go, wbiegając w panice do biblioteki, ale w tamtym momencie bezgraniczna ulga, że Bachmann wreszcie otworzył drzwi, znieczuliła wszelki ból. Caspar poczuł wyzwalające, euforyczne uczucie, że w ostatniej sekundzie umknął śmierci, które trwało

jednak tylko do czasu, aż dozorca zamknął za nimi drzwi i bez żadnych zahamowań zaczął płakać.

Dziś, godzina 12.34

Dużo później, wiele lat po lęku

Śnieg jeszcze nie spadł. Prognoza pogody zapowiadała go na dzisiejsze popołudnie, ale na razie wiatr gonił po zamarzniętej ziemi rozdartą foliową reklamówkę i resztki liści.

Zima posiada oczyszczającą duszę, pomyślał profesor. Jedną ręką oparł się o futrynę szklanych drzwi, które prowadziły do parku. Albo raczej do tego, co czas z nim zrobił. Niegdyś zadbane trawnik przypominał dziś stratowane klepisko.

Zimno zrywa liście z drzewa prawdy i odkrywa przed nami ukryte tajemnice.

Przyłożył dłoń do szyby i patrzył na tych kilka nagich drzew w ogrodzie. Z wyjątkiem jednej niezniszczalnej wierzby płaczącej wszystkie uschły albo były porośnięte grzybami. Gruszę złamała na pół burza, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby jej pień wykorzystać na drewno na opał. Bo i po co? Kominiek od lat był nieużywany.

Od czasu, gdy...

– Panie profesorze?

Wzdrygnął się lekko i odwrócił.

– Tak?

Na krótką chwilę zupełnie zapomniał o dwójce studentów za swoimi plecami.

Patrick Hayden zamknął akta i wstał. Wskazał najpierw

na puste regały przy brudnych ścianach, potem na krzesła przykryte ciężką lnianą tkaniną i ustawione jedno na drugim przed kominkiem. W końcu zastukał kostkami palców w drewniany blat stołu.

– To właśnie jest ta biblioteka, prawda?

– Słucham?

– Caspar, Schadeck, Łamacz Dusz. Wszyscy byli w tym pokoju. To tu wszystko się rozegrało!

Nie było to ani pytanie, ani stwierdzenie. Raczej zarzut.

– Geniuszu, a co sobie myślałeś? – prychnęła Lydia, zanim jeszcze profesor zdążył odpowiedzieć. – Historia dzieje się przecież w pustej willi na Teufelsbergu. Wiadomo o tym od pierwszej strony.

– Ach tak? – Student wyjął z tylnej kieszeni spodni niestarannie złożoną kartkę papieru. – Ale na zaproszeniu do eksperymentu nie było o tym mowy. – Pomachał zadrukowaną dwustronnie kartką. Pierwszą niemal całkowicie wypełniała dwukolorowa mapa. – Z uniwersytetu dostałem tylko ten opis drogi. Nie ma tu żadnych nazw ulic. Nic o Teufelsbergu. I nie przypominam też sobie, żeby na dole przy wjeździe był jakiś szyld.

– Pan nie jest z Berlina, prawda? – spytał profesor, sięgając po okulary. Znów stał na swoim miejscu przy końcu stołu.

– Nie – przyznał niechętnie Patrick.

– No to nie może pan tego wiedzieć. – Profesor spojrzał na niego. – Dojazd jest drogą prywatną, a nazwy Teufelsberg nie znajdzie pan na wszystkich planach miasta.

– Super.

Patrick zaklaskał w dłonie i złapał plecak, który położył wcześniej na krześle obok.

– Najpierw mamy przeczytać ten dziwny tekst, który najwidoczniej napisał jakiś chory psychicznie człowiek, a teraz okazuje się, że siedzimy na tych samych krzesłach, na których ci wszyscy ludzie czekali na swojego kata.

– Co zamierzasz? – spytała spięta Lydia. Jej jasny głos również brzmiał bardziej nerwowo niż na początku eksperymentu.

– Idę.

– Co?

– Idę zapalić – wyjaśnił nieporozumienie.

Patrick wcisnął plecak między kolana, żeby mieć wolne ręce i włożyć granatową kurtkę puchową. Jedną rękę już wsunął w rękaw.

– A jak wrócę, chcę się wreszcie dowiedzieć, o co naprawdę chodzi w tym eksperymencie.

– Obawiam się, że to niemożliwe – powiedział profesor uprzejmie i stanowczo zarazem. Potarł zmęczone oczy, nie zdejmując z nosa okularów.

– Słucham? Co, w ogrodzie też panuje zakaz palenia? – spytał Patrick.

Profesor uśmiechnął się wyrozumiale.

– Nie. Ale na tym etapie eksperymentu nie wolno wam niestety opuścić sali.

– Dlaczego nie? – zapytali Lydia i Patrick prawie jednocześnie.

– Przynajmniej dopóki nie przeczytacie wszystkiego do końca.

– Nie może pan przecież przetrzymywać nas tu wbrew naszej woli.

– Cóż, być może nie zauważyliście, ale zgodziliście się na ten warunek, podpisując deklarację. A poza tym, nawet jak byście poszli teraz do domu, i tak eksperyment by się nie zakończył. Nie możecie go przerwać jednostronnie.

– Jak to? Nie rozumiem. – Patrick odstawił z powrotem plecak.

Profesor uśmiechnął się.

– To część doświadczenia. Aby się powiodło, nie wolno wam robić dłuższych przerw i musicie dalej czytać. Aż do końca. I radziłbym wam zacząć już teraz. Ze zdwojoną koncentracją.

– Jak może pan ocenić moją dotychczasową koncentrację? Przez cały czas gapił się pan przecież przez okno – powiedział Patrick już nie tak bardzo agresywnie. Niepewność Lydie przeniosła się również na niego.

– Widzę to w pana reakcji. Nigdy nie chciałby pan zrobić sobie teraz przerwy, gdyby od samego początku wczytywał się pan dokładnie w tekst. Prawda... – Profesor wziął akta Łamacza. – Prawda znajduje się w każdym pojedynczym zdaniu. Na każdej kolejnej stronie. Ale pan je tylko przejrzał.

– Bzdura.

– To pan tak sądzi. – Profesor sięgnął po butelkę wody, którą postawił dla wszystkich na środku stołu, napełnił szklankę i pytającym gestem wyciągnął rękę w stronę Patricka.

– No dobrze – powiedziała Lydia, skubiąc pusty rękaw kurtki Patricka. – Po prostu czytamy dalej. Przecież na pewno też chcesz wiedzieć, jak to wszystko się skończy,

prawda?

Patrick zwlekał z odpowiedzią, przeczesał ręką czarne włosy i chciał uwolnić się od Lydii. Ta jednak trzymała mocno, patrząc mu prosto w oczy. Sekundy mijały w milczeniu.

– Ach, a co tam – odezwał się wreszcie i ruszył w swoich niezasznurowanych butach w stronę drzwi. Zatrzymał się dwa metry przed nimi, bez słowa sięgnął po butelkę z wodą i wrócił na swoje miejsce. – Godzina w tę czy w tamtą nie robi mi różnicy.

Lydia z trudem zdobyła się na słaby uśmiech.

Obawiam się, że ludzie w bibliotece widzieli to wówczas zupełnie inaczej, pomyślał profesor. Mgła smutku przesłoniła mu na chwilę oczy.

Opuścił wzrok, żeby nie dać poznać po sobie, ile kosztowała go ta cała sytuacja. Jak bardzo jakaś część niego pragnęła, aby Patrick włożył do końca kurtkę i najlepiej razem ze swoją przyjaciółką opuścił willę. Wziął się szybko w garść, odetchnął głęboko i ochryplym głosem oznajmił:

– Dobrze więc, po tej niezaplanowanej przerwie proszę kontynuować eksperyment bez dodatkowych zbędnych pauz.

Odchrząknął, ale ucisk w gardle bynajmniej nie chciał zniknąć. Zwiększył się nawet jeszcze o kilka stopni, kiedy profesor zobaczył, jak najpierw Lydia, a później jej przyjaciel otwierają akta. I przekładają kartki. Aż do strony 110.

AKTA PACJENTA NR 131071/LARENZ

str. 110–173

Godzina 1.41

Sto siedemnaście minut przed lękiem

To moja wina. Wszystko moja wina – oświadczył Bachmann zadziwiająco czystym głosem.

Jego łzy zniknęły, jeszcze zanim Caspar zdążył podnieść się z podłogi i strzepać brud z pizamy.

– Co do diabła tu się stało?! – krzyknął Schadeck, który stał obok stołu i trzymał coś w ręku, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak worek gimnastyczny.

Dozorca schował okulary i zakasłał sucho.

– Ona chciała, znaczy... znaczy ona chciała tylko na chwilę do spiżarni.

Tom i Caspar spojrzeli na siebie bezradnie. Bachmann nie musiał wypowiadać jej nazwiska. Jasne było, kogo miał na myśli. Słyszeli krzyki kucharki, a krzesło, na którym wcześniej siedziała Sybille Patzwalk, stało puste.

– Ale czego ona tam szukała? – zapytał Caspar.

– Tego – odpowiedział Schadeck i wysypał zawartość worka gimnastycznego na wypolerowany blat stołu. – Po to ta wariatka ryzykowała życie.

Wgnieciona puszką ravioli potoczyła się wśród innych

puszek po stole. Caspar z niedowierzaniem śledził jej drogę.

– A skąd ty to wytrzasnąłeś? – spytał całkowicie zbity z tropu.

Schadeck westchnął i płaską dłonią walnął w stół.

– Cholera, przecież to nie ma najmniejszego znaczenia! Łamacz Dusz rozbił żarówkę i zaczął wlec Sybille za sobą ze spiżarni. Nie wiem, może w jakimś odruchu przyciskała worek gimnastyczny do ciała? Złapałem tego czubka za nogi, ale one były... jakies... – pokazał wszystkim zakrwawione dłonie – ...jakies takie śliskie i nie mogłem go przytrzymać. Zamiast tego na łeb spadł mi ten worek gimnastyczny. Myślałem, że jest tam broń albo coś w tym stylu, i wziąłem go ze sobą, ale kogo to teraz obchodzi? Powiedzcie mi lepiej, jak to możliwe, że nasza kucharka została tam sama jak palec?

Tom podszedł do Bachmanna i groźnie złapał go za ramiona. Wyglądał jak piłkarz, który szykuje się do strzału głową.

– Hej, panie dozorca, do ciebie mówię!

Na białych dżinsach Schadecka widoczna była w kroku mokra plama. Caspar pomyślał przez chwilę, że sanitariusz ze strachu narobił w gacie, ale zaraz przypomniał sobie o woreczkach infuzyjnych. Tom przymocował je do paska spodni, zanim wyszli z apteki. Jeden z nich musiał pęknąć, kiedy zaczął się czołgać do drzwi oświetlonego pomieszczenia.

– Kiedy was nie było, zaczęła mówić – odpowiedział ostrożnie Bachmann. Spojrzał na siedzącą ciągle na wózku Sophię. – Topor, czy coś podobnego, wiecie, o co mi chodzi. Sybille myślała, że może to znaczy, że ona jest

głodna.

Caspar przytaknął. Całkiem możliwe, że ośrodek mowy w mózgu Sophii został uszkodzony. Z drugiej strony jednak miał wrażenie, że przegapił coś bardzo ważnego. Wątpliwości ustąpiły jednak szybko, gdy tylko Bachmann zaczął mówić dalej.

– Oczywiście najpierw byłem przeciwny, ale spiżarnia jest przecież dokładnie naprzeciwko, a Sybille powiedziała, że worek z zapasami leży tam gotowy. Dałem się więc przekonać.

– No wprost nie do wiary!

Schadeck w teatralnym geście rozłożył ręce.

– Wysłałeś bezbronną kobietę prosto w ręce Łamacza Dusz dla kilku puszek żarcia!

– Uspokój się – zaczął Caspar, ale Bachmann natychmiast mu przerwał.

– Nie, nie była bezbronna. Dałem jej pistolet na wszelki wypadek.

– Co takiego?!

Teraz nie wytrzymał już również Caspar i złapał się za skroń, gdzie miał osmalone włosy.

– Boże, jesteś jeszcze bardziej rąbnięty niż wszyscy pacjenci w tej klinice razem wzięci! – krzyczał Tom. Wyglądał przy tym, jakby chciał zaraz wskoczyć na stół. Tętnica na jego szyi pulsowała intensywnie. – W ten sposób świr zdobył jeszcze w dodatku broń!

– To tylko pistolet gazowy.

– Spokój! – Caspar przerwał ostro kłótnię i zaraz zniżył głos. – Jakkolwiek źle to wszystko wyglądało, nie da się cofnąć czasu. – Patrzył sanitariuszowi prosto w oczy. – Poza tym zostawiliśmy otwarte drzwi do apteki. Na

pewno jest tam wystarczająco dużo materiału, z którego mógłby zrobić jakąś broń.

– To prawda. Leży tam nawet pistolet ze środkiem usypiającym – szepnął Bachmann.

– Kurwa, i dopiero teraz o tym mówisz? – Schadeck kopnął stojak z gazetami, tak że rozsypały się po parkiecie.

– I co teraz?

– Teraz powinniśmy zrobić to, po co w ogóle wyszliśmy z tego pokoju. Zająć się Sophią. – Caspar poprosił Schadecka o podanie ocalałego woreczka infuzyjnego, który ciągle wisiał przy jego pasku, co ten zrobił z niechętną miną.

– Masz, to też ci się przyda. – Tom wyjął z kieszeni spodni zapakowany wenflon i strzykawkę i rzucił je na stół.

Caspar wziął utensylia i podszedł do kominka, przed którym Yasmin siedziała po turecku przy Sophii i głaskała jej dłonie.

Spojrzał na kawałki taśmy klejącej, którą przymocowano świecę do gzymsu nad kominkiem. Oderwał dwa i poprosił Yasmin, żeby odsunęła trochę wózek od ognia. Potem z niemałym trudem podwinął rękawy koszuli nocnej Sophii za łokcie. Wyglądało na to, że do lekarki nic nie dociera.

– Powinniśmy pomóc Sybille – powiedziała na wpuł pytająco, na wpuł rozkazująco Yasmin, oklepując jednocześnie przedramię Sophii. – Może uda się nam ją uwolnić?

– Obawiam się, że jest na to za późno – odezwał się Tom, stojący za nimi. Jego głos brzmiał o kilka stopni

przyjaźniej.

Caspar niemal słyszał niewypowiedziane na głos „Yazzie” na końcu zdania, kiedy nałożył igłę na strzykawkę i nie zastanawiając się długo, wbił ją w dobrze widoczną żyłę Sophii.

Rzeczywiście już to wcześniej robiłem.

– Zanim zgasło światło, zdążyłem rzucić okiem do wnętrza spiżarni – mówił dalej Schadeck. – Nie wyglądało to dobrze. Wydaje mi się, że skręcił jej kark.

– Sybille nie żyje? – Yasmin stęknęła i cofnęła się o krok.

– Nie, nie sędzę – uspokoił ją Caspar, nie podnosząc wzroku. Odłączył strzykawkę i podpiął igłę do kroplówki. Sophia nie okazała żadnej reakcji podczas całej tej procedury.

– Po co miałby zabijać kucharkę, a potem wlec ją za sobą? Nie lepiej dla niego po prostu zostawić Linusa, Raßfelda i Sybille tam, gdzie są?

Caspar wziął od Yasmin papierową chusteczkę, złożył ją kilkakrotnie i przymocował za pomocą dwóch kawałków taśmy nad wenflonem.

– Skąd mam to, kurwa, wiedzieć? – Agresja znów wzbierała w pielęgniarszu. – Może to jakiś pieprzony kolekcjoner trupów?

– Nie, sędzę raczej, że on w coś gra. Stąd te tajemnicze karteczki. Stąd ten dyktafon. – Caspar podniósł wzrok. – Bawi się z nami. A Sophia jest stawką tej gry.

– No to oddajmy mu ją. – Schadeck podniósł dłoń. – Hej, to tylko żart.

Jego uśmiech był zadziwiająco szczery. Dodatkowo zaskoczył Caspara, proponując, że przytrzyma woreczek

infuzyjny, z którego już pierwsze krople elektrolitów, jedna za drugą, powoli przedostawały się do krwiobiegu Sophii.

– Dzięki. – Caspar podał Tomowi woreczek i stanął przy końcu stołu.

– No dobrze, spróbujmy podsumować. Nie znamy motywów Łamacza Dusz. Nie wiemy, w jaki sposób wprowadza swoje ofiary w stan śpiączki ani dlaczego wybrał akurat Sophię. Raßfeld, Linus, Patzwalk i nawet Mister Ed to kolejne pytania. Dokąd ich zabrał? Żyją jeszcze, czy może już nie?

Bachmann wciągnął głośno powietrze, ale Caspar nie pozwolił sobie przerwać.

– Na żadne z tych pytań nie znamy odpowiedzi. Ale szukając ich, nie wolno nam w żadnym wypadku ryzykować własnego życia. Od tej pory powinniśmy trzymać się razem i wykorzystać ten czas na uratowanie Sophii.

Wypowiadając te słowa, poczuł się nagle tak, jakby został trafiony strzałą w serce.

Zaraz potem zdał sobie sprawę, że ten przeszywający ból wywołała jedna tylko myśl: a co, jeśli Łamacz Dusz wcale nie upatrzył sobie Sophii, tylko jego? A co, jeśli chce zapobiec temu, żeby Sophia zdradziła mu, czego się dowiedziała o nim i o jego córce?

Starał się nie dać nic po sobie poznać i mówił dalej.

– Tak samo jak my wszyscy, pani doktor Dorn musi przeżyć jeszcze kilka kolejnych godzin, zanim nadjedzie pomoc. Jednocześnie ona jest naszym kluczem do wolności. Zna kod.

Kod do mojej tożsamości.

– I chce nam o czymś powiedzieć.

Muszę się najpierw upewnić.

– Może uda się nam poznać jej tajemnicę, zanim...

Zająknął się w środku zdania, spojrział w dół na swoje bose stopy i zdziwił się, że nagle zaczął się pocić, chociaż nie miał na sobie nic oprócz cienkich spodni od piżamy i T-shirtu z krótkim rękawem.

Złapał się za czoło, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma gorączki. Zdał sobie jednak szybko sprawę, że żadne przeziębienie, tylko jedno pojedyncze słowo spowodowało, że zaczął się pocić. Jedno słowo, które usłyszał kilka chwil wcześniej i dopiero teraz zrozumiał.

– Co panu jest? – usłyszał pytanie dozorca.

– Ja... eee... Może pan to jeszcze raz powtórzyć...? – Przeniósł najpierw wzrok z Schadecka na Bachmanna, a później na regał z książkami za plecami Sophii.

– Pytałem, co panu jest?

– Nie, nie, nie. Chodzi mi o coś innego. Co powiedziała doktor Dorn, kiedy nas tu nie było?

– To samo co zawsze. Tylko jedno słowo, jeśli to w ogóle jest jakieś słowo.

Nie. To nie było to samo.

– Niech je pan powtórzy jeszcze raz. Proszę.

– „Sopor”, ale co...

– Dobry Boże! – Caspar nie wiedział, czego powinien się w tej chwili bardziej obawiać, Łamacza Dusz czy siebie samego.

Momentalnie zrozumiał, co przez cały czas Sophia starała się im przekazać.

Szczeble drabinki trzeszczały głośno pod ciężarem Caspara. Pewnie przez ostatnie lata nikt jej nie używał, bo książki na najwyższych półkach stanowiły tylko dekorację. Caspar sam nie wpadłby na pomysł, żeby szukać tam medycznych podręczników, gdyby Bachmann mu nie powiedział, że Raßfeld przechowywał tu trochę swoich książek, z których już nie korzystał.

– I co teraz? – spytał Schadeck.

Stał obok Yasmin i próbował właśnie przymocować pogrzbacz do zagłówka wózka, żeby powiesić na nim kroplówkę.

– Nie jestem pewien – odpowiedział Caspar, nie odwracając się. Wyjął przedostatni tom starego leksykonu medycznego z najwyższej półki i przekartkował do litery P. Kilka sekund później znalazł hasło, którego szukał. – A jednak.

– Co?

– Pani doktor Dorn jest psychiatrą. Wie, co jej dolega.

– Czyli?

Bachmann spojrzał na niego w górę i nawet Schadeck przerwał swoje zajęcie.

Caspar obrócił się na drabince w bok i, trzymając otwarty tom przed sobą, czytał głośno.

– „Paraliż przysenny, bolesna wersja ilościowego obniżenia zdolności postrzegania. Cierpiący na paraliż przysenny popadają w stan półśpiączki, z którego mogą zostać wyrwani jedynie za pomocą silnych, zazwyczaj negatywnych bodźców, jak na przykład ból, gwałtowne szarpanie, krzyki, itd.”

Caspar podniósł głowę i ostatnie zdanie zacytował, nie patrząc do leksykonu.

– To zaburzenie zwane jest również *sopor*, w dosłownym tłumaczeniu z łaciny... – przerwał na chwilę – ...oznacza *paraliż przysenny*.

– Paraliż przysenny? – spytał Bachmann, niedowierzając. – Czy to znaczy, że musimy ją po prostu obudzić?

Schadeck roześmiał się szyderczo, ale Caspar przytaknął. Zaraz potem wychylił się niebezpiecznie daleko w prawą stronę, żeby wyciągnąć kolejną książkę. Po rozmiarze można było odnieść wrażenie, że to nieco za gruby szkolny atlas. *Neuropsychologia*, wydanie drugie, błyszcząły czarne litery na pomarańczowej okładce. Ponieważ książka była zbyt nieporęczna, żeby otworzyć ją na drabinie, zszedł na dół i położył ją na stole obok sterty rozsypanych artykułów spożywczych. Po chwili szukania w indeksie Caspar otworzył stronę 502 i wskazał na ostatni akapit.

– „Paraliż przysenny to stan pojawiający się podczas przejścia z fazy snu w jawę. Zazwyczaj trwa bardzo krótko, czasami jednak nawet do dwudziestu minut. Prawie co drugi człowiek przynajmniej raz w życiu doznał paraliżu przysennego”.

– Znam to! – krzyknęła z przejęciem Yasmin. – Naprawdę masakryczne uczucie. Śniło mi się, że w moim pokoju jest jakiś facet. Wiedziałam, że zniknie, jak tylko się obudzę. Ale za nic nie mogłam otworzyć oczu. Nie mogłam się ruszyć i dopiero własny krzyk wyrwał mnie z odrętwienia.

– I w ten sposób sama się pani uwolniła od paraliżu

przysennego – potwierdził Caspar.

– Czy wy wszyscy razem próbujecie zrobić ze mnie głupka? – zapytał Schadeck, patrząc na Sophię. Ponieważ ciągle mu się nie udało zawiesić kroplówki na pogrzebaczu, podjechał z lekarką na wózku do stołu i wcisnął woreczek Yasmin.

– Dwadzieścia minut? U naszej pacjentki chyba już dawno minęły.

– To prawda. Dlatego też wiemy już, co Łamacz Dusz robi swoim ofiarom.

– He?

– Wprowadza je w stan paraliżu przysennego. Nie mam pojęcia, jak on to robi. Ale Bruck musiał odkryć jakąś psychologiczną metodę na ciągłe trzymanie ich w fazie odrętwienia, między koszmarem a przebudzeniem. Sophia jest uwięziona w niekończącej się pętli horroru, jeśli można tak powiedzieć. O tym właśnie przez cały czas chciała nam powiedzieć.

Tom zmarszczył sceptycznie brwi, przeczesał dłonią nażelowane włosy i mlasnął lekceważąco językiem.

– Okay, panie Sherlocku Holmesie. Wy tłumacz mi w takim razie jeszcze jedną rzecz.

Caspar napiął się w oczekiwaniu na pytanie, które musiało teraz paść i na które nie miał odpowiedzi.

Jeszcze nie miał.

– Skąd to wszystko wiesz? Dlaczego znasz się tak dobrze na pierwszej pomocy? Potrafisz naszej pięknej lekarce założyć wenflon i cytujesz z pamięci psychiatryczne podręczniki?

– Nie mam pojęcia. – Tym razem to Caspar podniósł ręce obronnym gestem. – Może jestem lekarzem,

aptekarzem albo psychologiem? Sam powiedziałaś, że moglibyśmy być kolegami, albo tak dobrze uważałem podczas kursu pierwszej pomocy. Chciałbym to wiedzieć.

– Tak, jasne. Chowaj się dalej za tą swoją amnezją. Ja tego w każdym razie nie kupuję. – Tom odwrócił się do Bachmanna. – Kiedy go przywieźli?

Dozorca znów zaczął z namysłem czochrać swoje bokobrody.

– Jakies dziesięć dni temu.

– A kiedy dokładnie urwała się seria zbrodni Łamacza Dusz?

– Co chcesz przez to zasugerować? – Wściekły Caspar zatrzasnął książkę i odsunął się od stołu. – To ty przecież przywiozłeś tu tego świra. Ty też zadbałeś o to, żebyśmy nie mogli sprowadzić żadnej pomocy, kiedy swoją karetką wjechałeś w rozdzielnię telefoniczną.

Caspar podkreślał każde „ty” energicznym ruchem ręki, jak sędzia ringowy, który wylicza znokautowanego zawodnika. Jednak jego werbalne ciosy nie wywarły na Schadecku najmniejszego wpływu. Nawet nie mrugnął okiem. Mimo to Bachmann uznał, że musi ich rozdzielić i sapiąc, stanął między nimi.

– Hej, hej, hej... To nam nic nie da. Musimy się trzymać razem. I sobie zaufać.

Zaufać? Caspar przypomniał sobie, jak Linus próbował mu pokazać przewody paliwowe, przy których ktoś majstrował, i jak nagle zza pługa wyszedł Bachmann.

Nikomu nie mogę tu ufać, pomyślał. Nikogo tu nie znam. Łącznie z samym sobą.

Ponownie usiadł przy stole, dłońmi ścisnął trzęsące się kolana i gapił się w gazetę, którą Bachmann zostawił

otwartą na blacie.

Podczas gdy Schadeck i dozorca nadal kłócili się za jego plecami, przed oczami rozmywały mu się litery. Nie miał ochoty słuchać, mówić ani czytać. Nagle poczuł się okropnie zmęczony, jego mózg musiał zwolnić, najlepiej wejść na puste obroty, aby po krótkiej przerwie od nowa wejść w ten koszmar. Zmuszał się, żeby o niczym nie myśleć, i na początku nawet mu się to udało. Ale potem popełnił błąd i zamknął oczy. A ponieważ wcześniej zbyt długo wpatrywał się w zdjęcie drugiej ofiary, obraz nauczycielki żarzył się na jego siatkówce i nie było już mowy o spokoju. Tym razem usłyszał pisk torów, zanim gryzący dym z lokomotywy znów wypełnił jego nozdrza. Otworzył oczy i pociąg wspomnień znowu nadjechał.

ECHO WSPOMNIENÍ

– Ona zawsze była cichą dziewczynką. Za cichą. Martwiłam się, że nie muszę się o nic martwić, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Tak, jasne.

Patrzył na brązowe okręgi w pustej filiżance herbaty i odmówił dolewki.

– Tu, niech pan spojrzy. – Kobieta otworzyła laminowany album, który musiała specjalnie przygotować na spotkanie, i położyła w zasięgu ręki na stoliku, przy kanapie. Zaznaczyła nawet małą karteczką stronę, którą teraz otworzyła.

– Rozumie pan, o co mi chodzi? Wszyscy się śmieją, tylko ona nawet nie patrzy w stronę aparatu.

Kobieta obróciła szkolny album, żeby mógł lepiej się przyjrzeć, chociaż było to zupełnie zbędne.

Znał małą blondyneczkę z kręconymi włosami i aparatem korekcyjnym na zębach. Jej zdjęcie miał przy sobie, nosił je w portfelu. Zdjęcie paszportowe, na którym również się nie uśmiechała.

Zamknął oczy. Widok córki wywołał wielką nostalgię, która bolała.

– Wszystko w porządku? – spytała, przy czym jej usta drżały niepewnie. Nie odpowiedział i spojrzał jeszcze raz na grupowe zdjęcie w albumie, na którym uwieczniona została również kobieta. Stała z boku i miała na sobie ciasne dzinsy wciśnięte w czarne wysokie do kolan

kozaki. Obok jej głowy wisiała mała gwiazdka. Spojrzał na dół, znalazł kolejną gwiazdkę i przeczytał odsyłacz wydrukowany małą czcionką.

„Katja Adesi, wychowawczyni klasy 5B, szkoła podstawowa, Berlin”.

– Coś się nie zgadza?

– Nie, rzecz tylko w tym...

Szukał w kieszeni chusteczki, ale zamiast tego znalazł pognieciony bilet kolejowy, który kupił dziś w Hamburgu, i chciał zadać nauczycielce wszystkie pytania naraz, które go trapiły: Kiedy zauważyła to pani po raz pierwszy? Ile takich niepokojących obrazków namalowała na lekcjach? Są jeszcze jakieś inne oznaki?

– Wydaje mi się, że będzie lepiej, jak pan już pójdzie. – Katja Adesi wstała. – I tak już za dużo powiedziałam. Nie chcę nikogo zadenuncjować, rozumie pan? Może to, co widzę, to tylko duchy? – Popatrzyła na niego ze współczuciem i wzruszyła ramionami. – Przykro mi.

Nie miał siły, żeby cokolwiek odpowiedzieć, żeby zadać chociaż jedno z nurtujących go pytań.

– Rozumie mnie pan? – Uśmiech zniknął z jej ust.

– Halo, jest tam kto? – Regularne rysy twarzy nauczycielki zaczęły się deformować, a kiedy do tego jeszcze jej głos zmienił się gwałtownie, Caspar aż wzdrygnął się ze wstrętem.

Godzina 1.58

– Halo, do ciebie mówię, psycholu...

Caspar otworzył oczy, co natychmiast wykatapultowało go do rzeczywistości, w której Schadeck właśnie groźnie się nad nim pochylał.

– Co tym razem? – szydził pielęgniarz. – Jesteś Juliuszem Cezarem czy przypomniały ci się czasy, kiedy byłeś gwiazdą filmową?

– Zostaw go wreszcie w spokoju, Tom! – Niespodziewanie Yasmin stanęła po stronie Caspara, zanim ten zdążył odpowiedzieć. – Wydaje ci się, że on odgrywa przed nami jakieś przedstawienie? Człowieku, on był nieprzytomny. Caspar jest pacjentem!

Zdenerwowana kręciła pierścionkiem na kciuku i cofnęła się o krok od Schadecka. Wyglądało na to, że przypomniała sobie o swoich pielęgniarzkich obowiązkach i ostrożnie popchnęła wózek z Sophie z powrotem przed kominek.

Caspar poszedł za nią, odwracając się plecami do Schadecka i ignorując jego podejrzliwe spojrzenie.

– Jak ona się czuje? – zapytał cicho.

– Nie najlepiej, zresztą sam pan słyszy.

Faktycznie. Caspar zastanawiał się, jak długo był nieobecny, skoro stan Sophii aż tak się pogorszył.

Jej dotychczas regularny oddech przypominał teraz ziajanie chorego na astmę psa. Od czasu do czasu kasłała, wprowadzając zawieszoną wreszcie na pogrzebaczu kroplówkę w niebezpieczne bujanie. Jej

dłonie były lodowate, a puls bardzo słaby.

– Ogień gaśnie – zauważył Caspar. W odpowiedzi Schadeck wstał i przyniósł im torbę z artykułami spożywczymi. Wyciągnął z niego płaską butelkę, odkręcił zakrętkę i wlał wysokoprocentowy płyn do kominka. Potem rzucił w ogień polano z brzozy.

– Proszę, sam mógłbyś też coś wziąć na rozgrzewkę – stwierdził, patrząc na bose stopy Caspara. Podał mu buteleczkę, w której był jeszcze mały łyk alkoholu.

– Nie, dzięki. Nie piję. – Caspara zdziwiło złe samopoczucie, rozchodzące się po jego ciele jak początkowa faza depresji. Wytłumaczył to sobie stanem Sophii.

– A powinieneś. – Schadeck schował ręce z powrotem do worka. – Poranna zmiana przyjedzie dopiero za pięć godzin. A z tymi skarbami... – wyciągnął kolejną płaską buteleczkę alkoholu – czekanie może być nieco łatwiejsze.

Pięć godzin?

Cholera, to za długo. Czas mijał z prędkością płynnego szkła, podczas gdy śmiertcionośna spirala paraliżu przysennego bez przerwy obracała się w psychice lekarki. Vanessa Strassmann zmarła co prawda kilka dni później, ale kto wie, jak bardzo zatraciła się w sobie Sophia i kiedy przekroczy granicę, za którą nie będzie już mogła opuścić więzienia w swoim ciele, grzebiąc tym samym całą wiedzę o jego córce.

– Hej, a to co?

Schadeck upuścił jutowy worek gimnastyczny, Caspar podniósł głowę i po raz pierwszy zobaczył cień strachu w oczach Toma. Niechętnie puścił dłoń Sophii i wstał.

– Mogę zobaczyć?

Schadeck wręczył mu mały skrawek papieru.

– Podejrzewam, że to kolejne pozdrowienie od naszego Łamacza Dusz.

Sanitariusz mówił cicho i bardziej do siebie niż do innych.

– Gdzie to znalazłeś? – spytał podenerwowany Bachmann.

– Tu, w worku. Między żarciem – wyjaśnił Tom. – Bruck musiał włożyć kartkę zaraz po tym, jak obezwładnił kucharkę.

Caspar przytaknął.

To ma sens. Bruck trzyma się swojej metody. Ofiara w zamian za zagadkę.

Jego palce drżały. Karteczka była złożona tak samo, jak wcześniejsze. Wyborem papieru Łamacz Dusz kpił sobie ze swojej ofiary. Najwyraźniej był w gabinecie Sophii i na kartce z jej bloczka na recepty napisał tę zagadkę. Słabo czytelne drukowane pismo zajmowało trzy linijki i zmuszało do wyciągnięcia mało pocieszających wniosków co do jego stanu psychicznego.

– Co tam jest napisane? – spytał dozorca niecierpliwie.

– W ogóle nie chcę tego słyszeć. – Yasmin przycisnęła dłonie do uszu i odwróciła się tyłem. Ale Caspar rozprostował kartkę i głośno odczytał tajemniczy tekst:

FINISHED FILES ARE THE RESULT
OF YEARS OF SCIENTIFIC STUDY COMBINED
WITH THE EXPERIENCE OF YEARS

– Że co?

Podczas gdy Schadeck tylko sapnął poirytowany, głos Bachmanna wibrował z przejęciem.

– I co niby miałyby to znaczyć?

Caspar podniósł wzrok, brzegiem dłoni strzepnął rzesę z policzka i westchnął ciężko.

– Nie mam bladego pojęcia – powiedział zgodnie z prawdą i opuścił dłoń z karteczką. – Ale jest ktoś, kogo możemy poprosić o pomoc.

Godzina 2.07

Zamontowana w późniejszym okresie winda była na szczęście wystarczająco duża, żeby przewieźć szpitalne łóżko, więc bez problemu wszyscy się w niej zmieścili. Caspar uparł się, żeby trzymali się razem. Zwierzyna na wolności często porusza się w stadzie, przez co potencjalni myśliwi nie mają konkretnych celów. Przynajmniej do chwili, aż ktoś wyróżniający się nie odłączy od anonimowej grupy.

Caspar patrzył na błyszczące chromowane szprychy wózka i wiedział już, kogo drapieźnik wybrałby na swoją pierwszą ofiarę, jeśli nie będą jej chronić w swoim gronie.

– Co tam jest? – spytał Caspar, wskazując tabliczkę obok mosiężnego przycisku ze znakiem minusa przed dwójką.

– Drugi poziom w piwnicy – odpowiedział Bachmann. – Laboratorium Raßfelda. Całkiem możliwe, że Bruck tam się ukrył.

– Dlaczego? – zapytał Caspar, wciskając czwórkę.

– Żeby zjechać na sam dół, potrzeba specjalnego klucza, który ma tylko Raßfeld. Pan zobaczy.

W momencie kiedy zamykały się drzwi do windy, Bachmann nacisnął ostatni przycisk u dołu, który zaświecił się tylko na moment.

– Nie chcę ani na górę, ani dół – marudziła Yasmin, gdy winda ruszyła w swoim zwykłym powolnym tempie. – Sam pan przecież wcześniej powiedział, że powinniśmy zostać w bibliotece.

Caspar westchnął.

– Nie, stwierdziłem tylko, że nie powinniśmy się rozdzielać. – Na szczęście reszta się nie sprzeciwiała. Dozorca był zadowolony, że po katastrofie z Sybille nie musi sam podejmować decyzji. A Tom wolał działać, niż czekać bezczynnie w pomieszczeniu, które mogło okazać się pułapką.

– Może i ma pani rację, Yasmin, ale zna pani tę rymowanekę o złych decyzjach? – zapytał pielęgniarkę.

Odgarnęła grzywkę z czoła i popatrzyła na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– A powinnam?

– To leci tak:

Tak?

Nie?

Tak?

Nie?

Tak?

Nie?

Tak?

Zrobił krótką przerwę i zakończył:

– *Za późno.*

Yasmin patrzyła na niego jak na wariata.

– Chcę przez to powiedzieć, że podczas gdy my siedzimy w bibliotece, czekamy i patrzymy, jak Sophia coraz bardziej zapada się w sobie, Łamacz Dusz bez przeszkód krąży po klinice i może się uzbroić. Nie tylko w noże, środki usypiające i skalpele, ale przede wszystkim w łatwopalne zmywacze z chlorem, pojemniki formaldehydu i inne alkohole medyczne, z których może zrobić koktajle Mołotowa, żeby nas wykurzyć. I co wtedy zrobimy? Nie pomoże nam nawet dwadzieścia milimetrów drewna w drzwiach między nami a Łamaczem Dusz. Będziemy jak obłąkani biegać w dymie po całej klinice.

Minęli trzecie piętro.

– Bruck może i ma inne cele, ale obawiam się, że w przeciwieństwie do nas posiada jakiś plan. Dlatego pozostają nam tylko dwa wyjścia: albo dowiemy się, o co mu chodzi, albo musimy sobie poszukać jakiegoś bezpieczniejszego schronienia niż biblioteka.

„Na przykład na oddziale neurochirurgii”, zaproponował Bachmann tuż przed tym, kiedy wyruszyli. Pomieszczenie z tomografem zabezpieczone było ognioodpornymi drzwiami i miało oddzielny system wentylacyjny.

– Tak, tak, już rozumiem – sapnęła poirytowana Yasmin. – Ale i tak...

Pielęgniarka przerwała w połowie zdania, kiedy winda zatrzymała się z szapnięciem i drzwi otworzyły się.

Czwarte piętro.

W przeciwieństwie do parteru czujniki ruchu działały tu bez zarzutu. Na całym korytarzu zapaliło się światło,

kiedy pierwsza osoba wyszła z windy.

– Dobra, robimy, jak się umawialiśmy – odezwał się Caspar. – Zabieramy ją i szybko wracamy na dół.

– Cholera – zaklął Schadeck, który wyprzedził wszystkich o dwa kroki.

– Co jest? – zainteresował się Bachmann, ale w tej samej sekundzie sam to zobaczył. Podobnie jak Caspar.

Drzwi.

– Och nie.

Drzwi do pokoju Greta Kaminsky były szeroko otwarte.

Godzina 2.10

– Żyje?

– Nie wiem.

Pomalowane na biało ukośne deski sufitu odbijały blade światło z korytarza, sprawiając, że twarz leżącej nieruchomo postaci nabrała woskowego koloru. Stara kobieta spoczywała na środku swojego łóżka jak jakiś święty w sarkofagu. Caspar z tej odległości nie potrafił stwierdzić, czy kołdra, którą była przykryta, się poruszała.

Podszedł kolejny krok do przodu, zastanawiając się, dlaczego właściwie mówią szeptem. Jeśli Łamacz Dusz coś jej zrobił, nie musieli się przejmować jej prywatnością.

Zaraz! Czyżby jakiś ruch? Czy jej cienkie, niemal przezroczyste nozdrza zadrgały?

– Wydaje mi się, że ona... – Yasmin mówiła tak cicho, że Caspar nie zrozumiał ostatniego słowa. Ale wcale nie

musiał. Też to zauważył. Nie było wątpliwości. Greta Kaminsky otworzyła oczy.

– Co tu się dzieje? – zapytała, zapalając lampkę na stoliku. Jej głos był spokojny, bez najmniejszych oznak zmęczenia, a jeśli była zdumiona tym, że w środku nocy widzi przy swoim łóżku część personelu oraz jednego pacjenta, to świetnie potrafiła to ukryć.

– Stało się coś złego – odparł Caspar, zastanawiając się, w jaki sposób opowiedzieć jej o szaleńcych wydarzeniach, które najwidoczniej przespała. – Proszę się ubrać, musi pani iść z nami.

– Kto tak każe?

– Wszystko pani wyjaśnię po drodze...

– Kochaniutki... – przerwała mu. – Lubię pana. Nareperował mi pan telewizor, ale to jeszcze nie powód, żebym włóczyła się z panem po klinice o drugiej w nocy. A już na pewno nie z tą całą zgrają obcych.

Spojrzała zimno na Toma.

– Kim pan jest, mój panie?

– Tom Schadeck. Jestem sanitariuszem i wczoraj wieczorem przywiozłem tu ofiarę wypadku. Łamacza Dusz.

– Przepraszam, kogo?

Schadeck odstąpił krok na bok, a Yasmin podjechała bliżej wózkiem, żeby Greta mogła spojrzeć na siedzącą na nim, zapadniętą w siebie postać.

– Wielkie nieba! – Greta przycisnęła obie dłonie do ust.

– To jakiś żart? A może część mojej terapii zwalczającej strach?

– Niestety nie. – Caspar opowiedział jej, jak widział Jonathana Brucka uciekającego ze swojego pokoju i jak

zamknęli gródź, gdy znaleźli Sopię w wannie. Poinformował ją o zniknięciu Raßfelda, Linusa, Sybille oraz Mister Eda, a na koniec udało mu się streścić w kilku słowach ich teorię o paraliżu przysennym.

– I przez cały ten czas zostawiliście mnie tu samą na górze? – Greta jak na swój wiek zadziwiająco szybko zerwała się z łóżka, wsuwając kościste stopy w kapcie z różowymi pomponami na czubkach.

– Była pani zamknięta – powiedział Caspar, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego teraz drzwi były otwarte. Jeśli Łamacz Dusz zadał sobie trud, żeby je otworzyć, dlaczego oszczędził Gretę? Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewał.

– Nie, nie była. Nie doszłam do jej pokoju – przyznała się Yasmin cicho.

– Co?! – krzyknęli jednocześnie Bachmann i Caspar.

– Za bardzo się bałam. Hej, akurat ty masz najmniejsze prawo, żeby patrzeć na mnie z takim wyrzutem. – Wyciągnęła brodę w stronę Bachmanna. – Sam dopiero co popełniłeś błąd.

Mówiła teraz jak mała krnąbrna dziewczynka.

– Byłam w pokoju Linusa, kiedy nagle ktoś walnął w gródź. – Wskazała na ciemne okno. – Od zewnątrz! Ktoś był na balkonie.

– I dopiero teraz nam o tym mówisz? – zdenerwował się Caspar.

– Śmiertelnie się wystraszyłam. Nie odważyłam się później sprawdzić pokoju Grety i natychmiast zjechałam na dół.

Nic dziwnego, że wolą zostać w bibliotece.

– Posłuchaj, nie ma co teraz tracić więcej czasu na

sprzeczki – próbował załagodzić sprawę Schadeck, pewnie dlatego, żeby ochronić swoją „Yazzie”.

Greta zarzuciła na siebie jedwabny szlafrok i wsparła obie dłonie na zaokrąglonych biodrach.

– Dobrze, więc myśleliście, że jestem na górze zamknięta i bezpieczna. To dlaczego teraz po mnie przyszliście?

Caspar pokazał jej karteczki, które znaleźli przy Sophii i w worku Sybille.

– Potrzebujemy pani pomocy.

Greta podeszła do swojego stolika nocnego i założyła mocno sfatygowane okulary.

– „To prawda, chociaż nazwa kłamie”?

– Tak. Tę znaleźliśmy przy Sophii. Spodziewamy się, że jeśli uda nam się rozwiązać tę zagadkę, być może zdołamy ją wyrwać z przysennego paraliżu.

– Biedulka – westchnęła Greta, spoglądając na Sopię i kręcąc ze współczuciem głową. – Cóż, jestem co prawda starą wyjadaczką, jeśli idzie o rozwiązywanie zagadek, ale tu muszę spasować.

Schadeck zaklaskał w dłonie.

– No, pięknie, kolejne dwadzieścia minut stracone na naszej drodze przez to szaleństwo. Zejdźmy już lepiej wszyscy z powrotem do piwnicy, zanim...

– Ale to z kolei to stary numer – przerwała mu Greta. Machała drugą karteczką jak chustką przy pożegnaniu na dworcu.

– Ach tak?

– Tak. Mały pikuś, jakby powiedział mój prawnuczek. O ile się nie mylę, mam to nawet w jednej z moich starych książek o zagadkach.

– I co miałoby to znaczyć?

FINISHED FILES ARE THE RESULT
OF YEARS OF SCIENTIFIC STUDY COMBINED
WITH THE EXPERIENCE OF YEARS

Caspar znał już ten tekst na pamięć, tak często go czytał.

– Nie znam prawie angielskiego, ale żeby znaleźć rozwiązanie, wcale nie jest to potrzebne.

– O co więc chodzi? – zapytał Bachmann.

– Trzeba policzyć „F”.

– F?

– Tak, literę „F”. Jak często powtarza się w tekście?

– Trzy razy – powiedział znudzony Schadeck, zabierając Grecie karteczkę i czytając ponownie tekst na głos.

FINISHED FILES ARE THE RESULT
OF YEARS OF SCIENTIFIC STUDY COMBINED
WITH THE EXPERIENCE OF YEARS

Pokazał kawałek papieru Bachmannowi, później Casparowi.

– Ja widzę cztery – stwierdził Caspar i oddał kartkę Grecie, kiedy Yasmin wykonała wzbraniający się ruch ręką.

– Z tą odpowiedzią mieści się pan już w górnych dziesięciu procentach. To jest mianowicie test na inteligencję. Szeroka masa... – znad okularów rzuciła kolejne niszczące spojrzenie Tomowi – ...to znaczy zwykli ludzie doliczają się trzech. Niektórzy nieliczni widzą

cztery, więc tyle co pan. Ale w rzeczywistości jest tam ich sześć.

– Sześć? Śmieszne, gdzie niby się pochowały? – Tom zaśmiał się.

Greta oddała mu kartkę z triumfującą miną.

– W słowie „of”, które pan, jak i większość przed panem po prostu przeoczyliście.

Caspar zająrzył Schadeckowi przez ramię i rzeczywiście momentalnie wszystkie sześć F rzuciły mu się w oczy jak pochodnie.

FINISHED FILES ARE THE RESULT
OF YEARS OF SCIENTIFIC STUDY COMBINED
WITH THE EXPERIENCE OF YEARS

– Nie do wiary – wyszeptał Tom.

– A jednak. Ludzki mózg myśli zawsze obrazowo. A do słowa „of” brakuje odpowiedniego obrazu, dlatego przegapia się je, chociaż przez cały czas mamy tę literkę przed oczami.

Caspar pokręcił bezradnie głową, zastanawiając się przez chwilę, czy Greta mówi teraz o zagadce, czy raczej o jego wspomnieniach.

– Sześć F? – Tom najwidoczniej ciągle nie potrafił się z tym pogodzić i przeliczył litery jeszcze raz. – Okay, no dobra, ale co to niby miałyby nam powiedzieć?

– No, cóż. Wprawdzie też doliczyłem się tylko trzech, ale wydaje mi się, że tym razem wyjątkowo to ja znam odpowiedź.

Bachmann wyciągnął z bocznej kieszeni kombinezonu gruby pęk kluczy i przejrzał po kolei przymocowane do

każdego z nich plastikowe zawieszki.

– Mam – powiedział w końcu, pokazując zieloną zawieszkę.

– To jest klucz do pokoju „sześć F”.

– „Sześć F”? – zapytała z niedowierzaniem Yasmin. – Nigdy nie słyszałam o takim pokoju. Tu są przecież tylko cztery piętra. Gdzie to niby miałyby być?

– To taki nasz żargon z Raßfeldem. „Sześć F” to skrót od „six feet”. Możecie nie wierzyć, ale Raßfeld też ma poczucie humoru. *Sześć stóp pod ziemią*. W piwnicy. – Kiedy Bachmann zorientował się, że nikt z tego nic nie rozumiał, dokończył: – To klucz do prosektorium.

Godzina 2.16

Sala przyjęła ich przytulnością nieczynnej rzeźni. Raßfeld razem ze swoimi studentami okazjonalnie przeprowadzał tu sekcje zwłok. Mimo to Caspar odniósł wrażenie, jakby piły do autopsji, noże, dłuta, nożyce i skalpele pozostawiły swój ślad także w ścianach prosektorium. *Zraniona dusza przestrzeni*, przypomniał sobie cytat, który kiedyś przeczytał w popularnonaukowym magazynie. Zostało mu to w pamięci. Bezużyteczna wiedza na temat feng shui zamiast użytecznych wskazówek na temat własnej tożsamości.

Caspar czuł się rozdarty wewnątrz. Jak przedszkolak, który nie wie, na jakiej ulicy mieszkają mama i tata, ale z jakiegoś powodu bez przygotowania potrafi opowiedzieć o negatywnej energii. O ludziach,

którzy są zdania, że traumatyczne przeżycia pozostawiają po sobie ślady nie tylko w psychice żyjących, ale także w otaczającej ich materii martwej. Niczym niewidoczny odcisk palca zła, który daje się wyczuć, gdy tylko wejdziemy na oddział urazowy jakiegoś szpitala albo znajdziemy się na miejscu wypadku. Odcisk, który tworzy coś, co ezoterycy nazywają aurą, a realiści atmosferą, i który w zależności od wrażliwości danej osoby wywołuje niepokój, gęsią skórę albo wzbudza strach. Większość grupy w piwnicy wyglądała, jakby odczuwała wszystko naraz. Nawet Sophia zaczęła odдыchać szybciej i nierówno, chociaż jej nieobecne spojrzenie wcale się nie zmieniło.

– Nie chciałabym tu leżeć, kiedy umrę – wyszeptała Yasmin, stawiając wózek tuż obok zlewu u wezłowania stołu sekcyjnego. W półmroku oświetlenia awaryjnego można było wziąć to prostokątne pomieszczenie za futurystyczną kuchnię jakiegoś ekscentryka. Szara podłoga, ściany wyłożone białymi płytkami i wyspą z wypolerowanego aluminium pośrodku. Tylko że wyciąg kuchenny w rzeczywistości był lampą halogenową, a lodówki o chromowanych drzwiach kryły nie żywność, tylko zwłoki.

Bachmann włączył oświetlenie podsufitowe, co tylko jeszcze bardziej wzmocniło niesamowitą atmosferę.

– Czego tu szukamy? – zapytał Schadeck.

– Kolejnej wskazówki.

Caspar sprawdził, czy na podłodze nie ma śladów krwi. Jednak w odróżnieniu od oddziału radiologii, tu Łamacz Dusz nie pozostawił po sobie żadnych śladów.

– A tak w ogóle, to do czego wam prosektorium w

prywatnej klinice psychiatrycznej? – zainteresował się Schadeck.

– Chyba jest taki przepis. Każdy szpital musi być przygotowany na to, że jakiś pacjent umrze. – Bachmann podrapał się niepewnie po łysej głowie. – Ale dotychczas nie było u nas takiej sytuacji.

Do dziś, pomyślał Caspar.

– To po co aż dziewięć lodówek? Cholera, tu nawet nie ma tylu pokoi.

Tom postukał się wymownie w czoło.

– Raßfeld specjalizował się w wirtopsji – powiedział Bachmann, najwyraźniej czując satysfakcję, że Schadeck nie ma pojęcia, co to słowo oznacza.

– Żeby pokroić ciało, potrzeba albo sądowego nakazu, albo zgody rodziny – wyjaśnił. – Jednak wiele osób nie zgadza się na to, żeby ich najbliżsi byli okaleczani. Dlatego coraz częściej wykorzystuje się inną metodę: wprowadza się ciała do tomografu. Niestety pełny skan całego ciała trwa wiele godzin, czasem całą noc. Zwykle tomografy nie są w ogóle zaprogramowane na tak długi cykl pracy. Również ze względu na hałas szpitale chętnie zlecają tego typu badania na zewnątrz. Raßfeld bardzo szybko odkrył, że dzięki wirtopsji można dorobić ładną sumkę. Czasami wszystkie lodówki są zajęte.

Ba-bach.

Caspar wzdrygnął się ze strachu i odwrócił w stronę ściany, gdzie Greta Kaminsky właśnie otworzyła jedną z lodówek.

– Cholera, co pani tam robi? – spytał sanitariusz, który najwidoczniej też się śmiertelnie przeraził.

– A jak myślisz, chłoptasiu?

Greta wysunęła ze ściany puste metalowe nosze na prowadnicach.

– Stoicie jak te półgłówki i szepczecie, jakbyśmy byli w jakimś kościele. Ale domyślam się, że to nie z szacunku dla zmarłych. Po prostu strach was obleciał. Tymczasem jeśli Łamacz Dusz zostawił tu dla nas kolejną wskazówkę, to z pewnością w jednej z tych lodówek, nie?

Ba-bach. Wsunęła nosze z powrotem i otworzyła kolejne drzwi.

Sanitariusz roześmiał się sucho.

– Czy ja dobrze słyszałem, że ona się tu leczy na zaburzenia lękowe? – Schadeck odwrócił się do reszty, unosząc w górę brwi.

– Ja też chcę te prochy – zgodził się z nim Bachmann.

Nawet Yasmin i Caspar nie mogli powstrzymać uśmiechu. Caspar czuł, że niedużo brakuje, a popadną w głupawy nastrój. Jak członkowie rodziny, którzy po pogrzebie opowiadają sobie kawały, żeby wymuszoną wesołością pokonać żal i smutek.

Ba-bach.

– Też nic.

Greta zatrzasnęła drzwi trzeciej lodówki. I znów cała grupa wzdrygnęła się, tylko że tym razem z powodu zupełnie innego odgłosu, który dotarł do nich od strony przeciwległej ściany. Caspar pierwszy wziął się w garść.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując na plastikowy prostopadłościan pod ścianą, który na pierwszy rzut oka przypominał zamrażarkę.

– Kolejna lodówka – wyjaśnił Bachmann.

– To widzę. Miałem na myśli ten odgłos.

Caspar ominął powoli stół do sekcji i przeszedł przez

salę.

– Ciecz chłodząca. – Bachmann starał się uśmiechnąć bagatelizująco. – Przypomina odgłos kosiarki do trawy, wiem. Ale to stare urządzenie. Myślałem, że jest już całkiem odłączone. Raßfeld go już w zasadzie nie używał.

– Aha.

Schadeck poszedł za nim zaciekawiony.

– To dlaczego kabel jest podłączony do gniazdka?

Caspar położył obie dłonie na wieku. Skrzynia otworzyła się z nieprzyjemnym sykiem, a chmura zimna przelała się przez jej brzegi. Odruchowo przycisnął dłoń do ust, ale było za późno. Gryzący smród znalazł skrót do jego mózgu. Przez nos.

Caspar zakasłał i oczy zaczęły mu łzawić. Jednak nie z powodu słodkawego gazu tylko wstrząsającego widoku.

– No i? – zapytał sanitariusz, podchodząc krok bliżej i zatykając nos dwoma palcami. – A to co takiego?

W jego pytaniu było takie samo przerażenie jak to, które wypełniało Caspara.

Ponieważ w skrzyni nie było wewnętrznego oświetlenia, nie mógł rozpoznać, czy bezkrwiste ciało ma wszystkie kończyny. Tylko jedno zobaczył wyraźnie, zanim jeszcze stanęli za nim Yasmin i Bachmann. Z pozbawionego oczu piesiego łba ktoś zdarł połowę skóry.

Godzina 2.18

– Mister Ed – jęknęła Yasmin.

Caspar pomyślał to samo i od razu poczuł wstyd, ponieważ widok okaleczonej istoty przyjął zupełnie

obojętnie.

Może to był tylko jakiś kundel? Może wcale go nie znam? – próbował jakoś uspokoić wyrzuty sumienia. Może jego brak emocji wziął się stąd, że spodziewał się czegoś znacznie gorszego?

Nie, to nie w tym rzecz.

– Mamy go stamtąd wyjąć? – zapytał Bachmann niezdecydowanym tonem.

To wszystko nie trzyma się kupy.

– Łamacz Dusz amputował mu łapy, tak?

Yasmin nie mogła odwrócić oczu od szczątków psa i nawet wywołujące mdłości opary nie robiły na niej wrażenia. Pochyliła się nawet nad skrzynią, tak że Caspar musiał zrobić jej miejsce, za co w duchu był jej szczerze wdzięczny.

– Tak, zdjęto mu skórę przez lewe ucho. Mister Ed nie ma też łap. Boże, jak chory musi być człowiek, żeby robić takie rzeczy?

– To Raßfeld – powiedział Bachmann i ku zgorszeniu pielęgniarki wyciągnął ze skrzyni płaską kość.

– Spójrzcie na to.

Yasmin i Tom gapili się skonsternowani na dozorcę.

– To kość biodrowa psa. Raßfeld osobiście ją odpiłował, ale nie ma w tym nic chorego. Chodzi o to, że...

Caspar pokiwał głową. Zaczynał rozumieć, dlaczego był taki opanowany, dlaczego nie żałował śmierci Mister Eda. Bo...

– ...to nie jest Mister Ed. Jak już powiedziałem, Raßfeld od czasu do czasu pracował tu ze swoimi studentami. To zwykły obiekt ćwiczeń. – Bachmann wrzucił kość z powrotem do skrzyni i zamknął wieko.

– Ten pies został przejechany i weterynarz go nam przywiózł.

– A skąd o tym wiesz?

– Odgarnij sobie z oczu tę rudą perukę Yasmin i przyjrzyj się dokładniej. Mister Ed był kundlem, a ten tutaj to labrador. A smród powoduje formalina. Pies w niej pływał, jest całkowicie pozbawiony krwi, wszelkie płyny organiczne zostały wypłukane. Nawet gdyby Łamacz Dusz był preparatorem zwierząt, nie mógłby tego zrobić w tak krótkim czasie.

– Ale, ale... – jękała Yasmin. – Co w takim razie Łamacz Dusz chce nam przez to powiedzieć?

– Nic. Nie rozumiesz jeszcze? On chce nas...

– ...zabić – dokończyła zdanie Greta z drugiego końca pokoju zmienionym głosem. Teraz to ona mówiła szeptem.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Nikt o nic nie pytał. Nie było też takiej potrzeby. Otwarte drzwi do dziewiątej lodówki świadczyły o tym, czym zajmowała się starsza pani, podczas gdy reszta marnowała czas na dyskusje o preparacji.

– Czy on... Znaczy, czy to on? – spytała Greta, wskazując na nosze. Nie wyglądała teraz już na taką odważną. Jej czoło przecięty nagle głębokie zmarszczki, a skóra połyskiwała zielonkawo w bezlitosnym świetle. Caspar obawiał się, że Greta zwymiotuje, ale kiedy zrobił krok w jej kierunku, skorygował swoje obawy. Ona może wytrzyma, ale przestał być pewny, czy sam da radę. Przełknął ślinę, aby powstrzymać podchodzącą mu do gardła marną zawartość żołądka. Potem przyjrzał się dokładniej wystającej z najniższej szuflady głowie.

Tak, to on.

Raßfeld nie należał za życia do najprzystojniejszych mężczyzn. Ale śmierć zrobiła z niego prawdziwe monstrum.

Godzina 2.20

Wyglądał, jakby ciągle jeszcze umierał. Jakby tylko czekał, aż wreszcie przyjdą i otworzą lodówkę, żeby zostać świadkami ostatnich sekund jego życia. Głowę miał odchyloną do tyłu, jak dziecko, które przygląda się lecącemu wysoko samolotowi, nie chcąc się odwrócić.

Raßfeld krzyczał. Ale nie ustami, z których wystawał fioletowy czubek języka. Krzyczał szeroko otwartymi, martwymi oczami, których nigdy wcześniej tak nie wytrzeszczał. Krzyczał niemo i jednocześnie tak głośno, że Caspar nie słyszał zdenerwowanych głosów wokół siebie. Miał nawet problemy ze zrozumieniem własnych myśli.

Napuchnięte policzki, niebieskawy odcień skóry, ciemne sińce na szyi – Łamacz Dusz musiał go zabić od razu. Plamy pośmiertne pojawiają się zazwyczaj najpierw tam, gdzie najszybciej zbiera się krew po śmierci. Nie na twarzy, tylko na plecach lub pośladkach. Te części ciała Raßfeld miał osłonięte szlafrokiem, który musiał pospiesznie zarzucić na siebie, kiedy doszły go hałasy z pokoju Brucka.

Caspar palcami ostrożnie zamknął powieki ordynatora. Nie z szacunku, ale dlatego, że instynktownie chciał sprawdzić pierwsze oznaki stężenia pośmiertnego.

Skąd ja to wszystko wiem? Skąd wiem, że plamy pojawiają się już po trzydziestu minutach, a stężenie pośmiertne dopiero po godzinie, dwóch i zaczyna się od oczu?

Nie potrafił odpowiedzieć sobie na te pytania. Z jednego tylko zdał sobie sprawę w chwili, kiedy Yasmin z wściekłością kopnęła szafkę z przyrządami medycznymi, a Bachmann bezradnie splótł ręce za głową. Jakaś część jego cieszyła się, była niemal wdzięczna za ten horror, który rozgrywał się wokół niego. Bo odwracał uwagę. Jakkolwiek odrażające było to całe zajście, spowodowało jednak, że nie musiał zajmować się rzeczą jeszcze gorszą. Sobą samym.

Niedługo wrócę i wszystko będzie dobrze, mój skarbie. Wszystko będzie tak jak kiedyś. Nie martw się, słodziutka, okay? Popełniłem błąd, ale znów cię stąd wyciągnę, a wtedy...

Bulgotało mu w brzuchu i zastanawiał się, czy to faktycznie mdłości, czy może raczej duchy jego prawdziwej tożsamości usiłują w końcu dojść do słowa.

– Mogę? – spytał stojący obok niego Bachmann takim tonem, jakby już wielokrotnie zadawał to pytanie.

Caspar ustąpił mu miejsca. Starał się ponownie skoncentrować na tym, co dzieje się wokół. Ale bezskutecznie. Gapił się na zwłoki Raßfelda i miał coraz bardziej niezborne myśli.

Może jestem tylko pościancem? Koniem trojańskim ze śmiertcionośnym ładunkiem w ciele, który czeka tylko na odpowiedni moment, żeby wybuchnąć?

Niewyjaśniona przyczyna amnezji, która doprowadziła go przed bramy akurat tej kliniki psychiatrycznej, i fakt,

że wielokrotnie widział w snach twarz Łamacza Dusz, układały się w dwa parametry równania z trzema niewiadomymi, którego nie potrafił rozwiązać, ponieważ sparaliżowany traumą umysł co chwila przestawiał jego myśli na boczny tor, prowadzący prosto do córki.

Co ja zrobiłem?

– Został uduszony – zdiagnozował Schadeck. Do Caspara jego głos dotarł jak przez grubą ścianę.

Skinął potakująco głową. Sanitariusz miał rację. Opuchlizny twarzy nie mogły wywołać gazy gnilne. Jak na to Raßfeld leżał w zbyt dobrze schłodzonym miejscu. Wszystko przemawiało za tym, że profesor był nieprzytomny, kiedy Łamacz Dusz zamknął go w hermetycznej lodówce.

Caspar chciał jeszcze raz sprawdzić stężenie pośmiertne, kiedy usłyszał coś za sobą. Odwrócił się powoli, przekonany, że wpadli w pułapkę. Dźwięk brzmiał jak mokry od śliny oddech ich prześladowcy, odgłosy biorące się z rany na szyi. Ulżyło mu, kiedy zobaczył, że to nie Jonathan Bruck zakradł się tu za nimi, tylko Sophia wygięła ciało w łuk.

– O Jezu – jęknęła Yasmin, cofając się o krok.

– Co z nią? – zapytała Greta, która zachowała największą z nich wszystkich przytomność umysłu, podchodząc do Sophii i ocierając chusteczką ślinę z kącików ust.

– Pewnie się tylko zachłysnęła – skłamał Caspar, świadomie ukrywając definicję słowa z leksykonu medycznego, którą z jakiegoś powodu znał na pamięć:

Rzężenia przedśmiertne. Potoczne wyrażenie używane przez personel szpitalny określające zjawiska

akustyczne powstające w okresie umierania w wyniku nagromadzenia wydzieliny w drogach oddechowych. Trwają przeciętnie pięćdziesiąt siedem godzin, a umierający są wtedy zazwyczaj izolowani w pojedynczych pokojach ze względu na to, że wywołują grozę wśród innych pacjentów.

Muszę być lekarzem, pomyślał nie po raz pierwszy, dziwiąc się jednocześnie, dlaczego ta myśl jest dla niego tak nieprzyjemna, że dostawał gęsiej skórki.

Co w tym złego?

Wyjaśniałoby to jego wiedzę, podobnie jak wspomnienia o dyktafonie, na który nagrywał przy biurku raport o stanie pacjenta.

Stąd też przez głowę przelatywały mu słowa takie jak „stupor katatoniczny”, „stan wegetatywny”, „zespół zamknięcia”, kiedy z bólem odwracał się od Sophii.

Co może być w tym złego?

– Ona chyba chce nam coś przekazać – wyjaśnił Caspar, nie mając pewności, czy powiedział tak tylko dlatego, żeby przerwać własny tok myśli.

Stanął obok wózka, podczas gdy Bachmann i Schadeck zostali przy lodówce z ciałem Raßfelda. Przez chwilę patrzył w ich stronę.

Dozorca właśnie podnosił zwłoki ordynatora, żeby Tom mógł sprawdzić, czy nie ma czegoś pod nim.

Kolejnej karteczki.

Odwrócił wzrok, ale widok, który zobaczył przed sobą, wcale nie był przyjemniejszy. Sophia otwierała i zamykała usta jak kijanka, a na jej ustach utworzyła się bańka śliny. Potem drgający język rozbił ten nietrwały kokon.

- Soporrrr... – wysepleniła, przewracając oczami.
- Biedactwo – szepnęła Greta, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Moje ty biedactwo.
- Znaleźliście coś? – zapytał Caspar zduszonym głosem, nie oglądając się za siebie.
- Karteczkę z zagadką?
- Tak.
- Nie! – odpowiedział Tom. – Nie ma niczego w dłoniach, przy piżamie i szlafroku nie ma kieszeni. I nic nie leży pod nim.
- Rozumiem. – Caspar cofnął się o dwa kroki, ciągle wpatrując się nieruchomo w otwarte usta Sophii, w których widać było wykonujący niekontrolowane ruchy język. I chociaż sam się tego brzydził, musiał zadać to pytanie.
- A sprawdziliście w ustach?

Godzina 2.22

Najpierw zwlekali, niezdecydowani, kto powinien wykonać to upiorne zadanie. W końcu Caspar sam wyjął z kartonowego pudła parę rękawiczek chirurgicznych i naciągnął sobie na dłonie, zanim pozbawionymi czucia palcami rozwarł zeszywniałe szczęki Raßfelda. Później poszło już szybko. Złożona podwójnie karteczka leżała na języku Raßfelda jak hostia. Gdy Caspar ją wyjmował, pociągnął za nią nitkę zielonkawej śliny.

Położył kartkę na stole sekcyjnym pod ostrym światłem lampy halogenowej. Gdy przyglądał się wybrudzonym śliną czubkom palców w lateksowych rękawiczkach,

przypomniał sobie, że ciągle nie ma butów. O dziwo nie czuł zimna, pewnie z tego powodu, że całe jego ciało miało już tę samą temperaturę co płytki podłogowe pod jego bosymi stopami.

– Co tam jest napisane? – spytała Greta i kwinęła zachęcająco głową. Najwidoczniej wychodziła z założenia, że znalazca ma prawo pierwszy odczytać tekst.

Rozwinął karteczkę, którą Łamacz Dusz znów oderwał z bloczku recept.

– „Wchodzi się jednym wejściem, a wychodzi trzema”.

– Że jak?

Caspar powtórzył.

– Nie rozumiem.

– Ja też się z tym jeszcze nigdy nie zetknęłam...

– Dobra, odwrót, raz-raz... – Schadeck zaklaskał w dłonie, wskazując na wyjście.

– A ja wiem... – zaczęła Greta, ale Tom przerwał jej mało kulturalnie.

– Zna pani rozwiązanie?!

– Nie, jeszcze nie, ale jeśli nie będzie mi pan ciągle przerywał, może uda mi się je znaleźć. – Greta wyzywająco wysunęła do przodu podbródek. – Pozwoli mi pan łaskawie dokończyć?

– Proszę bardzo, mamy przecież czas.

Przesłała cynicznemu sanitariuszowi pełny politowania uśmiech i zwróciła się bezpośrednio do Caspara.

– Mój drogi, znam ten typ zagadek. I gdy uda się raz taką rozwiązać, reszta nie jest już taka trudna. Tu chodzi o tak zwane pytanie metaforyczne.

– Czyli?

– Czyli że słowa w zagadce posiadają wiele znaczeń –

odpowiedziała Schadeckowi, nawet na niego nie patrząc.
– Wystarczy tylko odgadnąć, o które z nich chodzi.

Bachmann odchrząknął i wystąpił krok naprzód.

– Nie bardzo rozumiem, pani Kaminsky.

– Pozwólcie więc, że wyjaśnię to na przykładzie. Znam tylko jedną zagadkę metaforyczną, a brzmi ona tak: „Kupuje się to tylko po to, żeby zaraz wyrzucić”.

Caspar słyszał, jak Tom mruknął w tle „*No nie wierzę*”, podczas gdy Greta niewzruszenie kontynuowała swój wykład na temat metod rozwiązywania zagadek.

– Słowo „wyrzucić” może mieć wiele znaczeń. Pierwsze, co człowiekowi przychodzi na myśl, to oczywiście śmieci, zwłaszcza w połączeniu ze słowem „kupować”. Ale w ten sposób nie rozwiąże się zagadki.

– Dlaczego? Worek na śmieci przecież pasuje – odezwała się Yasmin.

– Nie. Zupełnie nie pasuje. Worek na śmieci kupuje się, żeby najpierw coś do niego włożyć. A nie żeby go „zaraz wyrzucić”.

– Rozumiem. Prezerwatywa i chusteczka też pewnie nie wchodzi w grę. To co jest rozwiązaniem? – zapytał Caspar.

Greta uśmiechnęła się szelmowsko.

– W tej grze słów nie chodzi wcale o przedrostek „wy” tylko o samo „rzucanie”. Jakie są przedmioty, których jedynym przeznaczeniem jest to, żeby zostały wyrzucone?

– Frisbee.

– Znakomicie! Albo piłka. Jak widzicie jest wiele rozwiązań. Wszystko, co kupuje się, żeby zaraz wyrzucić.

– Skąd to pani to wszystko wie? – Tom odepchnął

Caspara na bok i stanął tak blisko Greta, że ta nie mogła go już zignorować.

– A co to pana obchodzi?

– Nie znamy się, paniusiu. Jest pani z nami tylko dlatego, że tamten tego chciał.

Caspar odruchowo zamrugał powiekami, kiedy Schadeck wskazał na niego palcem. Przez chwilę znowu widział hakowate blizny na wewnętrznej stronie jego dłoni.

– Mister Blackout, który twierdzi, że nie może sobie przypomnieć swojej przeszłości i który przypadkowo dostaje się do kliniki akurat wtedy, kiedy Łamacz Dusz przerywa swoje działania. A teraz stoi tu pani, skumplowana z tym anonimem, i jakby nigdy nic rozwiązuje jedną zagadkę za drugą.

– Uważam, że jest pan chamski i bezczelny. – Greta pokręciła głową.

– A ja uważam, że wszyscy zasługujemy na wyjaśnienie, bo tu chodzi o nasze życie. Od kogo więc słyszała pani o tej zagadce?

– Od profesora Raßfelda.

– No jasne, też bym go sobie teraz wybrał. Jakie to praktyczne, że akurat on nie jest w stanie potwierdzić pani odpowiedzi.

Bachmann odchrząknął i z nieoczekiwaną gwałtownością wmieszał się w sprzeczkę.

– Uspokój się, Tom. Pani Kaminsky od lat jest pacjentką naszej kliniki. Nie ma najmniejszego powodu kwestionować jej słów. Ja tam jej wierzę

– Ach tak? – Tętnica na szyi Schadecka zaczęła pulsować gwałtownie.

– Tak. Raßfeld badał w szpitalu Westend pierwsze ofiary Łamacza Dusz. Musiał się więc zapoznać z treścią karteczek. Być może znaleźli też oboje jakieś rozwiązanie, tyle że było już za późno.

– Tak, tak. A gdzieś tam za drzwiami jest facet z czkawką, która mu przechodzi tylko wtedy, jak zabija ludzi. Pocałujcie mnie w dupę.

Tom chciał wziąć Yasmin za rękę, żeby mieć po swojej stronie przynajmniej jedną osobę, skoro reszta towarzystwa zmówiła się przeciwko niemu. Ona jednak odtrąciła go i zwróciła się do Greta.

– Może pani też rozwiązać tę zagadkę? Mam na myśli tę Raßfelda. – Spojrzała krótko na lodówkę z ciałem, którą Caspar zdążył już zamknąć.

– Jasne. Już to zrobiłam.

– Naprawdę? – Yasmin zrobiła wielkie oczy.

– Oczywiście – potwierdziła triumfalnie Greta. – Jak już powiedziałam, kiedy rozwiąże się jedną zagadkę metaforyczną, pozostałe nie są już takie trudne.

Caspar podszedł do stołu sekcyjnego i ponownie wziął do ręki kartkę, którą znalazł w ustach Raßfelda.

– „Wchodzi się jednym wejściem, a wychodzi trzema” – przeczytał głośno.

– Może to labirynt, lisia nora? – zaproponował Bachmann.

– No, nie wierzę! – Schadeck ułożył kciuk i palec wskazujący w coś w rodzaju pistoletu i przystawił sobie do głowy.

– Wykluczone – odpowiedziała Greta. – W jaki sposób chce pan jednocześnie wyjść trzema wyjściami?

– To co to jest? – Caspar też stawał się coraz bardziej

niecierpliwym. Było tuż przed wpół do trzeciej w nocy, na dworze szalała burza śnieżna, a w środku panowała przerażająca atmosfera wywołana przez psychopatę, który wprowadza swoje ofiary w śpiączkę, morduje albo po prostu porywa. Z którejkolwiek strony by na to nie spojrzeć, nie był to najlepszy moment na towarzyskie rozwiązywanie zagadek w prosektorium.

– To proste. – Greta popatrzyła wyczekująco na wszystkich z wyjątkiem Toma. – T-shirt.

– T-shirt?

– No tak, przecież sami mogliście na to wpaść.

Caspar usłyszał te słowa, a kiedy je zrozumiał, poczuł nagle zimno, przed którym dotychczas chroniła go duża dawka adrenaliny.

Oczywiście. Wkłada się jedną stroną, a głowa i ręce wychodzą trzema otworami.

– Co z wami? – zapytał, gdy wokół niego zrobiło się nagle cicho, a Tom zaczął spoglądać na niego wyjątkowo nieufnie.

Caspar popatrzył po wszystkich, zobaczył, jak są ubrani: bluzki Greta i Yasmin, golf Schadecka, kombinezon Bachmanna... i nagle zdał sobie sprawę, że tylko on ma dziś na sobie T-shirt.

Godzina 2.26

– Zdejmuj!

– Zwariowałeś?

– Mówię poważnie, zdejmuj ten cholerny T-shirt. Natychmiast.

– Całkiem ci już odbiło? – Bachmann przyszedł mu z pomocą, ale Schadeck nie dawał za wygraną.

– Naprawdę wierzycie, że wszystko, co się tu dzieje, to przypadek? Ten psychol coś wie! Może nawet jest w zмовie z Łamaczem Dusz?

Yasmin wzdrygnęła się, oplatając się ramionami, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Po co Bruck miałby tymi zagadkami rzucać podejrzenia akurat na swojego partnera? – zapytała oburzona Greta, wskazując na karteczkę ciągle leżącą na metalowym stole.

– Poza tym oznaczałoby to, że również ty jesteś w to zamieszany, bo to przecież ty... – Dozorca odruchowo się cofnął, kiedy dostrzegł nadlatującą pięść, ale atak nie był wcale wymierzony w niego.

Również Caspar się zorientował i może udałoby mu się obronić, gdyby nie fakt, że jego świadomość znów zaciągnęła ręczny hamulec. Szybki obrót i nie udałoby się Tomowi złapać go za koszulkę i ściągnąć jej przez głowę. Słyszał, jak kiepskie szwy puszczają. Odgłos rozdieranego materiału zgrał się zaskakująco z piskiem w jego uszach. Pociąg wspomnień powrócił i wypełnił jego nos gęstym dymem.

– Kurwa, co to jest? – usłyszał jeszcze głos Schadecka, zanim poczuł, że przechyliła się do tyłu i leci w pustkę. Potem język mu zeszytniał i nie mógł już wyjaśnić pochodzenia blizn po oparzeniach, które sanitariusz właśnie odkrył na jego piersi. Casparowi brakowało sił, żeby skupić się na czymś innym niż na kolejnych sekwencjach wspomnień, pędzących w jego stronę.

ECHO WSPOMNIENÍ

– Możemy zaczynać. Jest już gotowa.

Znów siedział przy biurku, kobiecy głos dochodził z głośnika.

– Wszystko przygotowaliśmy, doktorze Haberland.

Odłożył dyktafon.

Haberland? Czy tak się właśnie nazywam?

Zamknięty w trójwymiarowej retrospekcji wspomnień, powoli wstał, przeszedł przez swój gabinet z dyplomami medycznymi na ścianach i otworzył białe wyciszone drzwi.

Potem reżyser tego filmu ustawił szybkie przewijanie i Caspar widział jedynie urywane fragmenty: małą dziewczynkę, która w zmęczonym uśmiechu odstania aparat nazębny. Jej głowa w blond lokach, która sennie opadła na leżankę.

A potem drgawki. Spastyczne drgawki filigranowego ciała, wijącego się jak podczas egzorcyzmów pod naciskiem silnych dłoni, które na próżno starały się zmusić ją do położenia się na leżance.

Jego dłoni.

Caspar usłyszał klaśnięcie, coś zaczęło go piec w twarzy, ale tylko zamrugał i wtedy zrobiło się ciemno. Pociąg wspomnień wjechał do tunelu albo znajdował się w środku nocy na jakimś odludziu, może w lesie. Przez dłuższy czas kompletnie nic nie widział. Aż nagle

zatrzęsło tak mocno, jakby pociąg wypadł z torów.

Coś wstrząsało jego ciałem, rozległo się kolejne klaśnięcie, tym razem jeszcze silniejsze, i z sekundy na sekundę znalazł się w całkowicie zmienionym otoczeniu, przypominającym sen, z którego parę godzin temu wyrwał go Linus.

Nie siedział już w pociągu, a w samochodzie. Swoim samochodzie. Grube krople deszczu rozbijały się o przednią szybę. Szybko, bardzo szybko. Tak szybko nie migwały nawet drzewa na poboczu drogi, którą jechał.

Dlaczego w taką pogodę pędzę jak szalony?

Włączył wycieraczki, ale mimo że pracowały na najwyższych obrotach, na szybie pozostawał mglisty welon.

Ja płaczę! Dlaczego płaczę? I dlaczego nie skupiam się na drodze, tylko sięgam... w stronę siedzenia pasażera?

Podniósł akta i przekartkował mniej więcej do połowy. Zdjęcia. Dwa. Większe z nich, przedstawiające Jonathana Brucka wypadło na siedzenie, gdzie leżała do połowy pusta butelka whisky.

Ale nie miało to znaczenia. Znacznie ważniejsza była paszportowa fotografia.

Dlaczego wyjmuję zdjęcie córki z dokumentacji medycznej i się na nie gapię? Dlaczego nie patrzę na drogę, zalaną wodą jezdnię, której i tak przez łzy prawie nie widzę?

Obie poduszki powietrzne eksplodowały, a pas bezpieczeństwa szarpnął go w tył. Jednak wobec płomieni, które chwilę później wystrzeliły z deski rozdzielczej, systemy bezpieczeństwa w jego samochodzie były bezradne. Spróbował poruszyć

nogami, zgniół małe zdjęcie córki w dłoni, kiedy w bólu próbował obrócić się na bok i otworzyć drzwi, ale był... sparaliżowany. Albo zakleszczony.

Cholera, jestem w pułapce. Nie wydostanę się stąd, muszę się... obudzić... muszę...

Godzina 2.31

– ...obudź się!

Znow usłyszał plaśnięcie, tym razem głośniej, i zapiekł go lewy policzek.

– Wystarczy, nie tak ostro – ostrzegł jakiś głos nad nim.

– On przecież symuluje – powiedział Tom Schadeck.

Caspar otworzył oczy i w tej samej chwili zobaczył pędzący wprost na niego samochód z włączonymi długimi światłami. Poderwał do góry ręce, które natychmiast chwyciły dwie silne dłonie. Zamrugał. Reflektory samochodu zmieniły się w światło z lampy halogenowej. Musiał znowu stracić przytomność, a wtedy położyli go na stole sekcyjnym. Caspar zakasłał. Poczul krew.

– Wszystko w porządku? – zapytał zaniepokojony Bachmann. Obok jego kanciastej głowy pojawiła się chłopięca twarz Schadecka.

– Co tym razem sobie przypomniałeś? – zapytał ostro.

– Miałem wypadek – odpowiedział Caspar.

– Tak, upadł pan do tyłu i uderzył się w głowę – wyjaśnił dozorca.

– Nie, nie o to mi chodzi. – Caspar pokręcił lekko głową, co jeszcze bardziej wzmogło pulsujący ból. Z trudem wsparł się na łokciach i zakasłał jeszcze raz.

– Wypadek musiał się wydarzyć jakiś czas temu.

– Co dokładnie się stało?

Zastanawiał się, czy powinien zachować w tajemnicy część prawdy, tak samo jak przemilczał dotychczas

błyski wspomnień dotyczące Łamacza Dusz.

– W ulevie wypadłem z drogi – zaczął w końcu. – Mój samochód zaczął się palić, a ja niemal spłonąłem. Stąd te blizny.

– Tak po prostu?

Nie, nie tak po prostu, pomyślał. Zdawał sobie sprawę, że Tom mu nie ufa.

– To przecież jakieś bzdury.

– Po co miałyby zmyślać? – spytała Greta, która zmęczona opierała się na rączkach wózka Sophii.

– Żeby odwrócić uwagę od tego, co to wszystko ma wspólnego z psychopata i jego tajemniczymi karteczkami.

Schadeck pogroził Casparowi palcem.

– To trochę dziwne, nie? Rozwiązanie ostatniej zagadki prowadzi nas do T-shirtu Caspara, pod którym ukrywał blizny wyglądające, jakby go ktoś przypiekał w mikrofalówce.

Greta pokręciła bezsilnie siwowłosą głową.

– Mogłam się pomylić. Golf pasuje równie dobrze. A ma go na sobie akurat pan.

– Tak, ale je nie mam blizn po oparzeniach – zaprotestował Tom. – A jego pierś wygląda, jakby została oszpecona podczas jakiegoś zбочzonego rytuału, dobrze mówię? A on nam tu teraz wciska jakieś bajki o niezawinionym wypadku samochodowym?

– Nie niezawinionym. Byłem pijany.

Caspar zebrał wszystkie siły i usiadł, spuszczaając nogi z brzegu stołu.

– Ach tak. A wcześniej podziękowałeś za łyka. Myślałem, że nie pijesz?

Schadeck roześmiał się szyderczo.

– Wówczas miałem powód.

– Jaki?

Caspar westchnął ciężko.

– Nie jestem jeszcze pewny do końca, ale wszystko wskazuje na to, że jestem lekarzem. Miałem małą pacjentkę, dziewczynkę. To chyba była moja córka. W każdym razie była pod moją opieką, a ja musiałem coś źle zrobić.

– Błąd w sztuce? Źle pan leczył córkę?

– Być może. Chyba tak.

Starał się przegonić trudne obrazy spastycznych drgawek, ale w ich miejsce z impetem wciśniętej siłą pod wodę piłki lekarskiej na powierzchnię wypłynęło wspomnienie Katji Adesi. Jej nauczycielki ze szkoły podstawowej, drugiej ofiary.

– W każdym razie zaraz po tym utopiłem swoją rozpacz w butelce whisky, siadłem za kierownicę i wjechałem w drzewo.

Caspar sięgnął po strzępy rozdartej koszulki i kciukiem przejechał po najdłuższej bliźnie, ciągnącej się od mięśnia piersiowego prawie do pępka.

Spojrzał na siebie. W sztucznym świetle zdeformowana, bezwłosa skóra wyglądała jak różowe potoki lawy, wylewające się z pęknięcia gruntu.

Momentalnie zniknął strach, zastąpiony innym, znacznie silniejszym uczuciem: żalem. Wiedział, jakie prawdziwe znaczenie mają jego blizny. Świadczyły o tym, że popełnił niewybaczalny błąd i że nigdy nie będzie mógł dotrzymać danego słowa.

Niedługo wrócę i wszystko będzie dobrze, mój skarbie.

Wszystko będzie tak jak kiedyś.

– Nie jestem pewny... wydaje mi się... przypuszczam – przedrzeźniał Tom wyjaśnienia Caspara. – Więc nie masz z tym nic wspólnego, tak? A skąd, u diabła, Łamacz Dusz wie o twoich bliznach?

– Nie mam zamiaru słuchać tego twojego pieprzenia. – Caspar zeskoczył ze stołu i wściekły zacisnął pięści. – Akurat ty chcesz mnie o coś obwiniać? A gdzie ty byłeś, kiedy Raßfeld zniknął? Kto wyczarował drugą karteczkę z worka? Co?

Teraz on naśladował pogardliwy ton Toma.

– Jak widzisz, bez trudu mogę zaatakować cię twoją bronią.

– Przestańcie się wreszcie kłócić! – wtrąciła się Greta i Schadeck rzeczywiście chyba się trochę uspokoił.

– Świetnie, przyjmijmy, że nie jesteś w to zamieszany. Jakie znaczenie w takim razie ma ta zagadka?

– Nie mam pojęcia.

– Ale może ja wiem.

– Ty?

Wszyscy odwrócili się zdziwieni w stronę Yasmin, która nieoczekiwanie zabrała głos.

– Mów!

– No więc, ja...

Odchrząknęła nerwowo i znów zaczęła bawić się pierścieniem.

– ...więc myślałam już wcześniej o tym, kiedy siedziałam z Sophią przed kominkiem.

– O czym? – Schadeck, który stał najbliżej, troskliwie odgarnął czerwony kosmyk włosów z czoła pielęgniarce.

– O ogniu – odpowiedziała. – Sam przecież

powiedziałeś, że gródz nie powinna się zamykać na amen ze względów przeciwpożarowych i w ogóle.

– No i?

– Może Łamacz Dusz tymi głupimi zagadkami przekazuje nam wskazówki. To są na pewno jakieś zwariowane podchody, albo coś, a te blizny po oparzeniach to tylko kolejna wskazówka.

– Na temat wyjścia awaryjnego? – Caspar spojrzał na nią pytająco.

– Tak. To znaczy... – Yasmin znów się zająknęła i dopiero po chwili odważyła się sformułować do końca swój pomysł: – Dlaczego nie podłożymy ognia? Gródz z pewnością się otworzy, kiedy czujniki wykryją pożar.

– Wcale niegłupi pomysł – zaczął Caspar, ale Bachmann był innego zdania.

– A co jeśli nie? Nie, nie, nie. To zbyt niebezpieczne. Nie znam tak dobrze tego systemu, nigdy wcześniej go nie używaliśmy.

Również Schadeck podniósł ręce w obronnym geście.

– On ma rację. Jeśli plan się nie powiedzie, upieczemy się tu żywcem.

– Niekoniecznie – powiedział Caspar i odczekał moment. Dopiero gdy skupiał na sobie uwagę wszystkich, objaśnił swój plan.

Godzina 2.36

Oczywiście, że był to błąd. Nie powinni byli się rozdzielać, wbrew temu, co wcześniej postanowili. Caspar przeczuwał, że będzie to miało fatalne skutki już

w momencie, kiedy to zaproponował.

Ale tylko w ten sposób mogło się udać.

Jedynie Greta doszukała się czegoś pozytywnego w tym planie. Chciała przyłączyć się do niego i pójść na oddział radiologii, co oczywiście nie wchodziło w grę. Obok Sophii ona była najślabszym ogniwem łańcucha. On sam będzie miał wystarczająco dużo roboty z zapewnieniem sobie bezpieczeństwa, kiedy przyjdzie co do czego. Podczas ucieczki nie może mieć ze sobą siedemdziesięciodziewięcioletniej wdowy skarżącej się na kłopoty z biodrami. W końcu zdecydowali, że będzie mu towarzyszył Bachmann, i to też po wielu protestach. Reszta po krótkiej, ale gorącej dyskusji udała się z powrotem na górę, do biblioteki.

– To jeszcze większy błąd niż moje małżeństwo – mruknął pod nosem dozorca. Ale wziął od Caspara plastikowy kanister, który tamten znalazł w jednej z wbudowanych szaf: CLINIX-CLEAN, alkoholowy zmywacz z dodatkiem chlorku amonu. Na kanistrze widniała czarno-żółta trójkątna naklejka ostrzegawcza z buchającym płomieniem.

– Co może się nie udać? Przecież tu są ognioodporne drzwi i autonomiczny system wentylacyjny? – Caspar skinął w stronę szklanej szyby, podobnej do tych, jakie w studiach radiowych oddzielają pokój nagrań od pomieszczenia z aparaturą.

– Przecież sam pan zaproponował pomieszczenie z tomografem.

– Tak, ale żeby się w nim schować, a nie żeby je podpalić.

Caspar wziął drugi kanister i zamknął szafę. Miał

nadzieję, że Bachmann nie dopatrzy się w jego zbyt pewnym sobie głosie sygnałów, że tak naprawdę podziela jego wątpliwości.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, gródź otworzy się, kiedy włączą się czujniki dymu, a wszyscy na górze będą mogli uciec z biblioteki do parku.

Caspar wiedział, że naprędce sklecony plan nie jest do końca przemyślany. Nie miał na przykład żadnego pomysłu na to, w jaki sposób zjadą z Teufelsbergu z Sophią, żeby koła wózka inwalidzkiego nie ugrzęzły w śniegu. Ale podobnie jak reszta członków grupy musiał podejmować decyzję z chwili na chwilę. Miał nadzieję, że wpadnie na jakiś pomysł, kiedy już uda mu się uwolnić wszystkich z kliniki.

– W najgorszym wypadku gródź się nie otworzy – kontynuował Caspar. – Ale ponieważ podłożymy ogień w pomieszczeniu z tomografem, drzwi przeciwogniowe zapobiegą rozprzestrzenieniu się ognia na całą klinikę. – Wskazał na gaśnicę wiszącą na ścianie przy drzwiach prowadzących na korytarz.

– Ma pan ogień?

– Zapalki.

Bachmann klepnął się w kieszeń na piersi.

– Okay, w takim razie... – Caspar przerwał w środku zdania i spojrzał do góry, na sufit.

– Co z panem? – zapytał Bachmann.

– Słyszał pan?

– Co takiego?

– Ten hałas.

Bachmann akurat miał zamiar pokręcić przecząco głową, kiedy zamarł z kanistrem w ręce. Na pierwszym

poziomie piwnicy hałas był ledwo słyszalny, ale jednak się go wyczuwało, jak podprogowo odbierane dźwięki basu kinowego subwoofera. Caspar odniósł niesamowite wrażenie, że dźwięki idealnie pasowałyby jako podkład do ostatniego wspomnienia o jeździe samochodem.

– Zupełnie, jakby lądował helikopter. – Bachmann wypowiedział to, czego życzył sobie Caspar. Jego puls przyspieszył i po raz pierwszy od dawna poczuł przyływ nadziei.

Może Linus sprowadził pomoc? To całkiem możliwe.

Oczywiście. Yasmin powiedziała przecież, że słyszała kogoś na balkonie.

Bachmann zmarszczył brwi, podszedł do ściany z gaśnicą i przycisnął do niej ucho.

No jasne. Linus poszedł za Bruckiem. Gródź go zablokowała. Linus uciekł i poinformował policję.

Nadzieja Caspara rosła razem z coraz głośniejszym łomotem. Jednak wtedy jeden ruch głową dozorca natychmiast zgasił tę nadzieję.

– To tylko wichura – oznajmił z żalem. – Napiera na żaluzje. Na górze, na trzecim piętrze jedna z nich jest przecież zablokowana metalowym prętem. Pewnie wiatr tamtędy wpada i tworzy podciśnienie w hermetycznie zamkniętej klinice.

Podciśnienie? Hermetycznie zamkniętej?

Caspar nie wiedział, czy paranoja opanowuje go coraz bardziej, ale te wyjaśnienia brzmiały zbyt profesjonalnie jak na dozorcę.

Z drugiej strony jednak nie można było porównać Bachmanna ze zwykłym szpitalnym dozorcą i recepcjonistą, był przecież zaufanym człowiekiem

Raßfelda i czytywał podręczniki do retoryki, żeby się doksztalcać. *Ale mimo wszystko*. Było przecież coś, co już kilka godzin temu wzbudziło w Casparze podejrzenie.

– Co się w zasadzie stało z plugiem śnieżnym? – zapytał, sięgając po gruby plik papieru z biurka komputerowego przy panoramicznej szybie.

– Że co?

– Po tym jak zabrał pan Schadecka i Brucka z rozbitej karetki z podjazdu i przywiózł tutaj. Linus mi pokazał. Ktoś przerwał przewód paliwowy.

– Serio?

Bachmann sprawiał wrażenie nierozumiejącego, o co chodzi, a Caspar zezłościł się na siebie, że w ogóle o tym wspomniał. Co chciał osiągnąć przez te głupie pytania? Żeby Bachmann przyznał potulnie: „Tak, bardzo przepraszam, ale nie chciałem, żeby ktokolwiek opuścił klinikę”?

– To musiał być Schadeck. On jest jakiś dziwny.

– Całkiem możliwe – rzucił krótko Caspar, wciskając pod pachę jeszcze trzy książki medyczne. – Teraz to i tak nie ma już znaczenia.

Poszli razem do pomieszczenia obok.

W pokoju zabiegowym stał futurystyczny tomograf komputerowy, który spokojnie mógłby posłużyć w jakimś filmie science fiction za wrota do innego świata.

Caspar stanął obok urządzenia i spojrzał w górę.

– Czy ta migająca rzecz to jest to, o czym myślę?

– Tak.

– W tak razie trzeba to zrobić dokładnie tutaj.

Caspar wyjął dwa ręczniki z powierzchni do leżenia w tomografie, zwinął je i rzucił na podłogę pod czujnikiem.

Potem z jednej z książek wyrwał sporo kartek, a resztę tomów ustawił jak polana na obozowym ognisku.

– Pan to wszystko obleje – powiedział do Bachmanna, który odkręcił już kanister. Wyglądał przy tym jak ktoś, kto sam nie może uwierzyć w to, co robi.

– Zdaje pan sobie sprawę, że ten sprzęt kosztował ładnych parę milionów?

Caspar skrzywił się w uśmiechu.

– Chociaż przykro mi, że to mówię, ale awantury ze strony szefa kliniki raczej nie musimy się obawiać? – Skinął na Bachmanna. – Niech pan zatem nie zwleka, zanim spotka nas to samo.

Płyn z niemal obscenicznym gulgotem zaczął wylewać się na prowizoryczny stos książek. Potem Bachmann wyjął z kieszeni na piersi paczkę zapałek i już miał potrzebę pierwszą z nich o draskę, kiedy w drzwiach za nimi rozległo się delikatne kliknięcie ryglującego się zamka. – Co do diabła...?

Caspar obrócił się, akurat na czas, żeby dostrzec ciemny cień, który przemknął po szybie odgradzającej oba pomieszczenia. Później tomograf zaczął migać. Z jego wnętrza dobiegł hałas, jakby ktoś siekierą walił w metalową pustą beczkę. Wszystko to działo się w tym krótkim ułamku sekundy, kiedy przestraszony Bachmann upuścił płonąca zapałkę.

Godzina 2.39

Dwa płomienie buchnęły jednocześnie pod sufit. Ale tylko jeden z nich był prawdziwy, drugi po sekundzie

okazał się odbiciem w szybie. Twarz za nią uznał Caspar na początku również za złudzenie optyczne. Jednak wtedy półnagi mężczyzna uderzył pięścią w szklaną ścianę. Caspar od razu rozpoznał zniekształconą wściekłością twarz. Nie było wątpliwości. Jonathan Bruck ciągle miał na sobie szpitalną koszulę nocną, tyle że teraz miała ona z przodu niezliczone rdzawe plamy, a spod przekrzywionego opatrunku na szyi również wypłynęło mnóstwo krwi.

Caspar zaczął się pocić, odwrócił się i poczuł na twarzy falę gorąca.

– Musimy uciekać! – krzyknął do Bachmanna. Ten też zauważył Łamacza Dusz i z plecami przy ścianie powoli zaczął się wycofywać przed wytwarzającymi coraz więcej dymu płomieniami w stronę drzwi.

– To nie ma sensu! – krzyknął Caspar głośniejszym głosem, niż było to konieczne, wykorzystując moment ciszy w hałasie wytwarzanym przez tomograf. Na dowód nacisnął klamkę w drzwiach. Bez skutku. Ze względów bezpieczeństwa automatyczny zamek otwierał się dopiero po zakończeniu badań, a przecież Bruck włączył tomograf przed chwilą. Jeśli ustawiony był program wirtopsji, potrwa to kilka godzin.

– Wypuść nas! – wrzasnął Caspar i sam uderzył w wielką szybę, której gołymi rękami nie dawało się nawet wprawić w drgania. Ale Bruck wcale nie miał takiego zamiaru. Jakby chciał spotęgować przerażenie swoich więźniów, nachylił się i zaraz potem pokazał się z długimi nożycami do papieru w dłoni. Bruck poruszał ustami, wypowiadając dużo niezrozumiałych słów, a potem...

O mój Boże...

...wbił sobie ostrze nożyczek w lewą dłoń.

Co on wyprawia? – przemknęło przez głowę Caspara pytanie, na które natychmiast otrzymał krwawą odpowiedź. Bruck napluł na szybę i przyłożył do niej przedziurawioną dłoń. Casparowi wydawało się nawet, że słyszy cichy pisk, kiedy zakrwawiona ręka przesuwawała się w dół po szybie, pozostawiając za sobą czerwony ślad.

On chce coś nam powiedzieć! To jakiś znak. Tak samo jak nóż w jego szyi był znakiem.

Caspar był przerażony i zafascynowany jednocześnie, czując, jak zaczyna mu ciec z nosa, bo coraz gęstsze kłęby dymu podrażniały błony śluzowe. Trwało to jakąś chwilę, zanim mimo łzawiących oczu zdołał odczytać to, co po drugiej stronie szyby napisał Łamacz Dusz. Najpierw pomyślał, że to jakiś zygzak, potem że znak SOS, aż w końcu zrozumiał, że na ostatnią samogłoskę zabrakło Bruckowi krwi: *Sophi...*

Oczywiście. Szaleniec upatrzył sobie wyłącznie lekarkę, żeby na niej dokończyć swego dzieła. Dlatego przecież nie liczyli się z tym, że Bruck zaatakuje ich tu na dole, na oddziale radiologii, skoro jego właściwy cel czekał na niego na górze, w bibliotece. Ale teraz ich zaszachował. Zamknął, w rozpętanym przez nich samym piekle. Nawet gdyby teraz gródz się otworzyła, nic by im to na dole nie dało. Uduszą się dymem, jeśli nie wpadną na pomysł, w jaki sposób zgasić ogień.

Jak? Cholerna gaśnica jest na zewnątrz.

Caspar patrzył na zmianę to na Łamacza Duch, to znów na płomienie.

Specjalnie ją tam zostawiłem, żebyśmy mogli stamtąd zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia do drugiego pomieszczenia.

Tego, że mogą zostać zamknięci już po wznieceniu pożaru, nie przewidział. Tak samo, jak zapomniał o drugim kanistrze, który w tym momencie eksplodował.

Godzina 2.43

Fala uderzeniowa rzuciła go na ścianę. Caspar niemal czuł, jak topią mu się włoski na rękach.

– Pomóż mi! – wrzeszczał Bachmann. Jego prawa nogawka zajęła się ogniem. Caspar zerwał z siebie ostatnie strzępy koszulki i zdusił płomień szybkimi uderzeniami.

I co dalej?

Koszulka Caspara ledwo starczyła na zgaszenie spodni dozorczy. Czym mieli teraz stłumić ścianę ognia, która sięgała już do drewnianych paneli na suficie?

Caspar kręcił się dookoła własnej osi w nadziei, że może jednak znajdzie gdzieś na ścianie drugą gaśnicę. Jego wzrok zatrzymał się na Brucku, który ciągle z szaleństwem w oczach i pianą na ustach gapił się przez szybę i niemal ze współczuciem kręcił głową, zupełnie jakby chciał powiedzieć: *Przykro mi, ale niestety jesteście nieuniknionymi skutkami uboczymi, z którymi zawsze trzeba się liczyć.* Caspar czuł się jak jakieś zwierzę w zoo, obserwowane przez obłąkanego zwiedzającego, który w jego klatce podłożył ogień i zablokował jedyną drogę ucieczki. Uklęknął z nadzieją, że niżej dym będzie

rzadszy i ku swemu przerażeniu zauważył, że ogień trawi już pokryte sztucznym materiałem obrotowe krzesło.

Nie czekając ani chwili dłużej, chwycił gorące metalowe pręty pod siedzeniem, zignorował przeszywający ból i rzucił krzesłem prosto w szybę. Szkło zatrzęsało się już w sposób widoczny, a w miejscu gdzie uderzyło krzesło, powstała cienka ryska. Ciągle jednak byli zamknięci.

Caspar chciał jeszcze raz podnieść krzesło, ale nic już nie widział. Dym był jeszcze bardziej gęsty niż w jego koszmarach o wypadku i musiał przycisnąć obie dłonie do oczu. Dostał nagłego napadu kaszlu. Miał wrażenie, że pękają mu płuca, kiedy nagle poczuł powiew powietrza. Dopiero po chwili zorientował się, że Bachmann znalazł krzesło i rozbił nim szybę.

Zamrugnął powiekami i zobaczył jeszcze, jak dozorca usuwa podszewkami butów resztki szkła z ramy, a potem ostatkiem sił tonącego, przetacza się przez krawędź do pomieszczenia obok.

– Przynies gaśnicę! – krzyknął Caspar. Ogień za nim dostał nowej dawki tlenu. Tylko tomograf opierał się jeszcze płomieniom i ciągle wydawał z siebie monotony odgłos.

– Gaśnica! – powtórzył niecierpliwie Caspar i zdecydował się w końcu sam działać, kiedy nie doczekał się odpowiedzi. Nie mógł dłużej zostać w tym piekle płomieni, nawet jeśli skok na rozsypane kawałki szkła będzie dla niego znacznie bardziej bolesny niż dla dozorca. Ciągle był przecież bosy.

Tak jak Bruck.

Wsparł się obiema rękami o framugę wybitej szyby. Przeciął skórę na dłoni i krzyknął, kiedy oparł na nich

cały ciężar ciała, żeby przedostać się do pomieszczenia obok. Spadł jakiś metr w dół, przekoziółkował i nowa fala bólu przeszła jego ciało. Podczas upadku w ramię wbił mu się spory odłamek szkła. Dodatkowo inny kawałek wszedł głęboko w piętę i złamał się, gdy Caspar oparł się całym ciężarem na stopie.

Skacząc na jednej nodze, dotarł do ściany, zdjął gaśnicę i prawie ją upuścił, ponieważ przecenił nieco resztki sił, które mu zostały. Ale w końcu udało mu się uderzyć bezpiecznikiem o blat biurka, przesunąć dźwignię i skierować strumień białej piany na kolejne źródła ognia w pomieszczeniu z tomografem, aż wreszcie stłumił ostatni płomień.

Wyczerpany oparł się o szeroki monitor na biurku zabrudzony sadzą. Wewnętrznie przygotowywał się już na odparcie kolejnego ataku. Gdzieś musieli przecież być i Bachmann, i Bruck.

Wiedział, że poradził sobie na razie z najmniejszym z niebezpieczeństw. Dlatego ulżyło mu, gdy w drzwiach prowadzących na korytarz pojawiła się znajoma twarz.

– Tom? – zapytał Caspar, odkładając gaśnicę. – Udało się? Podniosła się gródź?

Schadeck pokręcił głową i wszedł do środka. Widocznie nie paliło się wystarczająco długo. Albo czujnik dymu w pomieszczeniu z tomografem nie był jednak połączony z całym systemem.

– Ale skąd się tutaj wziąłeś? Bachmann cię sprowadził?

– Nie – powiedział Schadeck i zrobił jeszcze jeden krok w kierunku Caspara. Potem wyjął pistolet i strzelił mu prosto w pierś.

Dziś, godzina 13.32

**Dużo później,
wiele lat po lęku**

Powiew wichru wstrząsnął willą, jakby pod budynkiem przejechało metro. Profesor podniósł głowę, ale jego studenci byli za bardzo pochłonięci lekturą protokołu, żeby podmuchy mogły odwrócić ich uwagę. Ściemniło się. Zapalili małą lampkę, którą wcześniej przewidująco postawił na stole między nimi.

Z drugiego końca stołu wyglądali jak uczniowie, którzy razem przygotowują się do jakiegoś sprawdzianu.

Podczas gdy Patrick podparł głowę na obu dłoniach, Lydia przesuwiała ołówkiem nad każdą linijką tekstu. Jej usta poruszały się podczas czytania. Obok z prawej strony leżał zeszyt, w którym od czasu do czasu coś notowała.

Profesor wstał i się przeciągnął. Pomimo bólu słuchał porad swojego ortopedy i co dwie godziny rozprostowywał stawy. W jego rozumieniu lekarz przekazywał mu tak samo mało skuteczne wskazówki, jak przyjaciel, który swego czasu namówił go do odwiedzenia tamtego baru.

Lydia znów coś zanotowała, a on postanowił, że sprawdzi, co ona tam pisze. Przeszedł obok pustych regałów, z których usunięto wszystkie książki. Prawdopodobnie, żeby je sprzedać na pchlim targu albo

przez Internet. Tylko jedna jedyna pozycja nie znalazła zainteresowania i stała teraz zakurzona za pękniętą szybą witryny. Jej grzbiet był obdrapany i oblepiony mysimi odchodami, ale i tak wyglądała, jakby ktoś dziś rano wstawił ją tam specjalnie dla niezapowiedzianych gości.

Profesor poszedł dalej, z jednej strony dlatego, że nie mógł znieść widoku chudej wypełnionej uczuciem winy twarzy, która odbijała się w szybie witryny. Z drugiej strony nie chciał w ogóle wiedzieć, o który dokładnie tom leksykonu medycznego chodzi. Dotychczas udawało mu się też unikać spojrzenia w stronę kominka. Tym razem jednak jego wzrok zatrzymał się na zgniecionej plastikowej strzykawce. Wystawała jak bierka spomiędzy zgiętej anteny telewizyjnej, resztek kabli i wyrwanej płytki podłogowej.

Nie rób tego!

Wewnętrzny głos nakazał profesorowi nie ruszać strzykawki.

Zupełnie niepotrzebnie tak głośno w nim krzyczał. Profesor i tak nie miał zamiaru jej stamtąd wyciągnąć, ryzykując, że być może, rozpadnie się przez to domek z kart jego psychiki.

Odchrząknął cicho, żeby nie przestraszyć swoich studentów, kiedy się zbliżał. Jednak ci byli bardzo daleko, w zupełnie innym świecie. Jak stwierdził kiedyś Stephen King w swojej książce *Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika*, pisanie to telepatia. Autor przeszczepia własne myśli w głowy czytelników, pozwalając im często, mimo dystansu nawet tysięcy kilometrów, widzieć, odczuwać i odkrywać miejsca, w których nigdy wcześniej

nie byli.

A co, jeśli to są złe myśli?

Profesor, ciągle jeszcze niezauważony przez swoich studentów, stanął za Lydią, starając się, żeby jego cień nie padał na zeszyt. Jej dziewczęcy charakter pisma pasował do utartych opinii o płci: czysty, uporządkowany, ozdobny.

„Caspar?” widniało na samej górze kartki szarego, ekologicznego papieru. Poniżej zapisała w nawiasie kilka informacji, które wyczytała dotychczas z protokołu:

(lekarz / ojciec córki? / Hamburg / błąd w sztuce lekarskiej

Następną kolumnę poświęciła Łamaczowi Dusz. Profesor uśmiechnął się smutno, kiedy przeczytał ostatnią notkę, którą Lydia zakończyła trzema znakami zapytania i podwójnie podkreśliła.

Łamacz Dusz = Jonathan Brudo (doktor, kolega, samookaleczenie, motyw???)

Ostatnie zagadnienie warte było według niej nowego, lekko wciętego akapitu: MOTYW?.

Dręczenie Sophii? Uniemożliwienie jej, żeby zdradziła, co wie? O Casparze? O córce Caspara?

Następnych słów nie potrafił jednoznacznie rozszyfrować, ponieważ Lydia zasłaniała część łokciem.

Dostarczenie do kliniki – przypadek? (Co wspólnego ma z tym Tom? Jaki jest związek z pozostałymi ofiarami?).

Ostatnie zdanie było wyraźne. Napisała je wielkimi literami: ZEMSTA ŁAMACZA DUSZ?

Wiatr znów uderzył w zaciągnięte brudem szyby i Patrick po raz pierwszy podniósł wzrok, ale tylko po to, żeby sięgnąć po butelkę z wodą. Tego, że szef

eksperymentu psychologicznego nie siedzi na swoim miejscu, tylko stoi za nimi, nawet nie zauważył.

Dziwne, pomyślał profesor, nie patrząc już na notatki Lydii. Dziwne, że mimo złych wniosków dochodzi się na końcu do poprawnego, decydującego o wszystkim pytania.

Jego wzrok, jakby przyciągany niewidocznym magnesem, znów powędrował w stronę kominka, który z tego miejsca sprawiał wrażenie, jakby chciano go zapchać śmieciami i gruzem, żeby jego ogień nigdy więcej nie zdradził tajemnicy.

Gdy Lydia otworzyła 174 stronę akt, wywołało to taki odgłos, jakby wyłamywał sobie palce.

Patrick, który czytał trochę wolniej, dopiero kilka minut później podążył za nią w zdradliwy świat wspomnień Caspara.

AKTA PACJENTA NR 131071/LARENZ

str.174–257

ECHO WSPOMNIENÍ

W swoim śnie Caspar odczuwał żal jak żywą istotę. Składały się nań liczne ciała podobne do kleszczy, które zagnieździły się w jego duszy i wysysały z niego każdą najmniejszą nawet radość.

Gdy tylko otwierał usta, żeby usprawiedliwić się przed swoją porzuconą jedenastoletnią córką, wpętało w nie nowe stado kleszczy, spragnione i wygłodzone, z ostrymi zadziorami na odnóżach, gotowe wpić się w śluzówkę tchawicy i przetyku i zaspokoić własne pragnienie jego siłami życiowymi. Wiedział, że nigdy już nie będzie szczęśliwy. Nie po tym błędzie.

Dlatego znów sięgnął po butelkę, wypił kolejny łyk, chociaż i tak już nic nie widział. Przy tym deszczu. I przy tej prędkości, z jaką pędził swoim samochodem, uciekając przed sobą samym.

Myślał, że nic się nie może stać. Przy jego metodzie leczenia jeszcze nigdy nic złe nie poszło. I musiało się to stać akurat teraz, przy najważniejszej pacjentce w jego życiu.

Sięgnął po akta, wyjął z nich zdjęcie, pocałował je i jeszcze raz podniósł butelkę.

O Boże, dlaczego ja ci to zrobiłem?

Zacisnął dłoń na zdjęciu, spróbował przestawić wycieraczki na wyższy bieg, ale nie trafił w dźwignię, i wtedy zobaczył drzewo. Wcisnął hamulec, zakrył twarz dłońmi i krzyknął: „Co ja zrobiłem?”

Potem zrobiło się jasno. Oczywiście nadal spał, słyszał własny niespokojny oddech, ale nie mógł się obudzić. Nadal był więźniem koszmaru, chociaż otoczenie nagle się zmieniło. Nie siedział już w samochodzie, tylko na brzegu twardego łóżka. Jego białe stopy dyndały w powietrzu, a na nadgarstku miał plastikową opaskę z jakimś numerem.

– Zupełnie nic pan nie zrobił – stwierdził głos, którego nigdy dotychczas nie słyszał w swoich koszmarach.

Był przyjemny, chociaż z nutką niesamowitości.

Należał do mężczyzny, który albo od lat intensywnie palił papierowy, albo leczył się na krtań. Albo jedno i drugie.

– No jak to? Przecież mam na sumieniu własną córkę.

– Nie – odpowiedział głos. – Nie ma pan.

Teraz Caspar widział, jak otwierają się drzwi, których wcześniej nie było w pokoju, i wchodzi przez nie mężczyzna, do którego wysokiej i ciężkiej sylwetki głos mógłby pasować. Jego twarz zasłaniał mroczny cień.

– To kto to był, skoro nie ja?

– Złe pytanie – powiedział głos, a cień trochę się rozjaśnił.

– Co się wtedy stało w mojej praktyce?

– Już lepiej. To pytanie jest dużo lepsze. Odpowiedziałem panu na nie w liście.

List?

– Jakim liście? Nie wiem, co ma pan na myśli. Nic nie

wiem o żadnym liście. Nie potrafię przypomnieć sobie nawet imienia swojej córki.

– Potrafisz – oznajmił głos, który przez ułamek sekundy zmaterializował się oczom Caspara jako przerażająco znana mu twarz.

Caspar krzyknął, kiedy rozpoznał Jonathana Brucka. I krzyknął jeszcze głośniejszym głosem, gdy twarz Łamacza Dusz znów się zmieniła.

Godzina 2.58

Czterdzieści minut przed lękiem

Kim jesteś?

Caspar poznał po nabrzmiątych żyłach na szyi Schadecka, że ten do niego krzyczy. Sam odczuwał tylko lekkie ciśnienie w uszach i słyszał ciągłe dudnienie, odkąd odzyskał przytomność. Trząśnięcie z zimna i pocieło jednocześnie.

– Nie wiem.

Język miał suchy jak suszona śliwka, kompletnie nie mógł nim poruszać, ale w tej chwili był to jego najmniejszy problem.

Co się stało? Gdzie jestem?

Caspar spróbował unieść ręce i nogi, ale zdołał nimi poruszyć zaledwie o parę milimetrów.

Jestem związany.

Szarpnął gumami, którymi przywiązano go do stołu sekcyjnego. Pulsujący ból natychmiast przeszył jego lewe ramię i zrobiło mu się niedobrze. Ból stał się niemal nie do zniesienia, kiedy głowa opadła z powrotem na metalowy stół.

O Boże, Tom zabrał z apteki pistolet ze środkami uspokajającymi, strzelił do mnie i zawlókł mnie do prosektorium.

Caspar zamknął oczy, ponieważ oślepiało go

halogenowe światło. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Ze strachu. I z powodu trucizny w swoim ciele.

– Co ze mną zrobiłeś? – Nie był pewny, czy jego skrzek był w ogóle zrozumiały. Także dudnienie w uszach przybrało na sile.

– Weź się w garść! Środki uspokajające działają tylko jakieś dziesięć minut. Ten czas już minął. Gadaj! Kim jesteś? Co robisz tu w klinice?

Powiew powietrza, wywołany czymś, czym Schadeck machał przed Casparem jak wachlarzem, zdmuchnął włosy z jego spoconego czoła. Kiedy wypadła jedna kartka, Caspar poznał akta. *Jego akta.*

– Skąd je mam? – powiedział Tom. – Leżały w bibliotece. Na stole. Twój przyjaciel Jonathan zostawił je tam dla nas.

– On nie jest moim przyjacielem – odpowiedział Caspar, zastanawiając się, dlaczego w jego przedramieniu tkwi strzykawka. Jednocześnie rozpoznał, że tętniący odgłos w jego uszach wydobywa się z sąsiedniego pomieszczenia. Tomograf. Program wirtopsji ciągle był włączony! Najwyraźniej pożar nie był w stanie zaszkodzić drogiemu urządzeniu.

– Obawiam się, że kłamstwa nie mają już sensu – stwierdził Schadeck.

Caspar kilkakrotnie mocno zamrugał powiekami, żeby pozbyć się mętnej mgiełki przed oczu.

– No, przypominasz już sobie?

Schadeck plasnął go pobrudzoną sadzą kopertą prosto w czoło i wyjął z niej niemal całkowicie zwęgloną kartkę. Znów w powietrzu pojawił się zapach spalonego papieru.

– Poznajesz to pismo?

Dla N.H., odczytał Caspar i potwierdził skinieniem głowy. Jednak zrobił to nie dlatego, że rozpoznał pochylony charakter pisma, lecz dlatego, że przypomniał sobie pierwszą literę swojego nazwiska, które pojawiło się w jego głowie niedawno, tu, w prosektorium: *Haberland*.

To był kolejny kawałek układanki do jego przeszłości, którą Raßfeld i Sophia stopniowo chcieli mu wyjawić, i to na pewno nie w taki sposób, w jaki właśnie robił to Tom. Sanitariusz obrócił kopertę. Inicjały nadawcy wyglądały jak oskarżenie. *J.B.*

Jonathan Bruck.

Caspar zachodził w głowę, jak to możliwe, że zawartość jest bardziej zniszczona niż koperta.

- Wygląda na to, że twój kumpel zadał sobie sporo trudu z doborem słów. Na tyle na ile można je odczytać.
- Schadeck popadł w teatralny ton, zastępując dramatyczną ciszą nieczytelne akapity i zdania.

Drogi kolego,

...

tragiczny incydent, za który nie ponosi pan, moim zdaniem, żadnej winy, ponieważ . . .

W tym miejscu brakowało całego akapitu.

... dlatego proszę trzymać się planu, który uzgodniliśmy. Proszę udać się do kliniki Teufelsberg, najlepiej jeszcze przed wigilią ... i ...

Schadeck schował list z powrotem do akt i uderzył Caspara skoroszytem w policzek, tak że aż głowa odskoczyła mu w prawo.

- „Drogi kolego”? „Nasz plan”? Co to ma znaczyć, co? Co twoje nazwisko robi w tych aktach?

– Nie wiem.

– Skończ wreszcie te swoje gierki, Caspar. Albo panie N.H., albo jak tam się nazywasz.

Schadeck uderzył jeszcze raz. Tym razem twardym grzbietem segregatora walnął go prosto w czoło.

– Fakty są takie, że znasz Łamacza Dusz. Już go kiedyś widziałeś. I to on cię tutaj ściągnął. Jako swojego kolegę!

– Nie.

– Świetnie... spróbuję więc inaczej.

Tom kopnął wściekle w stół na kółkach, z którego z brzękiem pospadały na podłogę różne narzędzia. Pochylił się i podniósł piłę do cięcia kości.

– W takim razie będę musiał wyciągnąć z ciebie prawdę w inny sposób.

Godzina 3.01

Najgorsza w całej sytuacji była niemożność zaprzeczenia.

Przynajmniej w jednym punkcie Schadeck miał całkowitą rację. Dostarczył na to nawet pierwszy niepodważalny dowód. Caspar znał Brucka co najmniej w takim samym stopniu jak drugą ofiarę, nauczycielkę ze szkoły podstawowej swojej córki, Katję Adesi. Wiedział, że obydwie osoby widział już wcześniej. Wtedy, w swoim prawdziwym życiu, z którego pamiętał tylko strzępy. Ale jeśli rzeczywiście istniał jakiś plan, który doprowadził ich wszystkich w wigilijny wieczór do tej kliniki psychiatrycznej, musiał być dziełem wyjątkowego wariata. Być może jego samego.

Co ja zrobiłem?

Caspar widział przed sobą poszczególne fragmenty mozaiki, próbował je do siebie dopasować na podstawie kształtów i odcieni, ale nie udawało mu się rozpoznać całości.

W jaki sposób to wszystko się łączy?

Błąd w sztuce lekarskiej, wypadek samochodowy, które naznaczyły go na zawsze.

I dlaczego Bachmann znalazł go nieprzytomnego w przydrożnym rowie, skoro podobno kilka godzin wcześniej potajemnie prześliznął się do kliniki? I do tego jeszcze z psem?

– Gdzie są pozostali? – zapytał, żeby zyskać na czasie.

Schadeck stanął za nim, co jeszcze bardziej wzmogło grozę sytuacji, ponieważ nie widział teraz, co chce z nim zrobić rąbnięty najwyraźniej sanitariusz. Sądząc po syczących odgłosach, właśnie spryskiwał dezynfekującym płynem ostrze piły.

– O kobiety nie musisz się martwić. Zamknąłem je w bibliotece.

Ponownie rozległ się syk.

– A Bachmann?

– Znowu próbujesz mnie robić w konia? Przecież to ty go widziałeś ostatni.

Głowa Caspara opadła w tył i myślał, że zaraz zostanie oskałpowany, tak mocno Schadeck ciągnął go za włosy. Wykrzywiona wściekłością twarz sanitariusza unosiła się parę centymetrów nad jego twarzą. Z ust Schadecka wypłynęła strużka śliny i w każdej chwili mogła spaść prosto w oko Caspara.

– Koniec rozgrzewki. Pora zacząć przedstawienie.

W polu widzenia Caspara pojawiło się mokre ostrze piły. Przełknął ślinę. Czuł, jak jabłko Adama boleśnie uciska naprężony przętyk.

– Stój, nie. Proszę... – Caspar błagał o życie. Szarpał za więzy, wyginał nagi tors i krzyczał tak głośno, jak tylko potrafił.

– To ci nic nie da – stwierdził Schadeck. – Teraz już tylko prawda może cię uratować.

– Ale ja nic nie wiem.

– Wiesz, dlaczego ci nie wierzę?

Caspar gwałtownie pokręcił głową, połykając z powrotem kwas żołądkowy, który podszedł mu do gardła.

– Bo tak cholernie przypominasz mi mnie.

Schadeck podetknął mu pod oczy pokryte bliznami wnętrze dłoni.

– Opowiadałem ci o moim ojcu, nie? – powiedział Tom.

– Tego wieczoru, kiedy moja matka za słabo posoliła ziemniaki, wpadł na jeszcze jeden zabawny pomysł. Wepchnął moją dłoń do tosterka.

Ręka Toma zniknęła.

– Po tym jak złamał szczękę matce, wyszedł do knajpy i kiedy wrócił, zataczając się od ściany do ściany, mamy nie było. Pojechała do szpitala. Zabrała ze sobą mojego brata i siostrę. Zostałem tylko ja, żeby ostatecznie rozwiązać problem z ojcem. Nie doceniłem go jednak. Chociaż wypił pewnie z pół zapasów baru, był silny jak wół.

Schadeck stanął z boku stołu do sekcji zwłok.

– Chciał wiedzieć, gdzie są jego pozostałe dzieci. Wsadził więc moją rękę do tosterka, wrzeszczałem i

błagałem, żeby przestał, chciałem się uwolnić, ale on się tylko śmiał. Wiesz, czego się nauczyłem tamtego dnia? – Tom zadał pytanie podejrzenie cicho i nie czekał wcale na odpowiedź. – Samą przemocą nic nie osiągniesz.

Rzucił piłę z powrotem na stolik z narzędziami i Caspar westchnął z ulgą.

– Ból był okropny, ale ich nie wydałem. Ojciec dał mi spokój dopiero wtedy, gdy zrobiło mu się niedobrze od słodkawego smrodu. Ten nachlany idiota pomyślał, że naprawdę nie wiem. Gdyby chociaż raz w życiu zajrzał do leksykonu medycznego, mógłby dużo łatwiej wyciągnąć ze mnie prawdę.

– Co masz na myśli? – zaniepokoił się Caspar, a ulgę zastąpił nieokreślony jeszcze lęk. Schadeck znów się zaśmiał.

– Pokażę ci. Przecież jesteś lekarzem. Mówi ci coś nazwa tiopental?

– Barbiturat – odpowiedział automatycznie Caspar. *Wysoce skuteczny, w ciągu kilku sekund prowadzi do całkowitej utraty świadomości. W anestezjologii jest używany jako wstęp przed pełną narkozą.*

– Zgadza się – potwierdził Schadeck. – Przy większej dawce ten hipnotyzujący środek wystrzeliwuje cię w kosmos. W mniejszych dawkach działa rozluźniająco, wywołuje niekontrolowany słowotok. Dlatego między innymi tajne służby tak chętnie używają go podczas przesłuchań. Jak myślisz, czy to nie wspaniałe, że tak dobrze zaopatrzona jest apteka w klinice?

Schadeck wskazał na zgięcie łokcia Caspara.

– Żadnych gwałtownych ruchów. Inaczej wbiję ci igłę prosto w oko, a nie w żyłę.

Godzina 3.03

W świecie współczesnych mitów legenda o serum prawdy zajmuje jedno z pierwszych miejsc w rankingu pozornej wiedzy. Większość ludzi wierzy w istnienie chemicznej substancji, za pomocą której kat z łatwością może złamać wolę swojej ofiary. Środek, który wprowadzony do krwiobiegu, doprowadzi do wyjawienia każdej, nawet najbardziej skrywanej tajemnicy.

Jednak rzeczywistość wokół Caspara wyglądała zupełnie inaczej. Była beznadziejna.

Środek, który wstrzyknął Schadeck, powodował jedynie usunięcie biochemicznego dywanu, pod który zamiatamy najbardziej intymne sekrety. Zjawisko znane każdemu anestezjologowi, który staje się spowiednikiem, ponieważ pacjent w ostatnich sekundach przed operacją nieświadomie zdradza swe największe grzechy. Zwłaszcza kobiety w takich sytuacjach mają skłonność do zdradzania w drastyczny sposób swoich seksualnych upodobań. Tiopental osłabia zatem ośrodki kontrolne w mózgu. Powoduje jednak ujawnienie tylko świadomie ukrywanych myśli, a nie tych, które drzemią pogrzebane pod gruzami podświadomości.

– Stój, nie, zaczekaj... – błagał Caspar głównie po to, żeby zyskać jeszcze trochę czasu. Zimno sparaliżowało od środka jego lewą rękę. Nie widział, jaką dawkę Tom mu wstrzyknął, ale czuł, jakby to było co najmniej pół litra zimnej cieczy.

– Nie martw się, potrafię zrobić zastrzyk. Pierwszy

zrobiłem ojcu, kiedy spał. Ale to była większa dawka, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Schadeck zaśmiał się szczekliwie. – A wracając do ciebie. Z czego chcesz mi się wypowiedzieć?

Słowa sanitariusza zabrzmiały bardzo dziwnie, jak w jakimś pustym kościele. Mieszały się z ciszej już pulsującym odgłosem pracującego tomografu. Jakby ktoś zamknął dźwiękoszczelne drzwi, które dotychczas stały otwarte.

– Coś... coś mi się przypomniało – skłamał Caspar. Przed chwilą wyraźna myśl schowała się znów we mgle świadomości. Narkotyk pokazywał swoje dezorientujące działanie.

– Słucham – rzucił Tom, podczas gdy zimno rozchodziło się coraz dalej.

Chłodna siatka rozciągała się teraz od ramienia aż prawie do serca.

– Coś... coś przed chwilą powiedziałeś... – Caspar uśmiechnął się wbrew własnej woli. To była absurdalna myśl. Tom nie był przecież fachowcem. Gdyby źle ocenił masę jego ciała i choć odrobinę źle wyliczył dawkę, Caspar w ciągu paru sekund zapadłby w sen. Ale jak na razie narkotyk stłumił wszelki strach, a liczne myśli kłębiły mu się w głowie, tak że czuł, jak dużo siły kosztuje go powstrzymanie się przed niekontrolowaną paplaniną.

– Jak to nazwałeś? – Gapił się na strzykawkę w swoim ramieniu i marzył tylko o tym, żeby ktoś chlusnął mu w twarz lodowatą wodą, tak by nie stracił przytomności.

– Tiopental? – usłyszał odpowiedź Schadecka z wielkiej oddali, chociaż ten stał tuż przy nim.

– Nie, nie...

Zamrugał oczami, potem szeroko je otworzył i z wielkim trudem powstrzymał powieki przed opadnięciem.

Oczywiście. To jest to.

Uniósł głowę, na ile się dało i na ile pozwalały mu wzbierające mdłości, i to przyspieszyło cały proces. Im bardziej napinał kark, tym bardziej przesuwała się zwrotnica w jego głowie i pociąg pamięci mógł obrać kurs na pierwszą ważną stację.

– Środek hipnotyzujący – powiedział Caspar. Gdy skinął głową, mocno strzeliło mu w karku. – Powiedziałeś, że to jest środek hipnotyzujący. Uwolnij mnie. To właśnie jest rozwiązanie.

Godzina 3.06

Ucisk zelżał, ale chłód pozostał. Jednocześnie Caspar czuł się w nieprzyjemny sposób oszołomiony. Serce skakało mu jak zepsuta płyta CD. Co jakiś czas było normalnym rytmem, żeby nagle zadudnić synkopowo, zamierając na dłuższe i krótsze chwile.

Bolało go, bardzo. Pulsujący ból pozbawiał go powietrza do oddychania, ale na szczęście mógł jeszcze mówić, chociaż jego głos coraz bardziej przypominał głos osoby wracającej z mocno zakrapianej imprezy.

– To jest rozwiązanie – powtórzył.

– Co masz na myśli? – Tom musiał dwa razy powtórzyć to pytanie, zanim Caspar wreszcie je zrozumiał.

– Karteczka z zagadką w dłoni Sophii – wyjąkał.

– „To prawda, chociaż nazwa kłamie”?

– Tak.

– I?

– Odpowiedź to... – Caspar przełknął ślinę. Paliło go w gardle i miał wrażenie, że jego język podwoił swoją objętość. – Odpowiedź to „hipnoza”.

– Jak to?

– Słowo pochodzi z greki, *hýpnos*, i jest imieniem boga snu.

Caspar miał dziwne wrażenie, że sam słyszy swoje słowa, i to ze sporym opóźnieniem, jak podczas międzykontynentalnej rozmowy telefonicznej z zakłóceniami. Chociaż, jakkolwiek by na to patrzeć, udało mu się właśnie zbudować całe zdanie.

– Ale co, do diabła, miałyby to znaczyć?

Caspar skoncentrował się na oddechu, nabrał dużo powietrza, przy wydychaniu policzył do trzech i dopiero wtedy powiedział:

– Wcześniej naukowcy byli zdania, że hipnoza to stan podobny do snu. Mylili się. Jest wręcz przeciwnie.

Zamknął oczy i mówił dalej trochę głośniej również po to, żeby nie zasnąć.

– Probant nie śpi, tylko jego kontrolowana świadomość jest ograniczona. Tak jak u ofiar. Jak u Sophii. Rozumiesz? Łamacz Dusz ją zahipnotyzował. „Taka jest prawda, chociaż nazwa kłamie”.

– Bzdu-ra! – Schadeck wykrzyczał każdą sylabę z osobna, a jego okrzyk odbił się od aluminiowych lodówek.

Caspar otworzył najpierw jedno oko, później drugie i jasny promień skoncentrowanego bólu przedarł się z siatkówki wprost do mózgu.

– Dlaczego?! – Sam zaczął krzyczeć. Przynajmniej tak mu się wydawało, bo pewności nie miał. – Nie mam teraz dość siły, żeby ci to wszystko wyjaśniać, ale posłuchaj.

Wił się na stole. Ręki ze strzykawką nie mógł poruszyć ani o milimetr, bo Schadeck trzymał go mocno.

– Potrzebujesz mnie trzeźwego.

– Do czego?

– Sopor – wykasłał Caspar. Tych parę słów jeszcze bardziej nadwerżyło podrażnione przez dym gardło. Niemiłosiernie chciało mu się pić. Jakaś część w nim pragnęła, żeby Schadeck wreszcie wstrzyknął mu resztę środka znieczulającego. Przynajmniej ból głowy by mu przeszedł. Nie mógł jednak się teraz poddać, jeśli chciał wyjść z tego żywy.

– Sophia sama dała nam wskazówkę – kontynuował, szukając wzroku Toma. – Łamacz Dusz hipnotyzuje swoje ofiary, wprowadzając je w paraliż przysenny. W spiralę cierpienia pomiędzy budzeniem się a zasypianiem, z której same nie są w stanie się uwolnić.

– Hipnoza? – powtórzył Schadeck z niedowierzaniem.

– Tak.

Szok, odwrócenie uwagi, zaskoczenie, zwątpienie, splątanie, dysocjacja.

Caspar znał czynniki, które pojedynczo lub skumulowane powodowały, że probant zostaje wprowadzony w stan, w którym jego działanie i myśli mogą być manipulowane z zewnątrz.

– Dobra, wystarczy tego! – wrzasnął Schadeck. – Każdy wie, że nie można zahipnotyzować człowieka na siłę.

– Można! – zaprzeczył Caspar słabym głosem. Popełnił błąd i wystawił do przodu brodę. Ponieważ nie

kontrolował już swoich ruchów, po sekundzie znów walnął tyłem głowy w stół sekcyjny. Kolejny jasny błysk przemknął pod zamkniętymi powiekami, oświetlając przez krótką, przerażającą chwilę obraz z przeszłości, który najchętniej natychmiast by zniszczył. Wspomnienie o jasnowłosej dziewczynce, która kręci głową, dając mu do zrozumienia, że nie chce być leczona.

O nie. Zrobiłem to. Wbrew woli mojej córki...

– Hollywoodzkie bajeczki! – Słyszał wściekły głos Schadecka. – Niewinni ludzie, których przerabia się na zamachowców, gotowych na zawołanie wysadzić się w powietrze, co? Ludzie, którzy popełniają samobójstwo, bo ktoś powiedział do nich „niebieska podkowa”. Jaką bajdę jeszcze wymyślisz, żeby ratować skórę, co? To jest niemożliwe.

– Mogę to udowodnić – powiedział Caspar. – Rozwiąż mnie.

– Jeszcze czego. – Tom sięgnął znowu do strzykawki.

– Stój, stój! – Potok myśli przekroczył w głowie Caspara krytyczny poziom. Wał zabezpieczający jego umiejętności komunikacyjne był bliski przerwania. Medycyna akademicka rzeczywiście wychodziła z założenia, że nikogo nie da się wprowadzić w trans wbrew jego woli. Ale co w sytuacji, jeśli ofiara nic nie wie o zastosowaniu hipnozy? Jeśli jej wola sprzeciwu została wcześniej złamana szokiem, traumą albo narkotykiem?

Chciał opowiedzieć Schadeckowi o pewnym projekcie CIA z czasów zimnej wojny, w ramach którego badano pranie mózgu dla celów wojskowych, i o jego zastraszających wynikach. Z niewiadomych powodów

znał na pamięć raport z operacji „Artichoke”:

Poprzez udawanie badań na mierzenie ciśnienia krwi można przekonać probanta do odprężenia się. Test krwi może zostać wykorzystany do podania narkotyku. Badanie oczu może zostać wykorzystane do nakazania probantowi śledzenia wzrokiem promienia światła lub wpatrywania się w błyski, podczas gdy przekazywane mu są werbalne polecenia.

Caspar chciał opowiedzieć Tomowi o zastrzykach z witamin podawanych ludzkim królikom doświadczalnym bez ich wiedzy, które w rzeczywistości zawierały amytal sodu, o tajemniczych protokołach Alznera, które zmieniają podświadomość przez samą ich lekturę, chciał też zacytować końcowe słowa z raportu komisji etyki:

Po zadaniu silnego bólu fizycznego i psychicznych tortur, szczególnie przez doprowadzenie do ciężkiego, traumatycznego szoku, po podaniu zmieniających świadomość narkotyków może się udać wprowadzenie w stan hipnozy podatnych na to osób wbrew ich woli i zapanowanie nad ich świadomością.

Wszystko to i dużo więcej pragnął opowiedzieć, ale zabrakło mu sił. Gorączkowe zmęczenie sparaliżowało jego struny głosowe tak, że był w stanie mamrotać jedynie niepełne zdania.

- Ty też, możesz...
- Co?
- ...to zrobić.
- O co ci chodzi?
- Zahipnotyzować mnie.

Caspar zacisnął pięść, świadomie wbijając sobie okruch szkła głęboko w ciało. Przeszywający ból nieco go

ocucił.

– Wszystko zależy od okoliczności. Popatrz, jestem całkowicie w twoich rękach. Im więcej trucizny mi wstrzykniesz, tym łatwiej ci będzie mnie złamać. – Znów zakasłał, tym razem zachłysnął się własną śliną.

– Ale przecież nie na kilka tygodni? – powiedział Schadeck, z wściekłością kopiąc w stół. – A już na pewno nie do śmierci, jak to było w przypadku pierwszej ofiary. Powoli zacznę wierzyć, że jednak nie jesteś lekarzem. Inaczej wiedziałbyś, że każda nieudana hipnoza kończy się naturalnym snem, ofiary obudziłyby się więc same, ale na pewno by nie umarły.

A jednak. Jestem lekarzem, tego Caspar był pewien. Wspomnienia pojawiały się coraz częściej. Gdyby byli teraz w gabinecie Raßfelda, mógłby mu udowodnić. Tam stała księga psychiatrów, kompletny spis wszystkich lekarzy. Widział przed sobą hasło ze swoim nazwiskiem: *dr med. Niclas Haberland, specjalista w dziedzinie neuropsychiatrii i hipnoterapii*.

– Masz rację – spróbował uspokoić Toma, zanim ten poda mu kolejną dawkę tiopentalu. – Hipnoterapia w zasadzie jest bezpieczna. Najgorsze to utrata kontaktu... – Caspar sam się dziwił, jak dobrze znał te fachowe pojęcia – ...kiedy hipnotyzer nie może przemówić do pacjenta i ten nie reaguje na jego sugestie. W tym masz rację. Wtedy wystarczy tylko odczekać. W końcu każdy się obudzi. Ale wtedy często zdarzają się niezamierzone wpadki. Nieumyślne szkody, obrażenia przy pokazowych hipnozach, kiedy na przykład jakaś kobieta z publiczności biega po scenie na czterech łapach jak pies i przypadkowo wpada do kanału orkiestry. Dotychczas

jednak nikt nie sprawdził, czy możliwe jest świadome zaszkodzenie komuś. Nie rozumiesz jeszcze?

Caspar szeptał już tylko i nie miał pojęcia, czy wszystko powiedział odpowiednio głośno. Jego poziom percepcji były bliski zeru. Nie panował już nad sobą, paradoksalnie w chwili, kiedy musiał opowiadać o technikach hipnozy.

– Jeśli komuś rzeczywiście udało się odkryć rodzaj hipnozy, za pomocą której może wysłać pacjenta w trwałą śpiączkę, to na pewno nie dowiemy się o tym z fachowych publikacji. Byłoby to zakazanym eksperymentem na ludziach. I obawiam się, że właśnie coś takiego się wydarzyło. Tu. W tej klinice. I wszyscy jesteśmy uczestnikami tego eksperymentu!

Caspar zauważył, że któreś z jego ostatnich słów musiało osiągnąć cel. Podczas gdy Tom splótł z namysłem dłonie na karku i wpatrywał się w niego niezdecydowany, Caspar kontynuował.

– Rozwiąż mnie, proszę. Wydaje mi się, że wiem, jak wyprowadzić Sophię z paraliżu przysennego i uwolnić nas wszystkich.

Schadeck zacisnął usta i przeczesał włosy. Westchnął i chwilę potem Caspar poczuł, że nacisk zelżał. Strzykawka, która do niedawna tkwiła w jego ręce, leżała już na stoliku obok innych narzędzi do obdukcji.

– Jeden fałszywy ruch i cię załatwię.

Sanitariusz rozwiązywał właśnie węzy na lewej ręce Caspara, kiedy stało się coś niemożliwego. Gdzieś w klinice zadzwonił telefon.

– Stój, nie...

Krzyczał za Schadeckiem, który nie odwracając się ani razu, wybiegł na korytarz.

To pułapka, chciał go ostrzec, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

Caspar podparł się na uwolnionej lewej ręce, obrócił się na bok i drżącymi palcami zaczął rozwiązywać pozostałe więzy. Kolory wokół niego zmieniły się, tak samo jak odgłosy. W sali obok tomograf ciągle jeszcze pracował z psychodeliczną dynamiką muzyki techno. Głuche uderzenia następowały coraz szybciej i zagłuszały dzwonek telefonu, którego w zasadzie nie powinno być. Łącze telefoniczne było przecież zniszczone. A dzwonek był o wiele za głośny i krzykliwy. Na dole w piwnicy nie powinno być go w ogóle słychać.

Chyba że...

Caspar chciał się wyprostować, trafił rękami w pustkę i upadł na twardą podłogę.

Coś trzasnęło w jego lewym ramieniu. Wrzasnął. Niestety tylko świadomość miał znieczuloną, ośrodek bólu działał jak należy.

Przewrócił stolik z narzędziami, próbując się na nim wesprzeć. Odruchowo złapał za skalpel, który upadł tuż przed nim, zamienił go jednak zaraz na strzykawkę. Gdyby musiał się bronić, to szybki zastrzyk byłby zdecydowanie bardziej skuteczny, nawet jeśli strzykawka straciła już sporą część swojej zawartości.

Krzyknął, kiedy przez zapomnienie obciążył kontuzjowaną nogę i odłamek szkła jeszcze głębiej wbił

mu się w ciało. Z trudem podciągnął się na sekcyjnym stole i kuśtykając, ruszył w stronę wyjścia. Było one oddalone zaledwie o kilka kroków, lecz wszystko rozmywało mu się przed oczami. W pierwszej chwili miał nawet wrażenie, że otwarte drzwi oddalają się od niego, im bardziej posuwa się w ich kierunku.

Stracił równowagę i znów musiał podeprzeć się na rannej nodze, ale ból przynajmniej zapobiegł omdleniu.

W duszy walczył z nierozwiązywalną sprzecznością. Z jednej strony chciał uciec, zanim Łamacz Dusz przyjdzie na dół po niego. Z drugiej strony marzył, by zapaść w niekończący się sen.

Sen, pomyślał i nagle znowu poczuł w nozdrzach zapach dymu, może jednak dlatego, że stał już na korytarzu, kilka metrów od oddziału radiologii, w którym sam podłożył ogień.

Dlaczego Sophia po prostu nie zapadnie w głęboki sen?

W jakiś sposób udało się Casparowi dotrzeć do windy. Nacisnął przycisk, żeby ściągnąć ją na dół. Schody nie wchodziły w grę. Każdy stopień był w tej chwili przeszkodą nie do pokonania.

Oparł czoło o zamknięte drzwi i zaczął się zastanawiać. Przez cały czas czuł wibracje tomografu i słyszał tupanie ciężkich buciorów Schadecka na parterze nad nim. Dzwonek telefonu ucichł.

Tom ma rację. Dlaczego ofiary po prostu się nie obudzą? I dlaczego wszystkie trzymają w dłoni karteczki z zagadką?

Liny windy skrzyknęły artretycznie i kolejna myśl zaatakowała Caspara.

Chwileczkę...

Odpowiedź była tak oczywista, że najpierw nie mógł w nią uwierzyć.

Sopor. Paraliż przysenny. Oczywiście.

Byliśmy tacy ślepi.

Wszystko działo się na ich oczach. Sophia wykazywała wszystkie symptomy pacjentki, którą manipuluje bezwzględny hipnotyzer.

Bruck najprawdopodobniej przywołał jakieś traumatyczne przeżycie z jej przeszłości. Jej najgorszy lęk, największy wstrząs. *Może moment, kiedy były mąż zabrał jej dziecko?* Potem Łamacz Dusz z premedytacją przerwał kontakt między sobą a ofiarą. Tak samo jak we wcześniejszych przypadkach.

Świadomie wywołał przerwanie kontaktu z Sophią w trakcie hipnozy, powodując, że nie była w stanie reagować na jakiegokolwiek zewnętrzne bodźce. Dzięki temu nikt oprócz niego nie mógł do niej dotrzeć.

Ale przed ostatnim decydującym krokiem pojawił się Linus i mu przeszkodził. Dlatego stan Sophii odpowiadał typowym reakcjom spotykanym przy nieudanej hipnozie. Budziła się! Raz za razem.

Caspar przypomniał sobie trzepoczące powieki Sophii, jej jęki, tych kilka chwil, kiedy wydawała się reagować i chciała coś powiedzieć, zanim znów zapadała w trans.

Mogliśmy ją od tego uwolnić.

Jednym jedynym słowem mogli przerwać spiralę i zneutralizować posthipnotyczne polecenie, które przekazał Łamacz Dusz, żeby jego ofiary natychmiast wracały w hipnotyczny stan, gdy tylko otworzyły oczy. Kiedy na źrenice padnie światło.

O Boże!

Caspar tłukł pięściami w drzwi windy, jakby dzięki temu mogła szybciej zjechać na dół.

Jednak wskaźnik nad jego głową pozostał bez ruchu.

A więc jednak schody.

Pokuśtykał w bok, w ostatniej chwili złapał się poręczy, unikając upadku. Stopień po stopniu zaczął się wdrapywać na górę, opierając się na zdrowej nodze, a kontuzjowaną ciągnąc za sobą.

To było takie proste. Rozwiązaniem zagadki było rozwiązanie zagadki.

Godzina 3.11

Przycisnął do piersi skaleczoną dłoń, próbując wyrzucić ucisk na serce, które z każdym krokiem biło coraz szybciej.

– Tom?! – krzyknął. Chciał przekazać sanitariuszowi swoje podejrzenia, z nadzieją, że mają one jakikolwiek sens.

Jeśli się nie mylił, wystarczy poczekać na kolejny moment, kiedy Sophia znów otworzy oczy, i powiedzieć jej hasło. Jeśli psychiczne obrażenia, jakie odniosła dotychczas, nie były zbyt duże, odzyska dzięki temu kontrolę nad swoją świadomością. Albo zapadnie w zbawczy sen.

– Tom?!

Znów odpowiedziała mu cisza, chociaż krzyczał z całych sił.

Pokonał wreszcie ostatni stopień i jego zakrwawione stopy pozostawiły pierwsze ślady na kremowej

wykładzinie w holu. Usłyszał stukanie drzwi windy za sobą. Nie zamykały się do końca. Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien wyjąć drewniany klin blokujący drzwi windy. Zaniepokoił go jednak fakt, że w kabinie windy nie paliło się światło. A co, jeśli Łamacz Dusz czeka tylko na ten właśnie moment, żeby rzucić się na niego z ciemności?

Zdecydował, że potrzebuje pomocy. *Gdzie jest Tom?*

Uzbrojony tylko w strzykawkę nie miał zamiaru narażać się na nieznane niebezpieczeństwo i szukając pomocy, wpatrywał się w ciemny korytarz prowadzący do biblioteki.

Tylko dlaczego drzwi na końcu są otwarte?

Jeszcze bardziej jednak zdziwił go błyszczący przedmiot, który wyglądał tak, jakby obracał się kilka metrów przed nim, odbijając ogień z kominka w bibliotece.

Zaraz potem, gdy zrobił kolejny krok, zorientował się, co leży przewrócone na podłodze korytarza. Był to wózek Sophii, którego jedno koło ze szprychami obracało się powoli.

Godzina 3.12

Nazywam się Niclas Haberland.

Palcem wskazującym zatrzymał koło i zmrużył oczy.

– Sophia? – szepnął, otwierając bosą nogą uchylone nieznacznie, ciężkie drewniane drzwi.

Nazywam się Niclas Haberland. Jestem neuropsychiatrą.

Jego usta poruszały się jak u dziecka, które czyta po cichu czytanke.

Raz za razem powtarzał tę samą myśl, jak formułę zaklęcia, które ma odgonić wszelkie zło, jakie spodziewał się zastać w bibliotece.

Nazywam się Niclas Haberland. Jestem neuropsychiatrą i ekspertem w dziedzinie hipnozy.

Zacisnął mocniej palce wokół strzykawkki i wszedł do środka. Przed kominkiem zobaczył czyjąś postać i zamknął oczy.

Nazywam się Niclas Haberland. Jestem neuropsychiatrą i ekspertem w dziedzinie hipnozy. I popełniłem błąd.

Kiedy je otworzył, postać nadal była w tym samym miejscu. Siedziała na jednym z krzeseł w pobliżu dymiącego ognia, a jej skóra nabrała śmiertelnej bledości popiołu z kominka.

Broda Grety Kaminsky spoczywała na piersi, prawa ręka zwisała bezwolnie, a lewa spoczywała na kolanach.

Sprawiała wrażenie sztywnego, nieruchomego manekina, który pod wpływem najmniejszego ruchu powietrza upadnie na bok.

Przez moment miał wrażenie, że starsza pani zaraz osunie się w bok, uderzając głową o ziemię, i na jego oczach rozsypie się w proch.

Wyszeptał jej imię, zrobił ostrożny krok w jej stronę, niepewny, czy jej pierś podnosi się i opada, czy to tylko złudzenie optyczne wywołane przez migotanie ognia.

Tom? Yasmin? Gdzie jesteście? – zastanawiał się, szukając jakiegoś śladu życia u Grety. Pulsującej tętnicy szyjnej, drżenia jej zsiniałych ust. Czegokolwiek.

Stał na wyciągnięcie ręki od niej i ukląkł. Żeby jej nie skaleczyć, odłożył strzykawkę na dywan obok jej stóp, odezwał się bezpośrednio do niej i w tym momencie wszystko potoczyło się już o wiele za szybko. Nie wiedział, czy najpierw usłyszał śmiertelny krzyk, a później metaliczny trzask, czy odwrotnie. Nie wiedział nawet, w jaki sposób znalazł się tak szybko z powrotem na korytarzu, zmierzając w kierunku windy, z której dochodziły bezlitosne odgłosy walki. Jej drzwi były teraz szerzej otwarte i wydobywał się z niej drżący, cienki promień latarki, skierowany w stronę oszklonej recepcji Bachmanna przy głównym wejściu. Caspar zatrzymał się. Korytarz był zbyt wąski, a winda za daleko, żeby mógł zajrzeć do środka. Jediną rzeczą, jaką rozpoznał, było to, że tym razem drzwi nie blokował drewniany klin. Z kabiny wystawały tylko kostki i stopy gołych nóg. Resztę ciała Sophii Łamacz Dusz zdążył już wciągnąć do ciemnego wnętrza.

Godzina 3.13

Na zewnątrz kliniki

Wichura traciła impet. Nadal napierała bezlitośnie na gonty dachu, żaluzje, zewnętrzne przewody elektryczne i wszelkie inne niezabezpieczone przedmioty, jakie nierozsądnie stanęły na jej drodze. Ale od czasu do czasu przystawała, jakby musiała zaczerpnąć powietrza, żeby zaraz ze zdwojoną siłą łamać anteny telewizyjne albo wrywać drzewa z korzeniami. W trakcie tej niszczycielskiej misji śnieg nadal był jej wiernym kompanem. Towarzysz wichury, który białym płaszczem okrywał największe nawet szkody i smagał twarz każdego, kto chciałby obserwować dzieło zniszczenia.

Chociaż wiatr zelżał już o jeden stopień w skali Beauforta, to jednak nadal nikt nie wychylał nosa z domowych pieleszy. Chyba że został do tego zmuszony. Jak Mike Haffner.

– Najlepsza robota na świecie, kurwa – powiedział sam do siebie, ponieważ oprócz niego w kabinie pługa śnieżnego nie było nikogo. – Zimowa służba, ha!

Obydwoma rękami walnął w kierownicę.

Wiedział, że tak będzie. Za nic w świecie nie powinien słuchać się Schwackego. Ten ćpun nie odróżniał zwykłego skręta od gwizdka na psy, a co dopiero załatwić jakąś pracę. „Dwa patyki eurasów, stary – obiecywał. – Suma gwarantowana, nawet jeśli nie spadnie ani jeden

płatki śniegu. A wszyscy przecież czytamy gazety, nie? – Przy tych słowach odchylił środkowym palcem dolną powiekę i mrugnął do niego porozumiewawczo. – Zmiany klimatyczne, CO₂, efekt cieplarniany, stary. Prędzej wstąpię do klubu anonimowych koksarzy, niż tej zimy spadnie chociaż gram śniegu”.

Haffner wyjął komórkę, żeby zadzwonić do durnego przyjaciela z podstawówki i w podzięcie życzyć mu raka jąder. Chociaż nie, lepsze będzie coś zaraźliwego. Ebola na przykład. Jak ostatni debil dał mu się namówić na rzucenie spokojnej pracy w wypożyczalni filmów, żeby się zatrudnić na dyżury w prywatnej firmie odśnieżającej miasto, F.A. Wurm.

„Na śniegu szturm najlepszy Wurm”. Kiedy dwadzieścia minut temu zadzwonił telefon, Haffner przekonał się, że firmowy slogan traktowany jest tam dosłownie.

– Dopóki pług nie nawali, będziesz nim pracował – opieprzył go kierownik zmiany. Haffner miał teraz oczyścić podjazd jakiemuś bogatemu dupkowi na tym pieprzonym zadupiu.

Brak zasięgu!

Mike cisnął komórkę na podłogę kabiny i włączył radio, które też nie działało najlepiej. Prowadzący audycję uważał się chyba za wyjątkowo dowcipnego, bo puścił właśnie *Sunshine Reggae*. Albo był tak samo porąbany jak Schwacke. Haffner zostawił jednak tę stację, bo i tak z powodu huku dieslowego silnika i wycia wichru za szybą mało co było słychać. Wdepnął pedał gazu i wziął ostry zakręt na wąskiej brukowanej drodze. Powinien był jechać wolniej przy tej pogodzie. Ale wtedy silnik nie huczałby tak niemiłosiernie, a on pozbawiłby się

przyjemności uprzykrzenia błogiego snu tym bogaczom.

Przyspieszył jeszcze bardziej.

Cholera, Schwacke, masz u mnie przesrane, pomyślał, zanim po raz pierwszy zatrzęsło.

Kurwa.

Przy drugim wstrząsie nie miał złudzeń.

Żeby to był tylko stary worek z liśćmi, przeszło mu przez myśl. Zatrzymał się.

Albo jakaś cegła.

Odepchnął ramieniem drzwi i omal nie wypadł z kabiny.

Przecież nikt nie jest takim idiotą, żeby teraz wybierać się na spacer. Chwilę później musiał zmienić zdanie.

– Kurwa, człowieku, coś ty za jeden?! – wrzasnął do półnagiego mężczyzny, który w panice zamachał rękami, gdy promień latarki oświetlił jego wynędzniałą twarz. Nie wiadomo, czy trząsł się z bólu, czy bardziej z zimna, gdy wyciągnął w stronę Haffnera fioletowe dłonie. Niezrozumiałe było też, co wykrzykiwał.

– Sophibi... Sophibićpacje!

Przynajmniej dla Haffnera.

Godzina 3.15

Wewnątrz kliniki

Caspar nadal nie rozumiał całego planu, ale wiedział, jaki był jego przerażający cel.

Łamacz Dusz zmusił ich do opuszczenia patologii. Zrobili mu przysługę i się rozdzielili. Tamten, niezauważony, dostał się do windy, której potrzebował do przetransportowania naznaczonych śmiercią do piekła. Do laboratorium na drugim poziomie piwnicy. Tam, gdzie można było wejść, tylko mając specjalny klucz Raßfelda, który Bruck najwidoczniej zabrał zamordowanemu szefowi kliniki i który z pewnością był włożony w otwór w listwie z przyciskami. Przy mosiężnej tabliczce z napisem „minus dwa”.

Caspar zbliżał się powoli do windy, żeby sprawdzić swoje przerażające podejrzenia. Stawiał krok za krokiem, jak dziecko, które nie chce nastąpić na fugi między płytami chodnika. Nogawki jego piżamy szeleściły przy każdym ruchu. Zatrzymał się na chwilę, przywarł do ściany, ale nadal nie widział, co dzieje się wewnątrz windy, której drzwi, na lewo od niego, co pięć sekund uderzały o nogi Sophii, by znowu się otworzyć. Usłyszał rżące świszczenie, potem nogi lekarki zadrżały, palce u stóp wygięły się i kolejny centymetr jej ciała zniknął w ciemności.

Caspar ruszył biegiem. Jeśli chciał uratować Sophię,

nie może dłużej czekać. Musi działać.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, rzucił się w stronę windy, wcisnął przycisk przywołania i zaczął głośno wołać Toma, żeby w ten sposób zdusić strach.

Nie przestał krzyczeć, nawet kiedy drzwi się otworzyły, a jego mózg nie chciał zaakceptować widoku, który ukazał się jego oczom.

Bruck klęczał, trzymając obie ręce na szyi Sophii, jakby właśnie stosował jakąś technikę chiropraktyczną.

Albo łamał jej kark.

Latarka, którą Łamacz Dusz ścisnął pod lewą pachą, upadła przy próbie wciągnięcia Sophii. Jej promień oświetlał teraz przede wszystkim zakrwawiony tors Brucka. Mężczyzna wyglądał jak jedna wielka rana. Rozerwany opatrunek wyglądał niczym zakrzepły krwawy szal na szyi, podkreślając w makabryczny sposób otwartą pooperacyjną ranę poniżej krtani.

Sam sprawia wrażenie złamanego, było pierwszą myślą Caspara, gdy postawił nagą stopę na progu windy.

Wyczerpany, zupełnie niezdolny do ciągnięcia za sobą drugiej osoby. Nie wspominając o zabiciu kogoś. Tak naprawdę najwięcej życia było w jego oczach, które upiornie odbijały światło latarki.

Zanim Caspar oszacował swoje szanse, podążył za wewnętrznym impulsem i wpadł na ślepo do windy. Lustrzana kabina zachwiała się pod jego stopami, kiedy całym ciałem rzucił się na Brucka. Zdusił dzięki temu bojowy okrzyk, który Łamacz Dusz właśnie zamierzał z siebie wydać i który zabrzmiał jak imię jego czwartej ofiary. *Sophiiiiiiii...*

Na początku Caspar zdziwił się słabą obroną. W

pierwszych sekundach wyglądało, że walka będzie wyrównana. Dwóch ciężko rannych mężczyzn waliło na oślep, wydobywając z siebie resztki sił, w nadziei na obezwładnienia przeciwnika. Po chwili jednak z nosa Caspara popłynęła cieniutka strużka krwi. W ciemności nie zauważył nadlatującego łokcia, bo latarka Brucka dawno już spadła na podłogę, miotając się na wszystkie strony między ich nagimi stopami.

Wściekłość Caspara rosła z każdą chwilą. Złapał psychopatę za twarz i zacisnął palce, chociaż Bruck raz za razem walił go kolanem w brzuch. Potem jego kciuk powędrował w dół i trafił na pooperacyjną ranę w szyi. Niezrozumiały lament Brucka zmienił się w przeraźliwy krzyk, kiedy kciuk Caspara wbił się do połowy w ranę.

Opór Brucka zelżał, jednak zaraz potem Caspar poczuł ogromny ból w podbrzuszu, który rozszedł się po całym ciele. Chciał się odwrócić, zanim Bruck kopnie go drugi raz między nogi, ale się spóźnił. Złożył się jak scyzoryk i padł na podłogę, uderzając czołem w głowę Sophii i nieruchomiejąc zwinięty z bólu obok niej. Oczekując kolejnych uderzeń, nieporadnie zasłonił twarz dłońmi, ale Bruck również osunął się na kolana i zwymiotował z bólu.

Caspar cofnął się, dotknął nóg Sophii i niespodziewanie natknął się na leżącą latarkę. Złapał ją, poderwał w górę, żeby oślepić Łamacza Dusz i w tej samej chwili strumień światła na moment oświetlił damski sportowy bucik.

But?

Dopiero teraz dotarło do niego, że nie są sami. Oprócz niego, Brucka i Sophii jeszcze jedna osoba kuliła się w kącie dużej windy.

Yasmin.

Krwawiła, tak przynajmniej uznał, widząc ciemną plamę na jej jasnej bluzie, rozchodzącą się w miejscu, gdzie z jej ciała wystawał podłużny przedmiot z czarną gumową rączką.

Nie ma czasu. Nie ma czasu.

Caspar wypluł krew, która zebrała mu się w ustach, i objął kolana Sophii. Potem wytężył wszystkie siły i zgięty wpół zaczął wyciągać Sopię z windy jak zwinięty dywan. Wyrwał jej przy tym pukiel włosów, na którym klęczał Bruck, ciągle trzymający się za szyję. Również on miał krew w ustach.

Sophia była już prawie na zewnątrz, kiedy jej nogi wyslizgnęły się z umazanych krwią palców Caspara. Zignorował ukłucie w rękę, którą rozciął sobie na oddziale radiologii, wytarł krew o pokrytą bliznami pierś, rozpaczliwie objął Sopię za biodra i szarpnął w tył.

Bruck już wstał, chwiał się jak bokser w ostatniej rundzie morderczego pojedynku, ale wyglądało na to, że brakuje mu sił do kolejnego ataku. Stał po prostu w miejscu z otwartymi ustami. Bańka śliny uformowała się na jego ustach, wyciągnął rękę, ale Sophia była już poza jego zasięgiem.

Udało się. Jej głowa uderzyła twardo w próg windy, zanim wyciągnął ją całą z kabiny. Coś stuknęło, Łamacz Dusz jeszcze raz chyba wykrzyczał imię Sophie, aż wreszcie wszelkie odgłosy ucichły za zamykającymi się drzwiami windy.

Ostatnią rzeczą, którą widział Caspar, była podkulona noga pielęgniarki, dla której nie mógł już nic zrobić.

Caspar odetchnął ciężko i osunął się na bok, nie

wypuszczając nogi lekarki. Przejechał kciukiem po podeszwach jej stóp i poczuł, że pod wpływem dotyku poruszyła palcami. Ten dobry znak mu wystarczał, miał ochotę usnąć, tu, w holu kliniki Teufelsberg, na wykładzinie. Wiedział, że to nie jest dobry pomysł, że musi pozostać czujny. Dopiero własny kaszel nieco go ocucił. Usiadł, żeby się nie udusić mieszaniną krwi i śliny.

Splunął, a obrzydliwa maź opryskała czarne buty, które nagle znalazły się obok niego.

Spojrzał w górę.

– Gdzie ty byłeś? – zapytał Toma resztkami sił.

– Szukałem telefonu. Ten czubek włączył w telefonie dzwonek i tak ustawił przed mikrofonem interkomu, żebyśmy usłyszeli to w piwnicy.

Caspar przytaknął. Sam tak podejrzewał.

– I to tak długo trwało?

– Nie. – Schadeck zaśmiał się i podszedł jeszcze jeden krok bliżej.

– Przez resztę czasu przyglądałem się, co robicie – powiedział i po raz drugi w ciągu trzydziestu minut wyjął pistolet hukowy. Jednak tym razem użył tylko jego rękojeści i z całej siły rąbnął nią Caspara w głowę.

ECHO WSPOMNIĘĆ

– Tarzan stój, nie ciągnij tak. Jest ślisko.

Dosyć łagodnie pokrzykiwał na swojego psa, który szarpał smycz. Co się stało? Przestraszył się? A może Tarzan nie mógł się doczekać, bo tak długo był tu przywiązany? Na tym zimnie. Pewnie myślał, że znów go porzucą. Tak jak wcześniejszy właściciel, który najpierw wyłupił mu oko, a potem zostawił razem z innymi szczeniakami we wraku samochodu.

– Tak, tak, ja też chcę się stąd szybko wynieść... – mówił do młodego zwierzęcia.

Pewnie kundel coś zwietrzył. Lisa albo dzika. Ale wtedy pachniałoby maggi. Dziki zawsze pachną przyprawami. Albo zepsutym tłuszczem. Nauczył się tego podczas ich częstych spacerów po lesie. Zapach wisiał czasami w powietrzu godzinami, długo po tym, jak zwierzęta opuściły dany teren. Ale tu na podjeździe nie czuł niczego podobnego. Wyczuwał spalony papier i drewno na opał, co nie powinno dziwić przy tej liczbie kominków w willi za nim.

– Zaczekaj... – Zastanowił się, czy nie zrobi lepiej, jak puści smycz. Z każdym krokiem w górę podjazdu szło się coraz trudniej. Świeży śnieg zakrył oblodzone fragmenty asfaltowej drogi, a dozorca pewnie niczym jeszcze nie posypał. Specjalnie przecież tak długo czekał, aż ten sobie pójdzie. Jednak i tak nic to nie dało.

Sprawił wewnętrzną kieszeń zimowego palta, ale nic tam nie znalazł. Wszystko przecież splotęło. Przed

chwilą, na jego oczach.

Głęboki melancholijny ból i żal stworzyły ścianę, której nie potrafił pokonać. Wszystko na darmo. Wszystko na nic. Podjął ostatnią próbę i poniósł klęskę, zgodnie z przewidywaniami. A teraz stoi na podjeździe, niezdolny do ruchu, niezdolny do rozbicia muru depresji, który przeszkadzał w powrocie do normalnego życia.

Ręka poleciała mu do przodu, kiedy Tarzan znów szarpnął, ale ciało zostało w miejscu. Zesztywniałe. Przemarznięte jak oblodzone gałęzie jodły na skraju drogi. Zachwiał się trochę, zaparł się sile, która go ciągnęła, i wtedy... usłyszał, jak coś kipi. Gdy upadał, wokół niego zaczęło się kottować jak w garnku z kipiącym mlekiem. Odgłos mieszał się z szeptem. Świat kręcił się dookoła, słyszał, jak pękają gałęzie, zobaczył nagle drzewa pod dziwnym kątem, czuł, jak smycz coraz mocniej zaciska się na jego ręce, i wtedy znów trzasnęło, chociaż żaden świerk nie stracił nawet jednej gałęzi. Jednocześnie bulgotanie i szepty stały się głośniejsze. Szept zmienił się w jasny, lekko zniekształcony głos, który oddalał się od niego coraz bardziej.

Usłyszał, jak coś pęka, kawałek drewna albo kość, i zrozumiał, że musiało się to stać w chwili, kiedy uderzył o coś głową. Tuż przed wybuchem płomieni, bezpośrednio przed nim. Nie z deski rozdzielczej, jak tego dnia, kiedy wszystko się zaczęło. Tym razem był to ogień z kominka, w którym strzelały gałęzie i gdzie lodowate powietrze wciągało przez komin szalejący ogień. W tym momencie dotarł do niego głos. Metalicznie obcy, ale głośny i wyraźny.

– Możesz ją mieć – powiedział. – Weź ją sobie.

Godzina 3.20

Caspar chciał otworzyć oczy, żeby uciec ze snu, ale nie udało mu się. Bo już właśnie nie spał. Ogień przed nim, w który gapił się od jakiegoś czasu, był tak samo realny jak słowa, które usłyszał z głośnika.

– Chodź i weź ją sobie! – rozpoznał głos Schadecka w głośniku nad swoją głową.

Tom? Cholera, co on wyrabia?

Próba podniesienia się z krzesła nie powiodła się z kilku powodów. Przede wszystkim zarówno jego psychika, jak i ciało po doznanych w ciągu ostatnich godzin ekscesach tortur i przemocy nie były w stanie wykonać najprostszych czynności. Omal nie zatruł się dymem, wbrew woli został poddany działaniu środka znieczulającego i, pomijając rany cięte na dłoniach i stopach, Łamacz Dusz prawdopodobnie złamał mu nos, a ból głowy i mdłości z pewnością wywołane były przez wstrząśnienie mózgu, które zawdzięczał z kolei Schadeckowi. Nie miał już siły, żeby wstać. Węzeł z pasa od szlafroka, którym Schadeck przywiązał mu ręce z tyłu do oparcia krzesła, był zupełnie zbędny.

– Możesz ją mieć, Bruck. Wystawiłem Sophię w głównym holu.

Zanim Schadeck puścił przycisk mikrofonu, rozległ się głośny pisk sprzężenia.

Boże, on chce ją poświęcić.

Zupełnie jakby słowa Schadecka chciały zdusić w nim ostatnią iskierkę nadziei, płomienie w kominku nagle

przygasły i gęsty dym wypełnił bibliotekę.

Caspar zamknął łzawiące oczy, mając nadzieję, że śnieżna zawierucha, która wgniałała przez komin zimne powietrze, zaraz trochę zelżeje.

– Chcesz ją mieć? To ją dostaniesz. Potraktuj to jako prezent pod choinkę. Weź sobie lekarzkę, zrób z nią, co chcesz, ale potem spadaj stąd. Taka jest propozycja. Okay?

Caspar podjął kolejną próbę wstania z krzesła, ale omal nie wpadł w ogień. Zaczął się pocić.

– Możesz też mieć pozostałych. W bibliotece, tam gdzie zadzgałeś Yasmin. Babcia jeszcze żyje.

Caspar odwrócił głowę i zobaczył, że Greta faktycznie zmieniła pozycję. Miała też zamknięte usta.

– A psychol jest związany. Łatwizna. Zabieraj ich wszystkich albo tylko Sophię... obojętne, najważniej...

Schadeck zamarł w połowie zdania, ciągle jednak trzymając wciśnięty przycisk włączający mikrofon.

– Kurwa, nie... co...

Chwilę potem Caspar usłyszał odgłos, jakby ktoś gwałtownym ruchem ściągnął obrus z nakrytego stołu.

Dwie sekundy później trzasnęło i przerwany krzyk odbijał się echem w pustych pokojach willi. I w jego huczącej głowie.

Jesteś idiotą, Schadeck. Jesteś takim idiotą...

Co powiedział Bachmann? Są tylko dwa miejsca, w których można skorzystać z wewnętrznego nagłośnienia. Pielęgniarz mógłby równie dobrze usiąść tuż obok tarczy strzelniczej. Pytanie tylko, czy Bruck unieszkodliwił go przed czy po tym, jak poszedł do Sophii.

Pewne jest tylko jedno...

Caspar desperacko szarpał więzy i usiłował zajrzeć na korytarz przez uchylone drzwi, z których Schadeck wyjął klucz.

...Bruck jest już w drodze po nas!

Nie trwało to długo, kiedy odgłos powłóczenia nogami dobiegający z korytarza potwierdził jego przypuszczenia.

Godzina 3.23

Ogień.

Dym.

Książki.

Greta.

Szukając szansy uratowania się przed nieuniknionym, jego mózg włączył rezerwowe pokłady energii. Caspar myślał już tylko pojedynczymi słowami, ciągle rozglądając się po bibliotece.

Karteczki z zagadkami.

Bruck.

Greta.

Książki.

Podczas gdy na jednym z poziomów świadomości zapisał fakt, że szuranie stóp na korytarzu ustało na kilka sekund, jego instynkt samoobrony wykorzystywał ostatnie zapasy adrenaliny. Gapił się w ogień, myślał o samochodzie, w którym prawie spłonął żywcem, i zastanawiał się, czy byłaby to godna śmierć. Zamknął oczy, ale nie pozbył się obrazu zegara na płonącej desce rozdzielczej, który odmierzał ostatnie chwile jego życia. Wskazówka doszła już do czerwonego pola.

Ognista czerwień.

To jest to. Ostatnia możliwość.

Kominek.

Dym.

O g i e ń!

Caspar zrezygnował z bezsensownych prób rozerwania węzła i zamiast tego cały ciężar ciała przesunął jak najdalej mógł do przodu. W stronę ognia.

Ogień. Muszę...

Szarpnął mocniej. Raz, potem drugi. W końcu przechylił się tak bardzo, że nie było już odwrotu. Powoli upadł na podłogę. Ból przypomniał mu, że podczas upadku ze stołu sekcyjnego zwichnął bark. Głowa uderzyła trochę łagodniej w kupkę zimnego popiołu, w którą wykrzyczał swój ból.

Muszę do ognia, powtarzał tę myśl jak mantrę, raz za razem.

Ciągle leżał przywiązany do krzesła, nieco za bardzo na ukos i zbyt daleko od ognia. Ale z tego miejsca przynajmniej widział lepiej drzwi, które na razie nie poruszyły się nawet o milimetr. Jeszcze nic straconego. Podciągnął nogi, wyrócił stojak na narzędzia kominkowe, kiedy się o niego oparł, a po coraz większym gorącu, jakie czuł na plecach, wiedział, że jest już trochę bliżej celu.

Następne, co zrobił, to rzucił się z całej siły na oparcie, raz, a potem drugi, aż nagle, bez ostrzeżenia, męka stała się nie do wytrzymania. Caspar krzyknął tak głośno, jak dotychczas tylko raz w życiu. Wówczas, kiedy prawie spalił się w swoim samochodzie. Płomienie zwietryły swoją drugą szansę na dokończenie dzieła, które zaczęły

wiele lat temu. Tym razem nie przypalały piersi, tylko rozżarzonymi żyłkami cięły mu ramiona. Musiał więc leżeć prawie w odpowiedniej pozycji.

Prawie. Jeszcze tylko centymetr i palące się polano przepali nie tylko skórę nadgarstków, ale również owinięte wokół nich bawełniane więzy.

Caspar krzyknął jeszcze raz i zaraz potem zagryzł zęby. Po chwili wydało mu się, że oprócz słodkiego zapachu palącego się mięsa zaczyna wyczuwać również tłące się bawełniane włókna.

Więzy rzeczywiście nieco puściły.

A może to tylko złudzenie? Może ból całkowicie mnie już oszołomił?

Rozciągnął ręce, na tyle na ile mógł, żeby zrobić więcej miejsca dla ognia. *Rozluźniły się? Wydaje mi się, że...*

Tak.

Nie.

Tak.

Nie.

Za późno.

Wyciągnął ręce z ognia i spojrzał na drzwi. Były otwarte. Dużo szerzej niż jeszcze parę sekund temu. Chłodny powiew z zewnątrz sunął po podłodze prosto w jego oczy, których nie mógł oderwać od Łamacza Dusz, który właśnie wszedł do biblioteki.

Godzina 3.25

Caspar odsunął się od trudnego do wytrzymania gorąca i spuścił głowę. Nadgarstki faktycznie miały trochę

więcej luzu, ale na co się to teraz zda?

Na drugą walkę nie miał już sił.

Otworzył pięści za plecami, złapał trochę popiołu, natrafiając na żarzący się kawałek drewna, i z bólu natychmiast wszystko wypuścił. To nie miało sensu.

Ze swojej pozycji, ze związanymi za plecami rękami, nie mógł niczego rzucić Bruckowi w twarz. A nawet gdyby, to co z tego?

Powinniśmy byli wydostać się przez komin na dach, przeszło mu przez myśl. Jak na ironię w chwili, kiedy zmarnował wszelkie szanse, a wszystkie drogi ucieczki były odcięte. Chociaż i tak pewnie na górze komina natknęliby się na kraty. *Bez różnicy.* Wszystkie te rozważania nie miały najmniejszego sensu. Teraz, kiedy Łamacz Dusz oddalony był od swojej związanej zdobyczy o zaledwie pięć kuśtykających kroków.

Bruck dyszał, jego oddech częściowo wydostawał się przez ranę w szyi. Pociągał prawą nogą i przekładał z jednej ręki do drugiej jakiś błyszczący przedmiot.

Jeszcze tylko cztery kroki.

Nóż? Nożyczki?

Światło było za słabe, a bez soczewek kontaktowych małe przedmioty rozmywały się przy takiej odległości przed jego oczami. Pewnie miał skalpel, który zdążył w którymś momencie wziąć z apteki. Może właśnie za jego pomocą zdążył już pozbyć się Schadecka.

Jeszcze trzy kroki.

Caspar miotał się po podłodze jak pająk, któremu wyrwano jedną nogę, przez co zamiast uciekać, kręcił się tylko wokół własnej osi. Liczył na cud, modlił się, żeby Greta odzyskała przytomność, wstała i od tyłu wbiła

pogrzebacz w plecy Łamacza Dusz, ale kątem oka zauważył, że jej nogi nadal bezwładnie zwisały z krzesła, oddalone od niego o maratońską odległość trzech metrów.

Chciał krzyczeć o pomoc, ale paradoksalnie przy tej ilości dymu przypomniał sobie zalecenie, żeby w razie niebezpieczeństwa wołać raczej „pożar”, ponieważ większość osób postronnych ze strachu nie reaguje na wołania pomocy. O mało nie uśmiechnął się na tę myśl, ale jednak śmierć była zbyt blisko niego, by mógł się na to zdobyć.

Jeszcze dwa kroki.

I wtedy, w chwili, gdy rozpoznał, że to, co w swoich długich palcach Bruck trzyma niczym ołówek, to rzeczywiście skalpel, dokładnie w chwili, w której ból ustąpił miejsca ostatniej wielkiej fali paniki, w tej sekundzie Łamacz Dusz zaczął tańczyć.

Godzina 3.26

To był balet grozy, wykonywany przez wycieńczonego wariata, który najwyraźniej całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Caspar odniósł wrażenie, że odgrywa przed nim taniec śmierci w zwolnionym tempie, chociaż w rzeczywistości wszystko trwało zaledwie kilka sekund.

Zaczął się od tego, że Bruck otworzył usta, powoli i szeroko. Jego lewa noga trzęsła się spazmatycznie, podniósł stopę, machając jednocześnie obydwoma rękami, prawdopodobnie, żeby nie stracić równowagi, co jednak na nic mu się zdało.

Potem skulił się, jakby ktoś rąbnął go w żołądek, jedna ręka zatrzymała się w powietrzu w pół ruchu, drugą próbował sięgnąć do stopy.

Obrócił się, jakby chciał, żeby Caspar mógł przyjrzeć się z boku jego słabo owłosionym nogom. I wtedy zobaczył ją.

Nie wierzę. O Boże...

Strzykawka.

No jasne. Sam przecież położyłem ją wcześniej na podłodze, kiedy chciałem zbadać stan Grety.

Caspar nie mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście. Załedwie parę minut temu Schadeck chciał go nią torturować. Teraz Łamacz Dusz, oddalony od niego załedwie o krok, nadepnął na plastikowy cylinder i wbił sobie igłę prosto w podbicie. Gdyby nie to, że był ranny i jedną nogę ciągnął bezwładnie za sobą, igła wbiłaby się tylko w duży palec albo złamała się na kości. A tak igła weszła cała w stopę, a Bruck ciężarem własnego ciała wcisnął tłoczek strzykawki aż do końca.

Stąd ten taniec. Stąd te drgawki.

Kiedy Bruck chciał wyciągnąć strzykawkę ze stopy, było już za późno. Tiopental to jeden z najszybciej działających barbituratów, który w połączeniu z osłabieniem Brucka zaczął działać już po kilku sekundach.

Łamacz Dusz otworzył szeroko zdumione oczy, wywrócił białka oczu do góry i padł na twarz.

Upadając, pogrzebał Caspara pod swoim ciałem.

Najpierw zatrzeszczały jego żebra, później oparcie krzesła. Caspar nie mógł złapać tchu, a strach przed śmiercią powiększył się dodatkowo o klaustrofobiczny

wymiar.

Co teraz? Co mam zrobić?

Zawartość pustej do połowy strzykawki była już pewnie mocno rozcieńczona, więc Bruck za kilka minut odzyska przytomność. A Caspar był teraz podwójnie unieruchomiony, przez ciężkie ciało Łamacza Dusz, które z każdym bolesnym oddechem wydawało się coraz cięższe.

Skalpel, który Bruck wypuścił z ręki, leżał o wiele za blisko ognia, żeby mógł go dosięgnąć.

A poza tym nie jestem mistrzem w uwalnianiu się z węzłów. Nazywam się Niclas Haberland. Jestem neuropsychiatrą i ekspertem w dziedzinie hipnozy. Popetniętem błąd.

Wstrzymał oddech, podciągnął nogi, na ile tylko pozwolił mu ciężar ciała Brucka, i próbował znaleźć jakąś dźwignię, żeby go z siebie zrzucić.

Trach.

Znów trzasnęło. Jednak tym razem nie było to ani zebro, ani płonące polano. To krzesło, które po prostu nie było przystosowane do podwójnego obciążenia.

Ręce co prawda nadal miał związane, ale oparcie krzesła zostało na szczęście słabo sklezione i podczas upadku oderwało się częściowo od siedziska.

Caspar znów podkurczył nogi, powoli, aż znalazły się pod splotem słonecznym Brucka i zacisnął zęby. Wytężył ostatnie rezerwy sił, uniósł jego ciało kolanami w górę i przetoczył się na bok. Udało się za pierwszym razem. Na szczęście, bo druga próba nie wchodziła w grę i najpewniej usnałby w śmiertelnych objęciach Brucka.

Uwolniony od bezwładnego ciężaru Caspar powoli

odpychał się piętami, próbując przesunąć się w tył równoległe do kominka. Kiedy nie dało to pożądanego rezultatu, podjął ostatnią rozpaczliwą próbę. Obrócił się na bok, nadwerężając obolałe ramię, i przetoczył się dalej od ognia. Wystarczył jeden obrót i oparcie całkowicie oderwało się od siedziska. Ręce nadal miał związane za plecami, ale poza tym był wolny. Mógł się poruszać, wstać i strzepać kawałki oparcia, które uciskały mu plecy, ale w tej chwili pragnął tylko zamknąć oczy. Usnąć i zamienić przerażającą rzeczywistość w sen. Tak jak Bruck, który ciężko i niespokojnie oddychając, leżał na podłodze u jego stóp w pozycji embrionalnej.

Ile jeszcze mam czasu? Dziesięć minut? Pięć?

Zamknął oczy i usłyszał własny rzęzący, nierówny oddech, którym próbował pozbyć się z gardła krwi, śliny i drobin dymu. Oddech wydobywał się z jego krtani w podobnym rytmie co odgłos tomografu w piwnicy. Tam, gdzie pewnie teraz była. Sama. Prawie martwa.

Oczami wyobraźni widział Sophię. Lekarzkę, która tak troskliwie się nim zajęła, gdy potrzebował pomocy w odzyskaniu pamięci. I córkę, którą zostawił bez opieki, w momencie, kiedy właśnie najbardziej jej potrzebowała. A teraz, gdy już skleił niektóre kawałki wspomnień, ona i Sophia były jeszcze bardziej zagubione, niż on sam był kiedykolwiek. Uwięzione w sobie, zamknięte w więzieniu własnego ciała. *Kto wie, może będę miał szansę się zrewanżować?* – powiedział do Sophii, kiedy ta starała się uśmierzyć jego ból, banalny w porównaniu do tego, z czym przyszło im się teraz wszystkim zmierzyć.

Yasmin, Sybille, Bachmannowi, Mister Edowi, Linusowi,

Raßfeldowi... Sophie.

Zacisnął oczy jeszcze mocniej, żeby nie stracić obrazu młodej, kruchej kobiety, która miała jeszcze tylko jedną, jedyną niedającą wielkiej nadziei szansę. Jego.

Ze świadomością stawania do z góry przegranej bitwy Caspar otworzył oczy i przetoczył się na kolana. Dwie minuty później uwolnił ręce i wstał, żeby uratować Sophię, a tym samym i siebie.

Godzina 3.29

Mówi się, że prawdziwy charakter człowieka poznaje się w ekstremalnych sytuacjach. W chwilach, kiedy okoliczności uniemożliwiają działanie według wartości wdrażanych latami przez rodziców, szkołę, przyjaciół i inne osoby. Kryzys jest jak ostry nóż. Obiera ze skóry, uwalniając wnętrze, zazwyczaj dzikie i instynktowne, w którym instynkt samozachowawczy góruje nad wszelką moralnością.

Jeśli ta teoria była prawdziwa, to Caspar właśnie dokonał zaskakującego odkrycia, że w głębi duszy jest słabym człowiekiem. Nie potrafił bowiem tego zrobić, nawet jeśli wydawało się to jedynym dobrym rozwiązaniem, jedynym gwarantującym mu, że przeżyje. Lepsza okazja, żeby zabić Brucka, już pewnie nigdy mu się nie nadarzy.

Caspar patrzył na przemian to na nieprzytomnego mężczyznę na podłodze, to na skalpel w dłoni i próbował przekonać sam siebie, żeby poderżnąć temu szaleńcowi gardło albo przynajmniej rozpruć żyły. Ale nie potrafił.

Mimo najlepszych chęci.

Wmówił sobie, że i tak pewnie zabrakłoby mu fizycznej siły, aby zabić Łamacza Dusz, odwrócił się więc i kulejąc, podszedł do Greta. W rzeczywistości wiedział jednak, jak jest naprawdę. Jeszcze nigdy dotychczas nie zaszkodził komuś świadomie, chociaż czasem podejmował decyzje, które miały podobne konsekwencje.

Nazywam się Niclas Haberland i popełniłem błąd.

Greta oddychała płytko przez na wpół otwarte usta. Jej powieki drżały, a wykrzywione palce na kolanach wystukiwały takt jakiejś melodii z jej snu. Mały biały ręcznik leżał na jej piersiach, jak nieco za mały śliniak. Caspar nie musiał go wachać, żeby wiedzieć, czym był nasiąknięty.

Ale dlaczego? Dlaczego Bruck zmienił nagle metody? Dlaczego zabija Raßfelda, a Gretę tylko usypia chloroformem? I dlaczego chce wprowadzić akurat Sopię w stan, który na zawsze będzie ją utrzymywał między życiem a śmiercią?

Kiedy odchylił krzesło do tyłu, Greta zamruczała niezadowolona, a jej głowa przechyliła się niebezpiecznie na bok. Na szczęście Greta nie zsunęła się z krzesła, bo inaczej nie udałoby mu się już pewnie ewakuować jej ze strefy zagrożenia. Pomimo piórkowej wagi jej ciała kanciaste nogi krzesła zostawiły na parkiecie delikatne bruzdy, kiedy ją wyciągał z biblioteki.

I co dalej?

Na grubej wykładzinie holu tarcie było już o wiele większe. Musiał odpocząć. Zlany potem, oparł się o ścianę, za którą znajdowała się spiżarnia, gdzie Sybille miała swoje brzemienne w skutki spotkanie z Bruckiem.

Tu, w korytarzu, wzmocniony wiatrem szum płomieni w kominku był już znacznie cichszy, za to znów dochodził do niego tętniący odgłos tomografu.

Trach. Trach. Trach.

Impulsy magnetyczne w regularnych odstępach odbijały się echem po klatce schodowej niczym strzały z pistoletu albo tykanie zegara ostrzegającego Caspara przed upływającym czasem.

Pół strzykawki rozcieńczonego tiopentalu. Jak długo jeszcze?

Chwycił Gretę pod pachy i podniósł. Ubrana w jedwabny szlafrok, łatwiej było w ten sposób przeciągnąć po wykładzinie do spiżarni.

Dzięki Bogu.

W przeciwieństwie do biblioteki, w drzwiach do tego pomieszczenia tkwił jeszcze klucz. Caspar przekręcił go, zamykając drzwi od zewnątrz. Dopiero teraz zorientował się, że całe jego ciało dygoce w niekontrolowany sposób. Jediną różnicą między stanem jego i Sophii było to, że on potrafił jeszcze podejmować świadome decyzje. Na razie nie mógłby nawet zawołać o pomoc. Dlatego słusznie postąpił, skupiając resztki sił na ukryciu Grety w bezpiecznym miejscu. Bruck był za ciężki. Gdyby to jego ciągnął, to w połowie drogi pewnie by padł ze zmęczenia.

Dalej. Muszę iść dalej.

Caspar wyjął klucz i sprawdził jeszcze, czy pasuje do drzwi biblioteki, ale oczywiście nic z tego. Dzisiejszą pulę szczęścia wyczerpał w chwili, kiedy Łamacz Dusza przypadkiem wbił sobie w stopę strzykawkę leżącą na podłodze.

Trach. Trach.

Dokąd teraz?

Czuł się jak odwodniony maratończyk na ostatniej prostej, z tym że zbawcza linia mety, na którą miałyby się rzucić po wykańczającym sprincie, zdawała się coraz bardziej od niego oddalać. Mimo to szedł dalej korytarzem, aż wreszcie znalazł się w półmroku przed głównym wejściem. Rozejrzył się, ale nic nie zauważył. Żadnych śladów kół wózka inwalidzkiego na wykładzinie ani samego wózka, nie mówiąc już o Sophii. Jeśli Schadeck ją tu zostawił, to Bruck najwidoczniej zdążył już odebrać przygotowaną dla niego ofiarę.

Gdzie ona teraz jest?

Trach. Trach. Trach.

Spojrzał przed siebie, palcami wskazującymi podciągnął do góry brwi, żeby w ten sposób poprawić ostrość widzenia. Ale nawet gdyby miał soczewki kontaktowe, nie zdołałby zobaczyć, co znajduje się na drugim końcu korytarza. Gęsta mgła wywołana przez dym i łyż przesłaniała jego zmęczone oczy. Wydawało mu się, że tuż za hydrantem pojawiła się smuga światła, wydobywającego się zza uchylonych drzwi. Biuro Raßfelda. Zastanawiał się, czy ma wystarczające zapasy siły, żeby się tam dowlec.

Tylko po co? Żeby znaleźć wykrwawione zwłoki Schadecka? Żeby się przekonać, w jakie jeszcze medyczne narzędzia tortur uzbroił się Bruck, zanim zabrał Sophię i przyszedł do biblioteki? Jedno z nich, skalpel, Caspar trzymał właśnie mocno w dłoni.

Trach. Trach.

Obrócił się chwiejnie, wlepiając wzrok w windę, i w

pierwszej chwili chciał uciec przed postacią, która najwyraźniej czekała na niego w ciemności i która wydała się w przerażający sposób znajoma.

Dopiero kiedy uniósł rękę, jego pracująca na zwolnionych obrotach świadomość pozwoliła mu zrozumieć, że tym kimś jest on sam.

Trach.

Zrobił krok w kierunku swojego odbicia, potknął się o własne nogi i runął głową do przodu w ciemność wnętrza kabiny. Coś zachrząściło i sądząc po pulsującym bólu w dużym palcu u nogi, musiały to być pewnie odłamki szkła z roztrzaskanej żarówki.

Trach.

Spojrzał na tablicę z przyciskami, w której tkwił błyszczący srebrzyście pęk kluczy Raßfelda. Łzy napłynęły do oczu Caspara, gdy zobaczył, jaki breloczek dołączył do kluczy Łamacz Dusz. Przed jego nosem, jak wahadełko hipnotyzera, kołysał się perłowy naszyjnik Sophii, po raz ostatni uderzając o mosiężną tabliczkę.

Amulet. Użył naszyjnika Sophii jako trofeum. Nie...

Caspar poprawił się.

Nie jako trofeum. Raczej jako wskazówki. Zamiast kolejnej karteczki z zagadką.

Caspar sięgnął po naszyjnik i odniósł wrażenie, że jest mokry, ale może to tylko jego spocone ręce.

Dobra. I tak już nie mam powrotu.

Wyciągnął rękę i wcisnął „minus dwa”. Nigdy wcześniej w życiu nie doświadczył takiego mroku, jak w momencie, gdy drzwi windy się zamknęły.

Godzina 3.31

Podczas podróży do źródła strachu Caspar nie potrafił sobie przypomnieć, czy jest osobą wierzącą, czy też ateistą. Wydawało mu się, że wcześniej chętnie odwiedzał kościoły, ale musiało to być dawno temu, bo nie przychodziła mu do głowy żadna modlitwa, której słowa mogłyby go teraz uspokoić.

Przycisnął palce do oczu, żeby podrażnić nerwy wzrokowe. Zazwyczaj wywoływało to kalejdoskopowe obrazy, które w kolorach tęczy tańczyły na siatkówce, ale teraz nawet to zjawisko nie wystąpiło. Zamiast tego doświadczył kolejnego złudzenia. Kabina windy zaczęła się obracać, przez co jego zmysł równowagi stracił ostatnie oparcie w ciemności i Caspar też zaczął się obracać w środku wokół własnej osi, chociaż jego ciało nie poruszyło się nawet o milimetr.

Połowa strzykawki, mocno rozcieńczona.

Wśród zawrotów głowy pojawiła się myśl, że Bruck najpewniej właśnie odzyskuje przytomność. Zdziwił się, jak łatwo zaakceptował fakt, że Łamacz Dusz być może w tej sekundzie powoli podciąga się po nodze od stołu i wstaje.

Dopóki jadę windą, jestem bezpieczny.

Przez chwilę Caspar był nawet przekonany, że nigdy już nie zdoła opuścić windy. Z każdą sekundą nabierał przekonania, że nigdy się nie zatrzyma i w nieskończoność będzie zjeżdżał w dół, gdzie będzie coraz ciemniej i goręcej.

Tym bardziej się zdumiał, gdy oślepiło go jaskrawe światło. Drzwi się otworzyły.

Minus dwa.

Dotarł tam, dokąd nigdy nie chciał dotrzeć.

Zamrugał kilka razy oczami i wszedł w światło.

Stuk. Trach. Stuk. Stuk.

Jasno oświetlony poziom z laboratorium i wyższe piętro musiał łączyć szyb wentylacyjny. W każdym razie odgłosy tomografu wydawały się znacznie wyraźniejsze niż na parterze. Mimo wszystko jednak transowy rytm pracy urządzenia docierał do niego przytłumiony, jakby przechodził przez jakiś filtr akustyczny.

Oślaniał oczy przed mocnym światłem halogenów na suficie, odbijającym się od nagich, pomalowanych na zielono betonowych ścian niczym światło filmowego reflektora.

Stuk. Trach. Stuk. Stuk.

Słuch Caspara zaakceptował już groźnie brzmiące odgłosy pracy tomografu jako coś nieuniknionego, tak samo jak ludzki wdech przyzwyczajają się do nieprzyjemnego zapachu w pozbawionym okien pomieszczeniu. Jego mózg zdołał przesunąć hipnotyzujące dźwięki w odleglejsze regiony osłabionej świadomości. Niestety nie dotyczyło to stłumionych, niemal zwierzęcych wrzasków, które dobiegły go u wejścia do laboratorium.

Godzina 3.32

Miał wrażenie, że tocząca się w nim wewnętrzna walka dosłownie go rozerwie. Dwie siły zdecydowały się rozegrać swój ostatni, decydujący pojedynek w jego ciele.

Dlatego Caspar czuł, jak jedna siła ciągnie go do tyłu, starając się zmusić do ucieczki, podczas gdy druga pcha naprzód, żeby ratować Sophię. On sam był całkowicie bezwolny, był pionkiem w rozgrywce przeciwstawnych instynktów, postronnym obserwatorem spoglądającym na scenerię, której jego mózg nie chciał zaakceptować.

Sophia siedziała apatycznie zaledwie kilka kroków od niego w swoim wózku, przed szklanymi drzwiami oddzielającymi laboratorium od niewielkiego przedpokoju.

Przynęta, przemknęło Casparowi przez myśl. Najpierw klucz, potem lekarka. *Bruck podłożył przynętę, która ma mnie doprowadzić do zguby.*

Szorstka mleczna szyba za nią musiała być pancerna, bo zarówno rozpaczliwe walenie pięściami, jak i silnie kopniaki sprawiały po tej stronie wrażenie uprzejmego pukania do drzwi.

Caspar, powłóczęc nogami, ruszył ku Sophii; nie zauważył, że jego instynkt samozachowawczy właśnie zanika.

Sophia. Chciał ją uratować. Może tylko dlatego, żeby naprawić swój błąd, którego za nic nie mógł sobie przypomnieć.

Lekarka miała zamknięte oczy, jej głowa opierała się bokiem o pogrzebacz, który wciąż nie wiadomo po co tkwił w rurze od zagłówek. Worek z kroplówką oderwał się pewnie podczas ataku Brucka. Plastikowa rurka zwisała z wózka równie bezwładnie, jak ręce Sophii, która bez wątplenia znajdowała się w innych, oby tylko szczęśliwszych rejonach rzeczywistości. W każdym razie najwidoczniej nie docierało do niej nic z dramatu, jaki

rozgrywał się za jej plecami.

Chcę, żebym ich uwolnił. Boże, co Bruck im tam zrobił?

Widział, jak od strony laboratorium przywiera do szyby czyjaś dłoń. Krew i skóra wypełniły nierówności szkła.

Caspar nie był pewny, ale wyglądała na grubą i niezgrabną. Zupełnie jakby należała do...

Bachmanna?

Potem zobaczył jakąś ciemną plamę, mniej więcej na wysokości kolan dozorczy. Czyżby to był...

Caspar odgarnął mokre włosy z czoła.

...język?

Nie. Nos.

Mister Ed, Bachmann. O Boże, to oni jednak żyją...

Zupełnie jakby ktoś chciał z niego zakpić, rozmyte postacie za drzwiami zniknęły w jednej chwili, ustało również stukanie.

Co Łamacz Dusz zamierza z nimi zrobić? Dlaczego zamknął ich w laboratorium?

Jeszcze jedna myśl nie dawała spokoju Casparowi.

Błąd. Popętniłem błąd. Nie tylko wówczas, ale i dziś. Właśnie teraz. Coś...

Zrobił kolejny krok przed siebie i momentalnie cofnął się przerażony.

Mleczna szyba zatrzęsała się. Raz, potem drugi. Coś ciężkiego, pewnie Bachmann rzuciło się na nią od środka. Bez skutku. Wzmocnione metalem zawiasy ledwo zadrżały, podobnie jak pancerna szyba.

Coś przeoczyłem.

Caspar stał teraz przy samych drzwiach. Nacisnął szarą klamkę. Bez skutku.

Tak jak się spodziewał, Bruck je zamknął, chociaż nie

było widać żadnego otworu na klucz pod klamką.

Oczywiście, że nie.

Raßfeld wybrał znacznie inteligentniejszy sposób, żeby nie pozwolić osobom nieuprawnionym na wejście do środka. Laboratorium zabezpieczone było kartą magnetyczną, którą Łamacz Dusz musiał zabrać szefowi kliniki. Dodatkowo z prawej strony obok futryny znajdowała się metalowa czarna skrzynka z klawiaturą, jak w bankomacie.

Kod. Jasne.

Jeśli Sophia знаła kod do grodzi, może znała również i ten do tych drzwi. Możliwe nawet, że był identyczny. Musi dowiedzieć się, jaki jest kod, i uwolnić pozostałych, zanim Łamacz Dusz po nich wróci.

Ale do tego potrzebuję...

Caspar obrócił Sophię w swoją stronę. Przestraszył się małej strużki krwi, która wyciekała jej z nosa.

Podniósł kciukiem powiekę jej lewego oka. Źrenice skurczyły się, co z uwagi na sytuację było całkiem dobrym znakiem. To mogło oznaczać, że Sophia jest właśnie blisko przerwania spirali paraliżu przysennego. Że jest to ten moment, kiedy Caspar mógłby zdjąć z niej hipnozę, neutralizując sugestie, jakie Bruck zakotwiczył w psychice swojej czwartej ofiary.

Może. Ewentualnie. Mógłby. Zdołałby, jego myśli przedrzeźniały głos Toma.

– Sophia, słyszysz mnie? – Złapał ją za zimne nadgarstki i zaczął masować. – Musisz się obudzić, rozumiesz? Musisz się na mnie skupić. To ty jesteś kluczem!

Klucz! O nie!

Jej nieruchome ręce wysliznęły się z jego dłoni. Obrócił się bardzo powoli, jakby stał pośrodku rwącej rzeki i musiał się opierać nurtowi. Z powrotem do windy. Tam, gdzie popełnił fatalny w skutkach błąd.

Dopóki jadę windą, jestem bezpieczny.

No właśnie. Kilka sekund temu. Gdy zostawił ten cholerny klucz, nie przekręcając go i nie włączając blokady.

To o tym zapomniałem.

Kiedy Caspar wreszcie stanął przy windzie, znów zobaczył własne oczy. Tym razem jednak jego postać nie odbijała się w lustrzanej ścianie kabiny, tylko w aluminiowych drzwiach, które już się zamknęły. Łamacz Dusz ściągnął windę.

Godzina 3.34

Drgawki zaczęły się w chwili, gdy stalowe liny się napięły. Ciało Sophii dygotało epileptycznie, aż cały wózek zaczął kołatać. Caspar stracił poczucie czasu, nie zwrócił uwagi na to, jak długo winda pokonuje tych kilka pięter, ale zdawał sobie sprawę, że nie potrwa to więcej niż dwadzieścia rozpaczliwych oddechów, a pojawi się tu Bruck.

Bum. Bum.

Zakładnicy za mleczną szybą znów przycisnęli twarze i pięści do drzwi, krzyczeli na cały głos, ale przez pancerne szkło nie docierało do Caspara prawie nic, podczas gdy Sophia coraz bardziej prężyła się na wózku. Odchyliła głowę do tyłu, wygięła ciało w pałąk i jak

osoba tonąca zacisnęła dłonie na plastikowych poręczach. Przepocony, brudny od kurzu, krwi i zawartości kroplówki lekarski kitel zsunął się jej z jednego ramienia. Uderzyła głową w metalowy pogrzebacz. Zabrzmiało to, jakby uderzyły o siebie dwie kule bilardowe. Caspar podszedł do niej, najszybciej jak potrafił, obydwoma rękami przytrzymał jej głowę i zamortyzował kolejne uderzenie. Aby nie mogła się dalej ranić, wyjął pogrzebacz. Kiedy już trzymał go w rękach, wpadł na pomysł, który mógł okazać się jego ostatnim ratunkiem.

Winda! Drzwi!

Caspar nawet nie próbował tracić resztek cennego czasu na tłuczenie pogrzebaczem w mleczną szybę. Powłókł się, najszybciej jak mógł, w stronę windy i patrzył na wskaźnik.

Pierwsze piętro piwnicy. Jeszcze tylko kilka metrów.

Musi zadziałać. Dobry Boże, proszę, niech to zadziała.

Wygięty w literę L pogrzebacz miał mniej więcej długość rakiety do tenisa. Na końcu widoczne były wyraźne ślady użytkowania. Na szczęście końcówka była też trochę spłaszczona, jak śrubokręt. Dzięki temu mógł użyć pogrzebacza jak łomu i wepchnąć w szczelinę między połówkami drzwi do windy.

Jeśli winda ma coś w rodzaju systemu bezpieczeństwa, to...

Przygryzł wargę, rozsuwając drzwi na kilka centymetrów.

...to się zatrzyma, jak tylko... Cholera. O nie.

Pogrzebacz wyśliznął mu się z ręki i drzwi zasunęły się z piskiem. Były jednak na tyle długo otwarte, że mógł

zobaczyć, jak blisko jest śmierć. Dolna część kabiny wisiała tuż nad jego głową.

Tylko spokojnie, jeszcze raz. Ostatni...

Znów wepchnął pogrzebacz w szczelinę w drzwiach, znów zaparł się z całych sił i znów drzwi rozsunęły się na parę centymetrów. Caspar poczuł powiew stęchłego powietrza pachnącego olejem i znów usłyszał tomograf, co mogło wynikać z tego, że jego zmysły pracowały na najwyższych obrotach, albo też z tego, że ten przypominający pracę pralki odgłos, łatwiej przenikał dzięki uchylonym drzwiom.

O nie...

Już myślał, że zawiedzie po raz drugi, że znów zgubi pogrzebacz, ale tym razem rozsunał drzwi na tyle, że zdążył wsunąć w szparę bosą stopę, zanim te miały czas się z powrotem zsunąć. Głośno trzasnęło i Caspar już myślał, że to drzwi właśnie zmiażdżyły mu palce, ale na szczęście nastąpiło to, na co miał nadzieję. Winda zatrzymała się w momencie, kiedy komputer systemu bezpieczeństwa wykrył nieprawidłowe otwarcie drzwi.

Udało się.

W ostatniej chwili. Podłoga kabiny zatrzymała się na wysokości jego oczu. Caspar spróbował zajrzeć przez wąską szczelinę do środka i jego wzrok od razu natrafił na zakrwawione stopy Łamacza Dusz.

Odrzucił się z obrzydzeniem i zablokował pogrzebaczem aluminiowe drzwi, tak że teraz wygięta w L część tkwiła między obiema połówkami. Otarł pot z czoła, przełknął dwukrotnie ślinę, żeby wyrównać ciśnienie w uszach, które podniosło się przy wzmożonym wysiłku, i spojrzał na Sophię.

Dzięki Bogu.

Sprawiała wrażenie spokojniejszej. Nieszczęsne wibracje całego ciała odpuściły, ograniczając się teraz tylko do powiek. A to był dobry znak. Budziła się.

A może nie?

Caspar pokuśtykał z powrotem do niej.

– Sophia? Słyszysz mnie? – zapytał, klękając przy jej nogach.

Zastanawiał się, czy nie położyć palców na jej drżących powiekach, żeby je uspokoić. Na początek ograniczył się jednak tylko do przetarcia jej długich rzęs, żeby uwolnić je od wydzieliny, którą były sklezione, i ułatwić jej otwarcie oczu.

Znów masował wewnętrzną powierzchnię jej dłoni, z rosnącą euforią stwierdzając, że jej zdrętwiałe palce delikatnie odwzajemniły uścisk. Przypomniał sobie karteczkę z zagadką, którą wcześniej przy niej znalazł.

To prawda, chociaż nazwa kłamie.

– Hipnoza – wyszeptał odpowiedź, przysuwając usta blisko jej ucha. Musiał się do niej przedrzeć, wyczuć moment, w którym jej podświadomość otworzy słuchę, żeby mógł odwołać hipnotyczne sugestie, ale nie miał pojęcia, ile czasu mu zostało.

Coś stęknęło za nim, winda albo Łamacz Dusz, którego niezrozumiałe wrzaski mieszały się z odgłosami tomografu i wołaniem o pomoc zza pancерnej szyby.

Caspar już tego wszystkiego nie słyszał. Całkowicie skupił się na Sophii. Na kobiecie, z którą właśnie zamienił się miejscami. Teraz on był lekarzem, a ona pacjentką, którą trzeba uwolnić z psychicznego więzienia, z paraliżu przysennego.

Zaczesał jej włosy za lekko odstające ucho, tak jak sama wcześniej to zrobiła, dotknął delikatnie jej karku w nadziei, że wywoła tym jakąś pozytywną reakcję, i powtórzył rozwiązanie.

– Hipnoza.

Raz za razem szeptał jej do ucha jedno słowo, podczas gdy hałas wokół nich stawał się coraz głośniejszy.

– Hipnoza. Hipnoza. Hipnoza.

Świat wokół niego przestał istnieć. Nie słyszał trzasków, stukotu, jęków, stękania. Nie słyszał tych wszystkich metalicznych, ludzkich, głuchych i niezrozumiałych odgłosów. Nie słyszał już nawet własnych słów.

Hipnoza. Hipnoza. Hipnoza.

Ustami dotykał jej ucha niczym przy intymnym pocałunku i wtedy, tuż przed ostatnią sylabą, wreszcie zareagowała.

Uniosła powieki.

Tsunami endorfin wypełniło jego żyły, kiedy spojrzał w jasne, wyraziste oczy.

Osiągnął swój cel, udało mu się do niej przeniknąć, dotknął ją nie tylko od zewnątrz, lecz dotknął też czegoś w niej.

Łzy napłynęły mu do oczu. Chciał ją przyciągnąć do siebie, objąć, pocałować i nigdy już nie wypuścić z objęć. Ale w następnej chwili chciał już tylko krzyknąć.

Ale nie udało mu się. Otworzył usta, jednak nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, gdy twarz Sophii wykrzywiła się w przerażającym uśmiechu.

– Rozwiązałeś zagadkę, Nicolas – powiedziała. Bez najmniejszego problemu wstała z wózka i błyskawicznie wbiła mu strzykawkę w ramię.

Godzina 3.37

Minuta przed lękiem

Na czym to stanęliśmy podczas naszego ostatniego badania, zanim ten cholerny kundel zaczął szczekać? – zapytała Sophia delikatnym głosem, wyjmując z kieszeni kitla małą plastikową buteleczkę.

– Ach tak, zgadza się kochanie. Twoje krople do oczu.

Chciał się bronić, odwrócić głowę, ale to, co mu wstrzyknęła, sparaliżowało wszelkie niezbędne do tego połączenia nerwowe.

Dodatkowo kolanami przycisnęła jego ramiona, siadając mu okrakiem na burczącym brzuchu. W innej sytuacji mógłby dwa razy większy ciężar zrzucić z siebie jedną ręką, ale teraz to on był sparaliżowany, i to dużo bardziej niż Sophia przez cały czas udawała.

Dlaczego?

Patrzył jej w oczy, mając nadzieję, że znajdzie w nich odpowiedź, ślad wahania, ale to był kolejny błąd. Wykorzystała okazję i umieściła ciężką kroplę stężonej skopolaminy bezpośrednio na jego rogówce.

Paliło piekielnie. Natychmiast zareagował na alkaloid, którym okuliści zwykle rozszerzają pacjentom źrenice, zanim przeprowadzą badania. Po tym, jak Sophia powtórzyła to samo z jego drugim okiem, rozpoznał już znajome działanie uboczne tego ekstraktu z bielunia.

– Dlaczego? – stęknął, zadziwiająco spokojny. Krople

sparaliżowały jego układ przywspółczulny, otępiły i tak już osłabiony stan i zniwelowały nudności. Napięte mięśnie rozluźniły się i od dawna nie czuł się tak beztroski, chociaż zagrożenie miał bezpośrednio nad sobą.

Sophia uśmiechnęła się do niego i odgarnęła włosy za uszy.

– Marie – powiedziała tylko. Proste imię, które wystarczyło, żeby zdał sobie sprawę z przerażającej prawdy.

Więc to tak. Zgadza się. Dopiero teraz to sobie uświadomił. Tak się nazywa. Marie!

Jasnowłose aniołek, przy którego badaniu coś poszło nie tak. Jego pierwszy błąd w sztuce. Ale Marie nie była tylko jego córką, to...

– Nasza córka – potwierdziła spokojnie Sophia.

Oczywiście. To dlatego przez cały czas tak bardzo go do niej ciągnęło. Z tego powodu Sophia była mu tak bliska. Ponieważ ją znał. Tylko że dawno temu. Bardzo dawno.

– Odebrałeś mi ją.

Nie, nie odebrałem, chciał powiedzieć. Sama przecież odeszłaś wtedy ode mnie, Maria miała trzy latka, a ty przeniosłaś się do Berlina. Do nowego przyjaciela.

– Nareszcie mam okazję ją pomścić.

Będę walczyć. Niedługo mam ważną rozprawę sądową. Proszę trzymać za mnie kciuki.

A więc to o to chodziło. Co za paradoks.

Im mocniej się bronił, żeby trujące substancje nie opanowały całkowicie jego wegetatywnego układu nerwowego, tym jaśniejsze stawały się wspomnienia o ich wspólnej, koszarnej przeszłości.

Przez osiem lat nie widział w ogóle Marie. Aż odebrał telefon od zatroskanej Katji Adesi, jej nauczycielki ze szkoły podstawowej.

Dlatego pojechał do Berlina i zabrał Marie ze sobą. Do Hamburga. Tam, gdzie miał swój gabinet.

– Możemy zaczynać. Pańska córka jest już gotowa. Wszystko przygotowane, doktorze Haberland.

Zahipnotyzował ją. Bez wiedzy Sophii, bo chciał się dowiedzieć, czy może ktoś ją molestował.

A teraz Sophia dokonywała sądu nad nim, ponieważ Marie podczas seansu doznała udaru mózgu. Od tego czasu była sparaliżowana i wegetowała w stanie półśpiączki, z której nigdy już się nie zbudzi.

Zamknięta w sobie. Jak w paraliżu przysennym. Jak ofiary Łamacza Dusz.

Ale to było niemożliwe. Najgorsze, co mogło się wydarzyć przy nieostrożnie prowadzonej sesji, to utrata kontaktu. To, co się stało z Marie, nie mogło więc być skutkiem ubocznym jego medycznej hipnozy.

Skurcze. Niekontrolowane ruchy kończyn. Na zawsze już ograniczone odruchy.

Dlatego nie było żadnych krat w oknach. Nikt nie wprowadził jego córki siłą.

– Boję się. Wrócisz szybko, tatusiu?

Więzieniem, z którego chciał ją uwolnić, było jej ciało. Została żywcem pogrzebana w samej sobie.

– Mylisz się... – Bezskutecznie próbował coś powiedzieć. Ale tak samo jak nad pozostałymi częściami ciała, nie miał już też władzy nad językiem. Mimo to Sophia udzieliła mu odpowiedzi. Mówiła zdecydowanym, monotonnym głosem, najwidoczniej wyjaśniając mu coś,

czego wprawdzie nie potrafił wyodrębnić z odgłosów w tle, ale czego się jednak domyślał. Była teraz jego sędzią. Prowadziła przeciw niemu proces za czyn, który dopiero w tej sekundzie sobie przypomniał. Na salę sądową wybrała sobie klinikę, a rozprawę główną otworzyła przed kilkoma godzinami, kiedy on zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że zajmuje miejsce na ławie oskarżonych. Teraz pozostało już tylko wykonanie wyroku. Tu, w przedpokoju laboratorium.

– Przestań, proszę nie. Popełniasz duży błąd – chciał powiedzieć. Jednocześnie myślał o tym, jak bardzo on i wszyscy okazali się głupi. I ślepi.

Więc takie było rozwiązanie zagadki.

Wszystko było przedstawieniem, okropną szaradą. Przez cały czas Sophia trzymała przed ich oczami krzywe zwierciadło strachu, w którym ukazywała im bezlitosną prawdę, wyraźną i dla każdego zrozumiałą, choć w lustrzanym odbiciu. Łamacz Dusz okazał się kobietą, ofiara sprawcą, jej opiekunowie ofiarami. W zaślepieniu niemal zabili jedyną osobę, która o wszystkim wiedziała i chciała im pomóc. Bruck. Nie on, tylko Sophia zamordowała Raßfelda i przeniosła do prosektorium. To ona chciała rozproszyć grupę i odizolować swoją ostatnią ofiarę – właśnie jego.

Po to zostawiała zagadki – we własnej dłoni, w ustach Raßfelda i worku Sybille.

Oczywiście. Nigdy przecież dłużej jej nie obserwowaliśmy. Patrzenie na nią sprawiało po prostu za dużo bólu.

Pierwsze karteczki najpewniej przygotowała wcześniej, później improwizowała. Yasmin okryła przecież Sophię

jej lekarskim kitlem, w którego kieszeni znajdował się długopis i bloczek recept. Jej pismo było niemal zupełnie nieczytelne, bo musiała pisać na ślepo. Pod kocem, który ją okrywał.

Wspomnienia Caspara z ostatniej godziny rozprysły się na miliony krwawych kawałków i natychmiast ułożyły się w nową, przerażającą mozaikę.

Stąd te wszystkie różne sposoby postępowania. Wyjaśniało to również, dlaczego Bruck tak słabo się opierał w windzie. Nie chciał zabić Sophii, tylko ją odizolować. A wrócił ze skalpelem, żeby go uwolnić. Bruck wcale nie miał zamiaru go zadźgać, tylko przeciąć więzy. Stracił przez to cenny czas, który Sophia wykorzystała, żeby najpierw unieszkodliwić Toma, a później zjechać tu do piwnicy i usadowić się na środku sceny.

– Posłuchaj, proszę... – zaczął jeszcze raz. – Wiem, myślisz, że jestem winny udaru naszej córki. Ale to nieprawda. Jej nauczycielka podejrzewała, że ktoś ją molestuje. Marie rysowała dziwne rzeczy, dlatego do mnie zadzwoniła. Sama o tym wiesz. Ja ją tylko zahipnotyzowałem, żeby się dowiedzieć, czy może ktoś się nad nią znęca. To prawda, w trakcie sesji coś poszło nie tak, ale...

Nazywam się Niclas Haberland. Jestem neuropsychiatrą i ekspertem w dziedzinie hipnozy. Popetrzyłem błąd.

– ...ale hipnoza tego nie spowodowała. Dlatego przyjechałem, żeby ci to wyjaśnić.

Dlatego odwiedził ją w klinice, dziesięć dni temu. Żeby wreszcie się z nią rozmówić. I pokazać jej ekspertyzę, z

której wynikało, że uszkodzenia, jakich doznała Marie, nie mogły zostać wywołane przez nieudaną hipnozę.

List z opinią J.B., Jonathana Brucka. Kolegi Raßfelda i eksperta w dziedzinie udaru mózgu.

O tym wszystkim chciał jej powiedzieć, podczas gdy jego była przyjaciółka jedną dłoń przyłożyła mu do czoła, a drugą otarła krwawiący nos, co pewnie było wynikiem walki z Bruckiem. Albo z Yasmin, której rana kłuta również pewnie była dziełem Sophii.

To niewiarygodne. Sam wszedł w sieć pająka. Nawet jedyną osobę, która mogła mu pomóc, zablokował w windzie za pomocą narzędzia, na które jego uwagę musiała najpierw zwrócić Sophia.

Teraz, kiedy amnezja zaczęła go opuszczać, jedyne, czego pragnął, to doznać znowu utraty pamięci. Dlaczego wszystko nie mogło pozostać niewyjaśnione, tak jak niewyjaśnione było pytanie, skąd w ogóle wziął się w klinice Bruck? Dlaczego wbił sobie nóż w szyję i dlaczego Sophia musiała dręczyć te wszystkie kobiety?

Dlaczego to mogło pozostać w tajemnicy, podczas gdy on z przeraźliwą jasnością uświadomił sobie nagle, że Bruck w żadnym momencie nie chciał im nic zrobić? Wprost przeciwnie. Przez cały czas z powodu rany w szyi nie mógł się z nimi porozumieć, wielokrotnie wykrzykiwał imię Sophii i nawet próbował napisać je własną krwią na szybie w oddziale radiologii. Oni jednak źle zinterpretowali te wszystkie znaki i bronili się, kiedy chciał ich uratować od zagrożenia. Byle dalej od Sophii, do zamkniętego, bezpiecznego schronienia w laboratorium, za którego drzwiami nie zakładnicy, tylko uwolnieni walili w szybę. I to nie dlatego, że wołali o

pomoc, tylko dlatego, że chcieli go ostrzec przed Sophią, zanim będzie za późno.

Byłem taki głupi. Taki ślepy. Tak nieświadomy.

Caspar otworzył wyschnięte usta. Z oczu leciały mu łzy, bo rozszerzone sztucznie źrenice wystawione były na działanie ostrego światła. Bolały go, ponieważ nieruchome powieki nie rozprowadzały nawilżającej wydzieliny. Światło załamywało się jak w pryzmacie na końcach sklejonych rzęs, wskutek czego piękna twarz Sophii znajdowała się w obramowaniu rozmytych tęczyowych barw.

Nagle odzyskał słuch.

Na krótką chwilę pękła akustyczna zaporą. Pisk w uszach, z którego zdał sobie sprawę dopiero w momencie, kiedy ten już ucichł, ustąpił miejsca delikatnemu głosowi Sophii.

– Im bardziej będziesz walczył, tym głębiej się zapadniesz – powiedziała spokojnie, patrząc prosto w jego nieruchome źrenice.

O co jej chodzi? Ostatnia zagadka? To o to chodzi? To moja ostatnia szansa?

– Im bardziej będziesz walczył, tym głębiej się zapadniesz – powtórzyła. Wtedy nagle ktoś odciągnął go od Sophii.

Ucieszył się, pomyślał o Brucku, któremu może w jakiś sposób udało się wydostać z windy, albo o Linusie, który z pewnością sprowadził pomoc z zewnątrz. Ale szybko zdał sobie sprawę, że ruch jego ciała był niemożliwy fizycznie. A to dlatego, że spadał w dół. Przez podłogę, która pod jego plecami stała się nagle bardzo miękka. Beton zmienił się w piasek, z którego wyłoniła się

lodowata dłoń, chcąc pociągnąć go w dół. Dopiero teraz w pełni zrozumiał swoje położenie.

I zaczął walczyć. Z hipnotycznym spojrzeniem. Ze spokojnym głosem Sophii. Z mieszanką tiopentalu i skopolaminy, która łamała jego wolę sprzeciwu.

Hollywoodzkie bajeczki, wrzask Schadecka z przeszłości odbijał się echem w jego głowie. Nie można zahipnotyzować człowieka na siłę.

Wszystko zależy od okoliczności, odpowiedział mu wówczas w prosektorium.

Po zadaniu silnego bólu fizycznego i psychicznych tortur, szczególnie przez doprowadzenie do ciężkiego, traumatycznego szoku, po podaniu zmieniających świadomość narkotyków może się udać wprowadzenie w stan hipnozy podatnych na to osób wbrew ich woli i zapanowanie nad ich świadomością.

Caspar myślał o swoich skaleczeniach, zwichniętym barku, torturach Schadecka, jego poparzonych dłoniach i o strachu, jaki przeżył w ostatnich godzinach. Czuł barbituraty, które wprawiały go w stan apatii, i słyszał dochodzące z przewodów wentylacyjnych psychodeliczne odgłosy pracującego tomografu. Odpowiednie tło dla zastosowania hipnozy, przed którą nie potrafił już się bronić, ponieważ Sophia nawiązała już kontakt z nim i zakotwiczyła w jego świadomości perfidną sugestię, której własnymi siłami nie był już w stanie przezwyciężyć.

Im bardziej będziesz walczył, tym głębiej się zapadniesz.

Dlatego też przestał walczyć, zamknął w myślach szeroko otwarte oczy i pozwolił sobie zapaść się w

pustkę.

Spadał. Głęboko w zimny, mroczny szyb, w którym jeszcze nigdy dotąd nie paliło się żadne światło. Do więzienia własnej duszy.

Godzina 5.10

Dziewięćdziesiąt pięć minut od początku lęku

Dym był jak żywa istota. Rój mikroskopijnych komórek, które przenikały przez jego skórę, żeby rozłożyć go od środka.

Cząsteczki szczególnie upatrzyły sobie płuca, przenikając przez tchawicę aż do oskrzeli. Ale i tak było to nic w porównaniu do płomieni. Rozżarzonymi do czerwoności ostrzami wystrzeliwały z deski rozdzielczej, poszarpały jego koszulę, porozrywały skórę, na której poniżej serca pojawiły się już bąble. Jak na topiącym się od płomienia zapalniczki plastiku.

Spojrzał w dół na siebie i wykorzystał siłę, którą dał mu nieznośny ból, żeby wdepnąć pedał gazu do samego końca. Nie chodziło mu o to, żeby samochód znowu ruszył, on chciał się tylko odsunąć możliwie daleko do tyłu, jak najdalej od ognia.

Wypluł w płomień coś, co przypominało obślizły korek z krwi i czarnego śluzu, i zrekapitulował w myślach wydarzenia, które doprowadziły go do tej sytuacji bez wyjścia. Poddał zabiegowi Marie, bez zgody jej matki, święcie przekonany, że hipnoza nie może mieć żadnych skutków ubocznych.

A jednak dziewczynka dostała udaru. Podczas sesji. Marie nigdy już nie powróci do zdrowia, nigdy się nie

uśmiechnie. Pień jej mózgu został na tyle uszkodzony, że mogli mówić o szczęściu, kiedy wrócił jej odruch przełykania.

Jak to się mogło stać?

Usłyszał, jak pod nogami pęka butelka, której zawartością niedawno się znieculił. Po tej brzemiennej w skutkach hipnozie, a przed własną ostatnią podróżą.

A teraz siedział tu, zaklinowany we wraku samochodu ze zdjęciem córki w ręku, która nigdy nie będzie mogła prowadzić normalnego życia. I płonął zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz.

Wyciągnął ręce do ognia, jakby mógł w ten sposób powstrzymać śmierć, która obejmowała go płonącymi ramionami. I wtedy, w tej samej chwili, kiedy już myślał, że nie wytrzyma więcej odoru przypalanego ciała, gdy już chciał rękami zderzyć z piersi piekącą skórę, wszystko stało się przejrzyste. Wrak samochodu, którym w deszczowy dzień uderzył w drzewo, szukając w aktach zdjęcia Marie, zniknął. Dym, ogień i nawet ból rozwiały się, pozostała czarna nicość.

Dzięki Bogu, pomyślał, to tylko sen. Otworzył oczy. I zupełnie nic już nie rozumiał.

Koszmar, w którym przed chwilą się znajdował, nie minął, zmienił tylko swoją postać.

Gdzie ja jestem?

Po pierwszym wrażeniu sądząc, w korytarzu jakiejś piwnicy. Przed nim stało dwóch zamaskowanych mężczyzn, obaj z bronią w ręku. POLICJA – mówiły wielkie odbłaskowe litery na czarnych maskujących strojach.

– Słyszysz mnie pan? – zapytał jeden z nich, podnosząc

wizjer w hełmie. Nad lewą brwią miał haczykową bliznę.

– Tak – odpowiedział Haberland.

Dlaczego jestem półnagi? Dlaczego siedzę na wózku inwalidzkim w brudnych spodniach od piżamy i gapię się w zieloną betonową ścianę?

– Morpheus, spójrz tylko na jego źrenice.

Drugi funkcjonariusz zareagował na swój pseudonim. Podszedł nieco bliżej, opuścił karabin i również podniósł wizjer.

– Jest pod wpływem narkotyków.

– Może dlatego nic nie mówi – domyślił się mężczyzna z blizną.

– Mówię – odpowiedział Haberland, próbując złapać się za pałacę gardła. Ale nie udało mu się.

– Mamy na dole jednego, dziesięć/trzyście. – Haberland usłyszał, jak Morpheus mówi do krótkofalówki. – Żyje, ale nie wykazuje żadnych reakcji. Potrzebujemy pilnie lekarza.

– Jak się pan nazywa? – zapytał drugi policjant, który uklęknął przy nim. Zsunął maskę, odsłaniając niedbale przystrzyżoną brodę.

– Casp... – chciał odpowiedzieć, ale szybko się poprawił:

– Nazywam się Niclas Haberland.

Nazywam się Niclas Haberland. Jestem neuropsychiatrą i ekspertem w dziedzinie hipnozy. Popętniłem błąd.

Powtórzył to jeszcze raz, ale antyterrorysta pokręcił tylko głową ze współczuciem.

– Są jeszcze inni na dole? – syknęła krótkofalówka.

– Tak, na to wygląda. Jest przejście do laboratorium

albo czegoś takiego. Szyby wyglądają na pancerne. Coś się za nimi rusza.

– Wysyłam wsparcie.

– Zrozumiałem.

Morpheus wyłączył krótkofalówkę. Chwilę później po jego prawej stronie otworzyły się drzwi windy. Co najmniej dwóch kolejnych policjantów wyszło na korytarz w ciężkich butach i z odbezpieczoną bronią.

– Co za syf. Jack, co tu się stało? – zapytał nowy głos. Najwidoczniej zwrócił się do mężczyzny z blizną, który stał teraz za wózkiem Haberlanda.

– Nie mam pojęcia. Ten tutaj jest kompletnie bez kontaktu. Nic do niego nie dociera.

Co to ma znaczyć? Dlaczego mnie nie słuchacie?

Haberland poczuł, jak przechyla się do tyłu, jego tułów przybrał pozycję ukośną, tak że patrzył teraz prosto w oślepiające oświetlenie na suficie.

– A ten facet, którego uwolniliście z windy, coś powiedział? – zapytał Jack nowo przybyłych.

– Nie, jest w szoku. Poza tym ma rozciętą tchawicę. Gwiżdże jak czajnik.

Wózek z Haberlandem zaczął przesuwać się do przodu.

– A co tam na górze?

– Kompletny syf. Wszędzie krew i ślady walki. A na radiologii chyba był pożar. Na razie dwa trupy. Jeden ma poderżnięte gardło, drugi leżał w lodówce w prosektorium.

– Zidentyfikowani?

– Tak. Thomas Schadeck i Samuel Raßfeld. Do pierwszego należy przewrócona karetko na podjeździe, drugi był chyba szefem kliniki.

Schadeck? Raßfeld?... No jasne.

Haberland zobaczył własne odbicie. Zauważył plamy krwi na podłodze windy, do której go właśnie wepchnęli, i krzyknął:

– *Wszystko mogę wam wyjaśnić! Wiem, co tu się stało!*

– Słyszałeś? – zapytał Morpheus.

Jack wcisnął przycisk i się odwrócił. Drzwi zamknęły się, obaj policjanci włączyli latarki i winda ruszyła w drogę na parter.

– Co takiego?

– Wydawało mi się przez chwilę, że coś powiedział.

Jack wzruszył ramionami.

– To pewnie winda. – Wyszczrzył się, świecąc jednak dla pewności Haberlandowi w twarz.

– Zobacz.

– Co?

– Jego dłonie. Tam coś jest.

Haberland czuł, jak dwa palce w czarnych skórzanych rękawiczkach delikatnie ujmują jego dłoń.

– Rzeczywiście.

– Co to jest?

Światło latarki uciekło z jego twarzy.

– Kartka – stwierdził Morpheus.

– Co tam jest napisane?

O mój Boże.

Haberland panicznie szukał jakiejś możliwości zwrócenia na siebie uwagi.

– To dziwne.

– Co?

– Ten facet trzyma w ręku kartkę z zagadką.

– Kurwa, myślisz, że...

– *Tak, tak, tak!* – wrzeszczał Haberland i ku swemu przerażeniu zobaczył, że usta jego odbicia nie otworzyły się nawet na milimetr.

– *To był Łamacz Dusz. Nie. Raczej Łamaczka Dusz!*
Sophia Dorn.

– „Wyrzuć mnie, kiedy mnie potrzebujesz. Weź mnie z powrotem, kiedy się już nie przydam” – przeczytał Morpheus.

– Że co?

– To pewnie jakiś głupi kawał. Albo ktoś się podszywa.

– Dlaczego?

– Zastanów się. Łamacz Dusz wybierał tylko kobiety.

NIEPRAWDA!, krzyczał Haberland i z przerażenia chciał zamknąć oczy, ale nawet tego nie był w stanie zrobić.

Proszę! To nie żart!, krzyczał do nich w myślach. *Musicie rozwiązać tę zagadkę! Musicie mnie stąd wyciągnąć! Nie z kliniki, tylko ze mnie samego! Czy wy nic nie rozumiecie?!*

Oczywiście, że nie rozumieli.

Wiedział, że w tej chwili nie potrafi ani mówić, ani pisać, ani czytać. Sophie odebrała mu wszelkie zdolności komunikacji. Na mosiężnej listwie z przyciskami świecił się przycisk parteru. Za chwilę dotrą na górę.

Sophia to zrobiła. Zahipnotyzowała mnie, cofając mnie do mojego najgorszego koszmaru. Do płonącego samochodu. Od czasu do czasu budzę się, wracam do rzeczywistości. Wtedy otwierają mi się oczy, a wy macie szansę usunąć blokadę. Jeśli tylko powiecie odpowiednie słowo. Nie rozumiecie? Jeśli przegapicie ten moment, spirala paraliżu przysennego zacznie się kręcić od początku. Proszę, musicie mi pomóc.

– Masz jakiś pomysł, o co może chodzić? – zapytał Jack.
– „Wyrzuć mnie, kiedy mnie potrzebujesz. Weź mnie z powrotem, kiedy się już nie przydam”?

– Nie mam pojęcia. – Usłyszał odpowiedź drugiego policjanta. Jego głos docierał już jednak z daleka. Haberland nie zauważył też, kiedy otworzyły się drzwi windy i przejął go lekarz.

Niewidoczna siła znów wyciągnęła swą zimną dłoń po niego i zaczęła go ciągnąć za sobą. Z powrotem do miejsca, w którym nigdy więcej w życiu nie chciał się znaleźć i z którego dopiero co się uwolnił: do piekła płomieni we wraku samochodu.

Spróbował jeszcze dać policjantom jakiś znak, żeby szukali Sophii. Jego byłej przyjaciółki, którą piętnaście dni temu odwiedził potajemnie, aby wszystko jej wyjaśnić. Chciał ją prosić o wybaczenie i przekazać opinię lekarza, który opiekował się nim po wypadku. Według fachowej opinii doktora Jonathana Brucka udar wystąpiłby u Marie również bez hipnozy.

Ale Sophia nie chciała go słuchać. Wrzuciła list i opinię w ogień, a jemu kazała wracać do psa, którego zostawił przywiązanego przed kliniką. Przypomniał sobie, jak napięła się smycz, kiedy Tarzan, albo Mister Ed, jak go tu wszyscy nazywali, coś zwietrzył, a on się wtedy przewrócił, uderzając skronią o ziemię.

Tego wszystkiego nie był w stanie przekazać grupie policjantów i lekarzy, których kontury powoli rozmywały się przed jego oczami, podczas gdy on spadał z powrotem w swój hipnotyczny koszmar.

Z powrotem do płonącego auta. W morze ognia, które Sophia przewidziała dla niego jako wieczną karę.

Dziś, godzina 14.56

**Dużo później,
wiele lat po lęku**

Lydia skończyła pierwsza. Jej przyjaciel potrzebował więcej czasu i dopiero po dwudziestu minutach przewrócił ostatnią stronę.

– I co dalej? – zapytał, patrząc z niedowierzaniem na okładkę segregatora. – To wszystko? Nic więcej nie ma?

Profesor zdjął okulary i skinął lekko głową. Przez ostatnie minuty uważnie obserwował miny swoich studentów. Jak nieświadomie drapali się za uchem, zanim ich oczy przeskoczyły do kolejnego akapitu, albo jak wypowiadali bezgłośnie pojedyncze słowa.

Przy ostatnich stronach Lydia czytała, odchylając palcami dolną wargę. Patrick z kolei przez cały podpierał głowę rękami. Teraz na jego policzkach odznaczały się czerwone plamy.

– Powiedziałem przecież, że na początku nie skupił się pan dostatecznie mocno na lekturze, prawda?

– No tak, ale jak można było wpaść na takie zakończenie?

Student przeciągnął się i ziewnął zmęczony.

– To proste. – Profesor postukał palcem w akta. – Odpowiedź znajduje się już na 20 stronie akt. Przypominają sobie państwo rozwiązanie pierwszej zagadki, jaką Greta zadała Casparowi?

– Chirurg jest kobietą. – Lydia puknęła się w czoło. – No przecież!

– Okay, okay, nie załapałem. Ale jak rozwija się dalej ta historia? – zapytał Patrick niecierpliwie, z zimna obejmując tułów rękami. Również Lydia zaczęła się rozglądać za swoją zimową kurtką.

Podczas lektury nie zwracali uwagi na zimno, które wzmogło się wraz z zapadnięciem ciemności.

Profesor otworzył notatnik i zapisał w nim coś.

– Wszystko po kolei. Najpierw chciałbym poznać wasze spontaniczne wrażenia. O czym pomyśleliście po przeczytaniu ostatniego zdania?

Skinął na Lydię, która z pytającym wyrazem twarzy pokazała na siebie.

– No więc, ja... – Odchrząknęła i sięgnęła po butelkę z wodą. – Przez cały czas zastanawiałam się, czy rzeczywiście coś takiego mogło się wydarzyć.

Wypiła łyk. Profesor odłożył ołówek i sięgnął po oryginał protokołu.

– Dobre pytanie. Przez to, że te akta napisane są niemal wyłącznie z subiektywnej perspektywy jednej osoby, znajdują się w nich oczywiście luki i pojawia się sporo miejsca na interpretacje. Pewne jest jednak, że Niclas Haberland był ekspertem w dziedzinie hipnoterapii, specjalizującym się w terapii dzieci. Przed laty miał burzliwy romans z koleżanką, którego efektem było dziecko. Dziewczynka o imieniu Marie. Związek szybko się rozpadł, Sophia Dorn otrzymała prawo do opieki nad dzieckiem i przeniosła się do stolicy.

Profesor założył nogę na nogę.

– Pewnego dnia Haberland odebrał telefon z Berlina.

Marie na lekcjach plastyki malowała jakieś dziwaczne obrazy. Jej zaniepokojona wychowawczyni, Katja Adesi, nie miała pewności i nie chciała jeszcze powiadamiać władz. Zwróciła się najpierw do biologicznego ojca. Haberland przyjechał do Berlina i postanowił zbadać rzecz dokładnie.

– Zahipnotyzował Marie? – wtrąciła Lydia.

– Z Berlina do Hamburga można dojechać pociągiem w półtorej godziny. Zabrał ją do swojego gabinetu i jeszcze tego samego dnia chciał odwieźć z powrotem do matki. Do tego jednak nigdy nie doszło. Sesja zakończyła się tragedią. Jego córka doznała podczas badania udaru pnia mózgu.

– O, cholera – Patrick miał taką minę, jakby bolał go ząb. – Czyli wtyczka została wyciągnięta z gniazdk.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Lydia, odwracając się w jego stronę. Odległość między nimi była znacznie większa niż na początku eksperymentu. Zupełnie jakby te akta wbiły między nich jakiś niewidoczny klin. Profesor zanotował kolejne spostrzeżenie.

– Wydaje mi się, że pani kolega właśnie użył metafory do określenia czegoś, co nazywamy zespołem zamknięcia – stwierdził, wstając z krzesła. – To stan, w którym mózg nadal funkcjonuje, ale nie jest w stanie nawiązać kontaktu ze światem zewnętrznym. Proszę sobie wyobrazić, że nie mogą państwo nic widzieć, słyszeć, czuć, smakować, oddychać ani odbierać wrażeń dotykowych. Jedynie myślicie.

– Dobry Boże.

– Jeszcze nigdy nie zaobserwowano tak silnego efektu

ubocznego w wyniku nieudanej hipnozy.

Lydia odchrząknęła ponownie.

– Czy ta dziewczynka zmarła?

– Nie. Stało się coś znacznie gorszego. Marie do końca życia pozostanie fizycznym i psychicznym wrakiem. Również jej matka załamała się psychicznie, chociaż na zewnątrz nic nie dała po sobie poznać. Jej przyjaciel do dziś zaprzecza, jakoby był winny temu, co stało się z Marie.

Mały kamyk uderzył w szybę. Wiatr, który się właśnie zerwał, niósł ze sobą na razie tylko śmieci i żwir. Wierzba płacząca pochylała się jeszcze bardziej, kiedy profesor mówił dalej.

– Sophia próbowała najpierw uzyskać oficjalne orzeczenie na drodze sądowej. Znalazła prawniczkę, Doreen Brandt, ale ta odrzuciła w końcu propozycję wniesienia oskarżenia przeciwko Niclasowi Haberlandowi, ponieważ udowodnienie błędu uznała za wręcz niemożliwe. Zaproponowała ugodę.

Profesor wstał i odchylił ramiona do tyłu, żeby trochę rozluźnić mięśnie. Na przekór wszystkim ćwiczeniom ból stawów najpóźniej jutro przypomni mu, że dziś za długo siedział.

– Sophia była coraz bardziej zrozpaczona – ciągnął, podchodząc do bulgoczącego piecyka olejowego stojącego przy kominku. – Do kogokolwiek się nie zwróciła, zawsze otrzymywała taką samą odpowiedź: niemożliwe, żeby hipnoza wywołała tak ciężkie uszkodzenie. Jej rozpacz pogłębiała się, aż w końcu przeszła w manię, w której stworzyła plan pomszczenia Marie. Chciała wszystkim udowodnić, że jednak w trakcie hipnozy można złamać

człowiekowi duszę. Więcej nawet, pragnęła ukarać wszystkich winnych, wprowadzając ich w taki sam stan, w jakim znalazła się Marie.

– Zespół zamknięcia. Uwięzienie w stanie paraliżu przysennego.

– Zgadza się. – Profesor skwitował stwierdzenie Patricka skinieniem głowy.

– Podczas studiów Sophia interesowała się hipnozą, zawsze jednak odrzucała jej zastosowanie w leczeniu. Teraz zaczęła się w niej wprawiać z zapałem szaleńca, żeby móc użyć tej techniki jako broni. Metoda, którą wymyśliła, była w zasadzie bardzo prosta. Najpierw sprowadzała swoje ofiary podczas hipnozy do ich najgorszego koszmaru, a potem sztucznie zrywała kontakt.

– Wrzucała ludzi do piekła i zamykała drzwi. – Patrick pokręcił głową ze zgrozą.

– Obrazowo można to tak ująć. Sophia świadomie porzucała kontrolę nad swoimi zakładnikami, zostawiając ich w stanie, w którym nie można było już nimi sterować. Ponieważ każda nieudana hipnoza niechybnie przechodzi w jakimś momencie w normalny sen, z którego można się obudzić, przekazywała dodatkowo ofiarom posthipnotyczne polecenie. W momencie obudzenia mieli natychmiast zasypiać na nowo.

– Jak to zrobiła?

– Brała pani kiedyś udział w pokazowej hipnozie?

– Widziałam w telewizji. Jeden mężczyzna z publiczności został wprowadzony w trans. Hipnotyzer zasugerował mu, że jest psem, a po przebudzeniu nie

będzie nic pamiętał, ale za każdym razem, kiedy publiczność krzyknie „Pluto!”, trzy razy zaszczecka.

– Co też robił, jak przypuszczam.

– Tak.

– To wulgarny, ale idealny przykład prostego posthipnotycznego polecenia, jakie zastosowała Sophia. Tylko że tu nikt nie musiał krzyzczeć „Pluto”. Wystarczyło, że ofiary otwierały oczy i na siatkówkę padało światło. To był bodziec. Im silniejsze światło, tym szybciej ofiara ponownie zapadała w stan hipnozy.

– Straszne. – Lydia zapięła zamek błyskawiczny swojej kurtki.

– Ale działało. W ten sposób udało się Sophii umieścić ofiary w spirali paraliżu przysennego, który mógł zostać zakończony tylko wtedy, gdy w fazie przebudzenia powiedziało się odpowiednie słowo: rozwiązanie zagadek na poszczególnych kartkach.

Profesor położył obie dłonie na żeberkach olejowego grzejnika. Chociaż gorąco prawie parzyło go w końcówki palców, ciepło doszło zaledwie do nadgarstków.

Kiedy Patrick postawił następne pytanie, całe ciało profesora pokryła niemal bolesna gęsia skórka.

– Co się stało z Haberlandem?

Dziś, godzina 15.07

Z Haberlandem? – powtórzył profesor cicho, idąc w kierunku przeszklonych drzwi. – Wydaje mi się, że zanim opowiem państwu coś o jego przyszłości, powinniśmy zająć się jeszcze trochę przeszłością.

Mówił teraz odwrócony do nich plecami.

– Udar mózgu Marie był oczywiście największą traumą jego życia. Wprost nie potrafił pojąć, co zrobił własnej córce, i jeszcze tego samego dnia się upił. Wskutek tego spowodował groźny wypadek, którego omal nie przyplącił życiem. Po zagojeniu się zewnętrznych ran zaczął się leczyć u doktora Jonathana Brucka. W trakcie terapii rozmawiali również o Marie. Bruck ściągnął jej akta z kliniki, w której leżała na oddziale intensywnej terapii.

– To tyle na temat tajemnicy lekarskiej – usłyszał szept Patricka.

– Po analizie krwi Marie lekarze doszli do wniosku, że udar nastąpił wprawdzie podczas, ale nie z powodu hipnozy. Sophia była tak wściekła na tę diagnozę, że przeniosła córkę z powrotem do Berlina.

Odwrócił się do swoich studentów.

– Ale hamburscy lekarze mieli rację. Jak powiedziałem, według dzisiejszego stanu wiedzy medycznej przypadkowe wywołanie tego typu uszkodzeń jest rzeczywiście niemożliwe.

– Strona 193 protokołu – powiedziała Lydia i przekartkowała akta.

– Zgadza się. Bruck zachęcał Haberlanda do odbycia wyjaśniającej rozmowy z matką ich wspólnego dziecka o tych nowych faktach. Haberland na początku nie był przekonany, ale w końcu, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, wybrał się do niej. Pojechał pociągiem z psem...

– Tarzanem alias Mister Edem.

Profesor zignorował uwagę Lydii z przelotnym uśmiechem.

– ...i ekspertyzą lekarską do Berlina. Przed podjazdem do kliniki Teufelsberg opuściła go jednak odwaga. Jak zareaguje Sophia, która dotychczas unikała wszelkiego kontaktu i od czasu tragedii nazywała go mordercą? Co zrobi, kiedy niezapowiedziane stanie przed nią, chociaż właśnie tego mu zabroniła? Dopiero po dłuższej przerwie podjął decyzję i ruszył pod górę, żeby się przekonać.

– Czegokolwiek się obawiał, nie było to nawet w połowie tak okropne, jak to, co wydarzyło się później naprawdę.

Profesor zaśmiał się sucho.

– Istotnie. Do tego czasu Sophia zdążyła już zastosować swoją metodę łamania dusz już na trzech kobietach. Jak państwo zapewne wiedzą, nie każdego człowieka da się zahipnotyzować. A już na pewno nie wbrew jego woli. Niestety Vanessa Strassmann nie należała do tej grupy ludzi. Była zupełnie niewinna, miała po prostu pecha, że uczyła się razem z Sophią na ten sam kurs aktorstwa dla amatorów w ośrodku kultury. Jako mająca ezoteryczne ciągoty osoba była łatwym obiektem dla pierwszej próby. Nic dziwnego, że Haberland jej nie skojarzył, kiedy zobaczył zdjęcie w gazecie. Vanessa nigdy nie miała kontaktu z nim ani z Marie.

Patrick spojrział na niego pytająco i też wrócił do pierwszych stron. Profesor skinął zachęcająco głową.

– Od pani Strassmann zaczęła się cała seria. Sophia zwabiła ją pod jakimś pretekstem do pokoju hotelowego. Najwidoczniej Vanessa została kiedyś zgwałcona, a Sophia raz za razem konfrontowała ją w hipnozie z jej oprawcą.

– Już od tego momentu nie chciałem dalej czytać – mruknął Patrick.

– Zachęcona sukcesem Sophia Dorn zaczęła używać tej techniki wobec w jej oczach naprawdę winnych: nauczycielki ze szkoły podstawowej Katji Adesi, od której podejrzeń o molestowanie przecież wszystko się zaczęło.

– A trzecia ofiara? – zapytała Lydia. – Doreen Brandt?

– To pani adwokat, która odmówiła wniesienia oskarżenia wobec Haberlanda – wyjaśnił profesor. – Ponieważ nigdy nie przyjęła pełnomocnictwa, długo to trwało, zanim połączono ją z Sophią i pozostałymi ofiarami. Poza tym szukano przecież mężczyzny.

– Okay, ale mieliśmy mówić o Casparze, to znaczy o Haberlandzie – przypomniał niecierpliwie Patrick.

– Tak, tak, przepraszam. Cóż, to on był przez cały czas głównym celem Sophii. Jej prawdziwy majstersztyk. Na stronie 191 przedstawiono w aktach, jakimi metodami można wywołać wymuszoną hipnozę. Wszystkie techniki łączy jedna rzecz: bazują na efekcie zaskoczenia.

– Ale przecież po wizycie Haberlanda nie było już tego efektu.

– Zgadza się. Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo zszokowana musiała być Sophia, kiedy Haberland nagle się przed nią pojawił. To on ją zaskoczył. I znów

próbował się kłamliwie tłumaczyć. Pokazał jej nawet opinię szanowanego lekarza Jonathana Brucka, która potwierdzała jego rzekomą niewinność. Ha! – Profesor uderzył płaską dłonią w blat stołu.

– A przecież sama już trzykrotnie udowodniła, że jak najbardziej można zagrozić czyjemuś życiu przez hipnozę.

– Więc spaliła opinię w kominku i wstrzyknęła mu środek uspokajający? – Patrick też się podniósł, żeby rozprostować nogi. Tylko Lydia nie ruszyła się ze swojego miejsca i jedynie nerwowo bawiła się kosmykiem włosów.

– I tak, i nie – powiedział profesor. – Wrzuciła list do kominka i kazała Haberlandowi wynosić się do diabła. A dokładniej mówiąc do Tarzana, którego wcześniej przywiązał na mrozie na zewnątrz. Później musiała zmienić zdanie i wyjęła w połowie już zwęgloną ekspertyzę z płomieni.

– A amnezja Haberlanda? – Lydia z przejęcia wsunęła sobie kosmyk włosów do ust.

– Spowodował ją zwykły upadek.

Patrick zmarszczył czoło i profesor zrozumiał, że musi się wyrażać bardziej konkretnie.

– Haberland był psychicznie wyczerpany. Przeżył coś okropnego, o czym za wszelką cenę próbował zapomnieć. Z powodu tego, co zrobił swojej córce, trafił na terapię u Brucka. A teraz miał za sobą pierwszą próbę zwalczania swojej traumy w osobistej rozmowie z Sophią Dorn i była to próba całkowicie nieudana. Był urażony, zły, wzburzony i bliski załamania. Jego mózg był owładnięty pragnieniem pozbycia się z pamięci okropnych

wspomnień o Marie. I wykorzystał pierwszą okazję, jaka się nadarzyła, żeby uciec od poczucia winy.

– Upadek? – zapytała Lydia.

– Tak. Tarzan szarpnął smycz, Haberland stracił równowagę na oblodzonej drodze i kiedy uderzył skronią o asfalt, stracił przytomność. Dopiero kilka godzin później Bachmann zawiózł go wychłodzonego do kliniki.

– Z powrotem do tamtej wariatki.

Profesor przytaknął.

– Sophia wykorzystała niespodziewaną okazję. Dzięki amnezji Haberlanda znów miała po swojej stronie efekt zaskoczenia. Od razu przy wstępnym badaniu zabrała swojemu... – profesor zrobił palcami w powietrzu znak cudzysłowu – ...„pacjentowi” wszystkie przedmioty, które mogły wskazać jego prawdziwą tożsamość, pośrednio pozorując w ten sposób napad rabunkowy. Oczywiście nigdy nie powiadomiła o sprawie policji. Taktyka Raßfelda polegająca na odsuwaniu wszystkiego w nieskończoność i jego niechęć do jakichkolwiek zewnętrznych ingerencji w sprawę kliniki idealnie pasowały do jej planu.

– Ale dlaczego nie zahipnotyzowała Caspara od razu wtedy? – zastanawiała się na głos Lydia. – Po co pokazała mu jeszcze zdjęcie córki? Mógłby sobie przecież przypomnieć, a wtedy z jej planu nic by nie wyszło.

– Dobre pytanie. Sophia faktycznie była rozdarta. Z jednej strony chciała ukarać Haberlanda i zgotować mu piekło. Ale kara i satysfakcja z niej byłyby mniejsze, gdyby nie pamiętał Marie i swojej winy. Dlatego chciała najpierw wyprowadzić go z błogosławionej amnezji i dopiero potem złamać mu duszę. Wydarzenia nocy

umożliwiły jej obie rzeczy.

– A jak włączył się w to wszystko Bruck? – zapytał Patrick.

– To przecież logiczne – odpowiedziała zamiast profesora Lydia. – Skoro Sophia chciała zemścić się na wszystkich, którzy jej wmawiali, że hipnoza jest całkowicie bezpieczna, to Haberland, pokazując jej ekspertyzę, wskazał kolejną ofiarę. Niejako z dostawą do domu.

– Doskonałe wyjaśnienie – pochwalił profesor.

– Naprawdę? – Lydia uśmiechnęła się.

– Dokładnie tak było. Zanim Haberland do niej przyszedł, Sophia nic nie wiedziała o istnieniu tego człowieka. Później znalazł się na jej liście i Sophia wybrała go na czwartą ofiarę.

– W jaki sposób? – chciał wiedzieć Patrick.

– Sophia działała całkowicie bez skrępowań – powiedział profesor. – Zadzwoiła do Brucka i poprosiła go o koleżeńską poradę w sprawie nowego pacjenta z objawami amnezji. Bruck wyraził gotowość pomocy i przyjechał specjalnie z Hamburga, ponieważ podejrzewał, że może chodzić o Haberlanda, który od dwóch dni się do niego nie zgłaszał. Zarezerwowała dla Brucka pokój w motelu Teufelssee, niedaleko kliniki. Tam się spotkali.

– I siłą go zahipnotyzowała.

– Prawie.

– Co znaczy „prawie”? – Plamy na policzkach Patricka powiększyły się, ale tym razem nie odcisnęły ich dłonie. Chociaż temperatura spadała z minuty na minutę, jemu było coraz cieplej. Profesor zanotował w pamięci kolejne

spostrzeżenie, nie wiedząc, czy te reakcje w ogóle będą istotne dla wyniku. Potem odpowiedział na pytanie.

– Cóż, nie udało się jej do końca. Sophia wkropiła Bruckowi do oczu skopolaminę, wprowadzając go w trans. Potem oblała go alkoholem z barku, żeby wyglądał na pijaka, gdy go znajdą. Ale tym razem coś się nie udało. Może ktoś przeszkodził, może popełniła jakiś błąd. A jak już wspomniałem, nie każdego można zahipnotyzować. Bruck był trudnym przypadkiem. Sophii co prawda udało się sparaliżować jego ośrodek komunikacyjny. Dlatego na przykład nie mógł przekazać Casparowi żadnych informacji pisemnie, chociaż z biegiem czasu stopniowo odzyskiwał tę umiejętność. Przypominają sobie państwo, jak własną krwią próbował napisać na szybie imię Sophii.

Oboje przytaknęli.

– Tak czy inaczej, Sophia wywarła niezwykle destrukcyjny wpływ na Brucka, ale nie udało się jej przekazać posthipnotycznego polecenia. Kiedy Schadeck przyjechał po Brucka do motelu, temu udało się własnymi siłami wyrwać z paraliżu przysennego.

– W jaki sposób?

– Wbijając sobie nóż w szyję.

– Słucham? – Na twarzy Lydii malowało się skrajne przerażenie, podczas gdy mina Patricka była całkowicie bez wyrazu.

– Tak. Powody tego zachowania nie są do końca jasne. Badania wykazały, że Bruck w dzieciństwie połknął osę i omal się nie udusił. Przypuszczam, że Sophia odwołała się do tego zdarzenia i przeniosła Brucka w tamten koszmar.

– Uważa pan, że dlatego perforował sobie tchawicę? –
Lydia chwyciła się za szyję, głośno przetykając ślinę.

– Tak. Kiedy leżał w karetce, przeszedł w fazę wybudzenia z paraliżu sennego i myślał, że się udusi. Jednocześnie wiedział, że ekstremalny bodziec, na przykład ból, może przerwać hipnozę, która w jego przypadku, jak już wspomniałem, nie była do końca udana. Jako lekarz miał jednocześnie świadomość, że taka rana nie jest wprawdzie zagrożeniem dla życia, ale zmusza do szybkiego działania. Poza tym wiedział też, że znajduje się gdzieś w pobliżu kliniki Teufelsberg, w której była nie tylko sprawczyni, ale również jej następna ofiara, Haberland, jego pacjent. Tu wchodzimy już w sferę spekulacji, ponieważ Bruck po tej strasznej nocy był w stanie zdać policji tylko fragmentaryczną relację. Nie mam dostępu do wszystkich akt. Może to przypadek, a może chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, że posłużyć się tym staromodnym powiedzeniem. W każdym razie uzyskał pożądany efekt, chociaż w bardzo drastyczny sposób. Schadeck zatrzymał się, ponieważ stracił kontrolę nad kierownicą, a Bruck dostał się dzięki temu do kliniki.

– I historia się zaczęła.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

Profesor spojrzął po raz kolejny w pytające twarze swoich królików doświadczalnych.

– No, zapomnieliście państwo o Linusie.

Dziś, godzina 15.13

Patrick spojrział przelotnie na zegarek, ale był to bardziej odruch niż chęć sprawdzenia godziny. Był dwudziesty trzeci grudnia. Dzień przed Wigilią. Profesor wiedział jednak, że czas jest w tej chwili najmniejszym zmartwieniem jego probantów.

– Linus, no tak. Co się z nim stało?

Sophibićpacje.

Profesor zamrugał oczami i kontynuował wyjaśnienia.

– Sophia odłączyła przewód paliwowy, żeby Bruck został w klinice na noc.

– Dlaczego? – spytała Lydia.

– Chciała go zabić. Był jej największym zagrożeniem, świadkiem naocznym. Poza tym nie mogła dopuścić do spotkania Brucka z Haberlandem, dla którego przecież zaplanowała rolę ostatniej ofiary, będącej niejako ukoronowaniem całej serii. W środku nocy wśliznęła się do pokoju Brucka i najprawdopodobniej próbowała go udusić poduszką, co zważywszy na obrażenia dróg oddechowych, nie wywołałoby specjalnych podejrzeń. Jednak zauważył ją Linus, który nie mógł spać i lubił włóczyć się nocami po korytarzach kliniki.

– Linus obudził Haberlanda i powiedział mu, co się stało: *Sophibićpacje*. Sophia chce zabić pacjenta.

– I dopiero w tym momencie zaczyna się cała historia. – Patrick wyjął drżące dłonie z kieszeni kurtki i sięgnął po butelkę z wodą, ale jednak nie podniósł jej do ust.

- Zgadza się. Spłoszona przez Linusa Sophia nie zrealizowała swojego zamiaru wobec Brucka. Bruck uciekł przez okno, a lekarka musiała podjąć decyzję. W jaki sposób wyjaśnić, co po północy robiła w samej koszuli nocnej w pokoju Brucka? W jaki sposób mogła unieszkodliwić Linusa, który co prawda miał problemy z wyrażaniem myśli, ale nie był idiotą? Spanikowana, zdecydowała się napisać krótką zagadkę na kartce i weszła do wanny. Gdy pojawił się Haberland i zobaczył kartkę w jej ręce, musiał wyjść z założenia, że Sophia jest czwartą ofiarą Łamacza Dusz, a nie sprawcą. Tak naprawdę chciała w ten sposób tylko zyskać na czasie, odwrócić uwagę i wprowadzić zamęt. A przy okazji nadarzyła jej się niespodziewana szansa, że jeśli dobrze wszystko rozegra, to złamie psychikę Haberlanda, a jednocześnie całą winę za wszystkie swoje zbrodnie rzuci na Jonathana Brucka. Miała nawet licznych świadków, którzy mogliby to potwierdzić. Ale żeby wszystko się udało, gródź musiała pozostać opuszczona.

- Dlatego zabiła Raßfelda? - zapytała Lydia.

- Jedyłą osobę, która oprócz niej znała kod. Tak jest. Kiedy Yasmin szła po korki do uszu, Schadeck się przebierał, a pozostali zajęci byli opuszczaniem grodzi, uderzyła Raßfelda w głowę krzesłem. Stąd krew na podłodze oddziału radiologii. Wciągnęła go do prosektorium i nieprzytomnego zamknęła w jednej z lodówek.

- A zagadka? Skąd mogła w tym momencie wiedzieć, że odnajdą Raßfelda?

- Nie wiedziała. To był przypadek, a sama zagadka nie miała większego znaczenia. Yasmin była niestety tak

opiekuńcza, że wcześniej przyniosła z pokoju Sophii rzeczy do ubrania, między innymi jej kitel, w którego kieszeni leżała już karteczka z zagadką. Sophia przeznaczyła ją w zasadzie dla Caspara. Ale wepchnęła ją w usta Raßfelda, wróciła na oddział radiologii i położyła się w tomografie. Yasmin wróciła, zauważyła, że profesora nie ma, i sprowadziła pomoc. W tym czasie Sophia zaczęła się sama wiązać.

– Stąd jej jedna wolna ręka. Strona 78.

Profesor potwierdził słuszność uwagi Patricka uniesionym w górę palcem.

– Tak. I wtedy zaczęła krzyczeć, żeby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia.

– Szatański plan. – Lydia nerwowo gładziła dolną wargę. – Spowodowała, że wszyscy zaczęli ścigać przyjaciela i bronić wroga.

– Ale jak w takim razie wytłumaczyć, co się stało w pokoju z tomografem? – Patrick znów stał się bardziej nieufny. – Gdy Caspar i Bachmann podłożyli ogień? Dlaczego Bruck ich zamknął?

– Ponieważ tam byli bezpieczni przed Sophią – wyjaśnił profesor. – Oczywiście pod warunkiem, że nie uwędziliby się w dymie. Dlatego włączył tomograf. Chciał ich przestraszyć, zanim podłożą ogień. Ale było już za późno. Wzniecili pożar, a on nie miał klucza do drzwi, żeby je ponownie otworzyć.

– Okay, rozumiem. A hałas, który słyszeli na oddziale radiologii, to Linus, który sprowadził policję?

– Nie, jeszcze nie. To był wicher i śnieżycyca. Ale to jednak właśnie muzykowi wszyscy zawdzięczali tamtej nocy życie. Zanim opadła gródź, uciekł na balkon, skąd

kilka minut później wystraszył na śmierć Yasmin zamykając pokoje. Zeskakując, skręcił kostkę, ale w jakiś sposób udało mu się jednak dotrzeć do willowej dzielnicy, gdzie kilka godzin później Mike Haffner niemal go rozjechał.

– I to on zawiadomił policję?

Profesor przytaknął.

– Co prawda trwało to jakiś czas, zanim funkcjonariusze zrozumieli paplaninę Linusa, ale Bruckowi na szczęście udało się większość obecnych w klinice uchronić przed Sophią. Dirk Bachmann, Sybille Patzwalk, Greta Kaminsky i Mister Ed przeżyli tę noc. W ostatniej chwili uratowano też Yasmin. – Westchnął. – Ale dla Haberlanda było już niestety za późno.

– Za późno? Co się z nim stało? Gdzie jest teraz Sophia?

Patrick podniósł głowę i patrzył na profesora spod przymrużonych powiek, jakby jakieś światło raziło go prosto w oczy.

Profesor odwrócił się do okna i patrzył w zapadający zmierzch.

– Cóż, właśnie z tego powodu dziś tu jesteśmy – powiedział w końcu cichym szeptem.

– Co pan przez to rozumie? – usłyszał za sobą głos Lydii.

– To właśnie jest część eksperymentu. Po to musieli państwo tak dokładnie przestudiować akta.

– Po co?

Powoli odwrócił się do swoich studentów.

– Żeby wychwycić w całej historii prawdę. Żeby wreszcie się dowiedzieć, co naprawdę się ze wszystkimi stało.

Dziś, godzina 15.15

Olej w grzejniku bulgotał coraz głośniej, ale temperatura w bibliotece wydawała się nadal spadać, im dłużej mówił.

– Jedyne, co mogę państwu jeszcze opowiedzieć, to to, że Sophia tamtej nocy zniknęła na zawsze. – Profesor wyglądał w tym momencie, jakby nagle postarzał się o całe lata. – Od tego czasu Marie przebywa na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Westend. Już samodzielnie oddycha i potrafi się komunikować, ruszając prawą powieką, nie ma jednak żadnych informacji o dalszych istotnych postępach.

– Chwileczkę, Sophia zostawiła swoją córkę? Tak po prostu? – zapytał Patrick. – Po tym wszystkim?

– Tak się początkowo wydawało.

Coś trzasnęło w piecyku olejowym i profesor omal się odruchowo nie odwrócił, żeby sprawdzić, czy to nie płonące polano w kominku. Jednocześnie zastanawiał się, czy jego słuchacze wychwycili narastające drżenie głosu.

– Jednak rok później pielęgniarki znalazły małą paczuszkę na stoliku nocnym Marie.

– Co w niej było? – spytali niemal jednocześnie Lydia i Patrick.

– W małym pudełeczku w kolorze bzu znajdował się naszyjnik z amuletem. Domyślają się państwo zapewne, do kogo należał.

Lydia niezdecydowanie podniosła w górę rękę, jakby była w szkole.

– Nikt nie zauważył, kto go podrzucił?

– Oddział intensywnej terapii nie jest specjalnie chroniony – odparł profesor. – Wielu odwiedzających wkłada maski ochronne. Nie. Nigdy nie zauważono nikogo, kto wchodził ani wychodził.

– Nigdy?

– Łańcuszek nie był jedynym prezentem. Każdego roku w okolicy Bożego Narodzenia znajdowano nowe prezenty. Raz była to mała buteleczka perfum, którymi pachniało już czoło Marie, gdy przyszedł czas na obchód. Był też zegarek, drogocenna moneta. I zawsze obok prezentu leżała mała złożona na pół karteczka.

Lydia wzięła głęboki oddech.

– Co było na niej napisane?

– Nic. Kompletnie nic.

Profesor otworzył dłonie jak iluzjonista, który właśnie sprawił, że zniknęła trzymana przez niego chusteczka.

– Te prezenty są jedynym dowodem na to, że Sophia nadal żyje? – zapytał Patrick nieufnie.

– Nie do końca. Podobno po wielu latach zgłosiła się na terapię do znanego psychiatry. Oczywiście nie podała prawdziwej tożsamości. Nazywała się bodajże Anna Spiegel.

Po usłyszeniu tego nazwiska oboje studenci wzdrygnęli się. Patrick powoli otworzył usta.

– A psychiatrą był...?

– Viktor Larenz. Wspomnieliśmy o nim na początku eksperymentu. Z Larenzem nie można niestety dziś już porozmawiać o tym wydarzeniu. Jednak po zamknięciu

jego gabinetu znaleziono akta, które właśnie państwo przeczytali. Eksperci po dziś dzień spierają się, czy je napisał sam, czy może jego tajemnicza pacjentka. W każdym razie, prowadząc tę terapię, sam popadł w chorobę. To znaczy, Sophia Dorn alias Anna Spiegel mogła być rzeczywistym wzorem dla postaci, którą Larenz podczas nawrotu schizofrenii reaktywował jako swoje urojenie, ale to już zupełnie inna historia, która nie ma dla nas większego znaczenia.

– Jestem innego zdania. W końcu kazał nam pan to czytać. – Patrick postukał palcem w zamknięte akta. – Jak pan myśli, kto jest ich autorem?

– Cóż... – Profesor zwlekał z odpowiedzią. – Jeśli mam być szczery, to moim zdaniem wskazówka znajduje się w samym tekście. Strona 191, pierwszy wers od góry.

– Protokoły Alznera? – odczytała Lydia niepewnie.

Profesor odetchnął głośno.

– Co może być anagramem imienia Larenz – stwierdził.

– Po co miałyby Larenz bawić się w grę słów we własnych aktach?

– Przecież profesor chce nam to właśnie powiedzieć. – Lydia rzuciła przyjacielowi gwałtowne spojrzenie. – Sophia wszystko napisała.

– Chwileczkę. – Patrick zaśmiał się z niedowierzaniem.

– W jaki sposób? Raport niemal w całości napisany jest z perspektywy Caspara. Skąd mogłaby wiedzieć, co on czuje, myśli, przeżywa...?

Tu przerwał i na jego twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

– ...gdyby nie dostała się do jego umysłu. Brawo. – Ręka profesora drżała, kiedy przeczesał nią

przerzedzone włosy. – Od momentu zahipnotyzowania Haberlanda do pojawienia się policji minęło ponad półtorej godziny. Sophia miała wystarczająco dużo czasu, żeby dowiedzieć się wszystkiego niejako z pierwszej ręki. Miała przecież klucz do jego świadomości. O pozostałych faktach, których Haberland jej nie zdradził, mogła przeczytać później w gazetach. O tym na przykład, że Mike Haffner omal nie przejechał Linusa pługiem śnieżnym.

Patrick nie mógł już dłużej wysiedzieć na swoim miejscu. Zerwał się z krzesła i rzucił wściekły:

– Czy to znaczy, że przez cały czas zajmowaliśmy się dokumentem stworzonym przez jakąś rąbniętą morderczynię i przez który już jeden psychiatra dostał świra?

– Stop, stop, stop! – Profesor uniósł ręce w uspokajającym geście. – To tylko pogłoska. Wcale nie musiało tak być naprawdę. Poza tym obydwój państwo są pod opieką lekarza. Jeśli w ciągu najbliższych dni będzie się z wami dziać coś niepokojącego, proszę natychmiast się ze mną skontaktować.

Postawił na stole aktówkę i wyjął z niej mały bloczek żółtych karteczek samoprzylepnych.

– Dlaczego? Co może się z nami dziać? – zapytał Patrick, podczas gdy profesor szukał długopisu.

– Jak już wszyscy wiemy, Sophia Dorn była opętana ideą hipnotyzowania ludzi wbrew ich woli. Eksperti jednomyślnie twierdzą, że po ucieczce intensywnie ulepszała i rozwijała swoje metody.

– Proszę przejść do rzeczy. – W ponagleniu Patricka nie było cienia szacunku dla pozycji rozmówcy, czego

profesor nie miał mu za złe, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Naukowcy od dawna się spierają, czy możliwe jest zahipnotyzowanie człowieka przez nakłonienie go do przeczytania odpowiedniego tekstu.

– Co proszę?

– I czy faktycznie istnieją te protokoły Alznera, o których mowa na 191 stronie. Być może właśnie trzymali państwo w rękach jeden z tych protokołów. Dokument z niewidocznym subtekstem, który potrafi odczytać tylko podświadomość.

– Pan sobie z nas żartuje, prawda? – W głosie Patricka słyhać było nutki paniki. – Mielibyśmy zostać oboje zahipnotyzowani tylko dlatego, że w pośpiechu przejrzelśmy te spisane przez jakąś wariatkę akta?

Profesor przytaknął.

– Na tym polega eksperyment. Nie mogłem państwa wcześniej o tym poinformować, ponieważ inaczej by nie zadziałał. I za to chciałem teraz przeprosić. Jednocześnie dodam, że osobiście w to nie wierzę, i uważam za miejską legendę, naukowy mit, który wspólnie obalimy.

– A jeśli to jednak prawda? Co się teraz z nami stanie?

– Nie wiem. Ale jak powiedziałem, jeśli tylko pojawią się jakiegokolwiek podejrzone objawy, które państwa zaniepokoją, proszę do mnie zadzwonić.

– Będzie mógł nas pan wtedy wyciągnąć z tego transu? Jeśli oczywiście w nim jesteśmy?

Powieki Lydii drżały.

– Jeśli w nim jesteście, to tak. Na pewno. Znam przecież rozwiązanie.

– Rozwiązanie?

– Odpowiedź na ostatnią zagadkę: „Wyrzuć mnie, kiedy mnie potrzebujesz. Weź mnie z powrotem, kiedy się już nie przydam”. Jeśli istniał jakiś przekaz podprogowy, jakiś ukryty podtekst, to przypuszczam, że jego posthipnotyczne działanie może zostać powstrzymane tym rozwiązaniem.

– Tak pan przypuszcza? Jakie to uspokajające. Niech pan natychmiast powie, jakie jest rozwiązanie!

Profesor pokręcił głową, kiedy Patrick groźnie wycelował w niego palcem.

– Jeślibym ja teraz państwu zdradził, eksperyment by się nie udał. Oczekajcie proszę kilka dni, zobaczcie, czy coś w waszym życiu się zmieni. Róbcie notatki, ale nie przejmujcie się. Będę dla was dostępny o każdej porze dnia i nocy. Nic się państwu nie stanie.

– Nie wyjdę stąd, dopóki nie poznam tego cholernego rozwiązania! – Patrick już prawie krzyczał. Drzwi za nim zaskrzyptały i do środka wsunęła się czyjaś głowa.

– U nas wszystko w porządku, nic się nie stało – powiedział profesor do starszego mężczyzny, który co prawda zmarszczył brwi, ale zaraz potem zamknął drzwi za sobą.

– Nie, nic nie jest w porządku! Albo nam pan natychmiast zdradzi rozwiązanie tej zagadki, albo...

– Już dobrze, spokojnie – przerwał histeryczny potok słów Patricka. Był na to przygotowany. Liczył się z taką reakcją. Podeszedł do nich, zabrał im akta i wkleił w nie po jednej z żółtych karteczek, na których zapisał wcześniej adres e-mailowy.

Lydia i Patrick popatrzyli na niego zdziwieni.

– Jeśli będą mieć państwo jakiegokolwiek wątpliwości,

napiszcie do mnie. Otrzymacie odpowiedź, o którą mnie teraz prosicie. Teraz już tylko od państwa zależy, czy chcecie przerwać eksperyment. Ale proszę to zrobić tylko w ostateczności. W imię nauki, że tak powiem. Możemy się tak umówić?

Profesor wrócił na swoje miejsce, zebrał dokumenty i zaczął je chować w zużytej aktówce.

Lydia wstała.

– Ale udało się ją rozwiązać? – zapytała niepewnie. – Zagadkę Haberlanda. On przeżył, prawda?

Profesor właśnie chciał spakować oryginał protokołu, jednak zatrzymał się.

– Nie – stwierdził cichym głosem i mgiełka smutku znów zasnuła jego oczy. Lydia skinęła głową, zupełnie jakby taka prosta zachęta miała wystarczyć do wyznania tej najboleśniejszej ze wszystkich prawd. Wtedy, w tamtym szemranym barze z o wiele za głośną muzyką i o wiele za bardzo rozcieńczonym piwem, nie stała przed nim nawet w połowie tak naga i bezbronna, jak teraz on stał przed nią. Zastanawiał się, czy Lydia jest tego świadoma, kiedy oznajmił:

– Przykro mi, ale obawiam się, że Niclasa Haberlanda nie udało się już uratować.

Dziś, godzina 15.42

Zardzewiała brama zatrzasnęła się z hukiem.

– Bardzo odważne posunięcie – burknął starszy mężczyzna, chowając do bocznej kieszeni roboczej kurtki pęk kluczy. Zaraz potem włożył rękawiczkę. – W życiu bym nie pomyślał, że jeszcze kiedykolwiek pan tu wróci.

– To jednorazowa sprawa, zajęcia ze studentami. – Profesor zaśmiał się. – No ale pan też wciąż tu jest?

– Niestety. – Dozorca skrzywił się. Odeszli kilka kroków od budynku.

– Zaglądam tutaj raz w miesiącu. Muszę dorabiać do renty, bo moja żona też już nie pracuje.

– Nikt nie chciał tego kupić?

Bachmann pociągnął nosem. Jego wzrok powędrował po zarośniętej bluszczem fasadzie aż do dwuspadowego dachu willi.

– Ależ chciał. Po śmierci Raßfelda oczywiście na początek zamknęli klinikę. Co prawda w prasie nie było żadnych konkretów, ale za to aż roiło się od plotek. Nic dziwnego, bo przecież nikt oficjalnie się na ten temat nigdy nie wypowiedział. Bruck wrócił do Hamburga i odrzucił wszystkie propozycje napisania książki o wydarzeniach tamtej nocy. Kucharka zatrudniła się w branży hotelarskiej, a Yasmin też rzuciła pracę. Słyszałem, że razem z Linusem nagrali jakąś płytę. Ponoć odnieśli nawet sukces. Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi.

Bachmann popatrzył w górę. Stado wron przeleciało nad ich głowami.

– Tylko Greta jako jedyna zgodziła się na udzielenie wywiadu. Jak najpoważniej stwierdziła, że tamta noc wyleczyła ją z fobii i od tamtej pory może spędzać już Boże Narodzenie samotnie. Uwierzyłby pan?

Stado rozproszyło się, żeby po chwili znów się połączyć. Bachmann stracił zainteresowanie ptakami i znów spojrzął na profesora, który wzrok miał zmacony i z pewnością potrzebował już znacznie mocniejszych okularów do czytania.

– Do dziś ludzie myślą, że miała tu miejsce jakaś straszna masakra, w czasie której pacjenci zabijali się nawzajem. Dlatego wielu uważa, że tu straszy. To śmieszne, ale najwyraźniej odstrasza potencjalnych inwestorów. Planowano tu już różne rzeczy: hotel, restaurację, nawet luksusowe mieszkania, ale nic z tego nie wyszło.

– Czy wspomina się też o Sophii?

Stary dozorca wzdrygnął się ledwo zauważalnie, słysząc to imię, i zaczął się drapać po siwych bokobrodach.

– Dzieci gadają, że była wiedźmą i ciągle mieszka w tym domu. Gdzieś na strychu, razem ze swoją upośledzoną córką. Takie tam bzdury.

Zaśmiał się niepewnie, ale bił od niego taki smutek, jaki profesor rzadko widywał u dorosłej osoby.

– To ja się już pożegnam, zrobię tylko jeszcze jedną rundkę wokół posesji, Cas... – Dozorca urwał w pół słowa. – Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Haberland podał mu rękę na pożegnanie.

– Wesołych świąt. Cieszę się, że mogłem pana znów zobaczyć. Dzięki za udostępnienie miejsca.

– Żaden problem. Najważniejsze, żeby nie weszło to panu w zwyczaj.

Uścisnęli sobie dłonie i każdy poszedł w swoją stronę. Dwóch mężczyzn, którzy w jedną noc przeszli razem tak dużo, że w ich życiu nie było już miejsca na kolejne wspólne chwile. Nawet na krótką pogawędkę.

Haberland odwrócił się w kierunku wiatru i postawił kołnierz wydętego płaszcza. Ostrożnie postawił stopę na chodniku, wijącym się w dół, do ulicy. Zapowiadano na dziś deszcz ze śniegiem i ostrzegano przed gołoledzią, dlatego włożył ciężkie zimowe buty. Wtedy przyszedł w skórzanych trzewikach, co ostatecznie stało się jego zgubą.

Wtedy. We wcześniejszym życiu.

Teraz był zupełnie innym człowiekiem. Nie okłamał Lydii, mówiąc jej, że Niclas Haberland nie żyje. Mężczyzna o tym nazwisku leżał na zawsze pogrzebany gdzieś na dnie jego duszy. Chociaż Bruck rozwiązał zagadkę i już po dwóch dniach wybudził go z hipnozy, to i tak ten czas spędzony w więzieniu własnej psychiki okazał się zdecydowanie za długi. Dzięki Bruckowi powrócił do rzeczywistości, ale nigdy nie stał się z powrotem sobą.

Wyrzuć mnie, kiedy mnie potrzebujesz. Weź mnie z powrotem, kiedy się już nie przydam.

Często zastanawiał się, po co Sophia w ogóle zostawiała te zagadki. W końcu dzięki temu zostawiała swoim ofiarom możliwość powrotu do życia, z której Marie nie mogła skorzystać. Najpierw tłumaczył to sobie resztką

człowieczeństwa, jakie zachowała, później jako wyraz irracjonalnej nadziei, że któregoś dnia również jej córkę uda się wyrwać z labiryntu udręki za pomocą jednego tylko słowa. Dziś, po wielu latach cierpienia, wiedział już, w czym rzecz. Zagadki stanowiły ważny element kary. Dowód jej wszechmocy. Sophia wepchnęła go do piekła i zostawiła klucz w drzwiach od zewnątrz, ponieważ było jej obojętne, czy ktoś przyjdzie i otworzy lochy. Posiadała bowiem moc, dzięki której w każdej chwili mogła przyjść i na nowo je zamknąć.

...weź mnie z powrotem...

Od tamtej nocy żył w irracjonalnym strachu, że Sophia nie pojawiła się dotychczas tylko dlatego, ponieważ ukrywa się w nim samym. Nie fizycznie, ale w znaczeniu metaforycznym. Skoro zadbała o to, że jednym tylko słowem można go było wyrwać z paraliżu przysennego, dlaczego nie przyjąć, że umieściła kolejną posthipnotyczną sugestię, o której nic nie wie? W końcu przecież miała nad nim kontrolę wystarczająco długo, żeby wyciągnąć z niego wszystkie informacje potrzebne do sporządzenia akt.

Z tego właśnie powodu na każdy dźwięk telefonu, nieznajomego głosu czy obcego słowa wstrzymywał oddech. Odkąd uciekł z czyścica swojej duszy, wciąż spodziewał się najgorszego. To był również powód, dlaczego zdecydował się na ten eksperyment. Musiał się dowiedzieć, jak wielką ona posiadała moc. Czy udało się jej znaleźć drogę do zakotwiczenia się w psychice jakiegoś człowieka po tylu latach od jej zniknięcia.

Haberland przełknął ślinę. Drapanie w gardle mogło być początkiem przeziębienia. Blizny swędziały go jak

zawsze, gdy zbliżały się opady śniegu. Najbardziej czułe na pogodę były blizny na piersi, ale z roku na rok podobnych cech nabierały też obumarłe tkanki wokół nadgarstków. Nagle poczuł coś mokrego na prawej dłoni i spojrzał w dół.

– Tu jesteś – przywitał machającego ogonem psa, który podczas jego rozmowy z Bachmannem biegał po lesie. Nigdy jednak nie odchodził daleko. Tylna prawa łapa sztywniała mu coraz mocniej, nawet po krótkich spacerach, a prawe oko nie było już tak bystre. Czasy, kiedy musiał poskramiać Tarzana smyczą, dawno już minęły.

– Obydwaj musimy teraz uważać, żeby się nie przewrócić, co? Czekają nas przecież jeszcze odwiedziny u Marie.

Pogłaskał starego psa po głowie i odwrócił się ostatni raz. Ciemny monolit Willi odcinał się na tle szarego zimowego nieba. Okna na dole były zaślepienie stalowymi płytami, jeśli chodzi o górne, ostatni agent nieruchomości zadowolili się zaciągnięciem sfatygowanych zasłon. W całym budynku nie paliło się ani jedno światło. Tylko mała latarnia ogrodowa bujała się nad wejściem.

Haberland zmrużył oczy. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że zauważył ruch za wypłowiałą firanką. Na samej górze, na czwartym piętrze pod dachem. Ale było już ciemno i poza tym musiał się nauczyć, że w tym miejscu nawet w świetle dziennym trudno było odróżnić rzeczywistość od złudzenia.

Najpewniej coś mu się przywidziało. A może to szczur albo przeciąg, bo gdzieś rozbita była szyba? Podciągnął

rękaw płaszcza i podrapał się po nadgarstku.

Meteorolodzy mieli rację. Będzie padał śnieg, pomyślał i obrócił się do Tarzana, który patrzył na niego wyczekująco.

– Jak myślisz? Może w tym roku będziemy mieli białe święta?

Pies kłapnął przyjaźnie pyskiem i ruszył z miejsca. Haberland poszedł za nim. Zachwiał się i przestraszony poderwał do góry lewą rękę. Prawie stracił równowagę, ale zaraz z powrotem odnalazł pod podszewkami twardy grunt. Podążył swoimi śladami, które zostawił w zamrażanej śniegowej brei. Ostrożnie, krok za krokiem, stąpił w dół podjazdu, zostawiając za plecami starą willę, która niegdyś była źródłem jego największego lęku, a teraz pusta i zrujnowana czekała na jakiś cud. Że pojawi się ktoś, kto wytrze z mebli kurz przeszłości, rozpali w kominku ciepły ogień i rozświetli wszystkie okna jasnym światłem, które będzie trzymać na dystans mroczne wspomnienia i przegoni złe duchy do piwnicy zapomnienia.

I że wszystko znów będzie tak jak kiedyś.

Uzupełnienia, podziękowania i przeprosiny

Nie wiem jak Państwo, ale ja należę do ludzi, którzy zawsze czytają najpierw podziękowania, zanim zaczną lekturę pierwszego rozdziału. Nieraz już zabrało mi to przyjemność z czytania, ponieważ wielu autorów wykorzystuje ostatnie linijki swoich książek do odesłania czytelnika do literatury uzupełniającej, czym często zdradzają główny temat powieści i jej puentę.

Ostatnio czytałem pewien historyczny thriller, w którym dopiero na końcu miałem się dowiedzieć, że morderca miał rozdwojenie jaźni. Dzięki podziękowaniom wiedziałem o tym już od samego początku historii.

Po co o tym piszę? Ponieważ sam chętnie przekazałbym Państwu wskazówki, gdzie moglibyście jeszcze bardziej pogłębić medyczne tematy, które pojawiają się w tym psychologicznym thrillerze. Nawet jeśli wiele z nich wydaje się mało wiarygodnych, to większość spraw akurat (znów) stała się przedmiotem dyskusji.

*W jaki sposób jednak to Państwu udowodnić, nie zdradzając za wiele treści? Na szczęście istnieje książka o neutralnym tytule *Unsichtbare Ketten* (Niewidoczne łańcuchy), napisana przez psychologa doktora Hansa Ulricha Grescha. Caspar nie potrafił sobie wprawdzie o tym przypomnieć, ale cytował niemal dosłownie z tego dzieła.*

W momencie składania do druku Unsichtbare Ketten udostępniono za darmo w Internecie w wersji elektronicznej, za co chciałbym gorąco podziękować autorowi. (Proszę, wygooglujcie to dopiero po przeczytaniu książki). Również fascynujący podręcznik Neuropsychologie (oryginalny tytuł: Fundamentals of Human Neuropsychology), który Caspar znalazł w bibliotece, istnieje naprawdę. Napisali go Bryan Kolb i Ian Q. Whishaw. Odsyłacze w książce są więc prawdziwe.

Klinika Teufelsberg natomiast, podobnie jak reszta akcji, to czysta fikcja. Jak w każdym dobrym oszustwie również i w tym kryje się isierka prawdy. Pozwoliłem sobie na umieszczenie istniejącej, podobnej architektonicznie prywatnej kliniki na berlińskim wzniesieniu Teufelsberg, które w napadzie autorskiej megalomanii przesunąłem nieco bardziej w głąb dzielnicy Grunewald. Natomiast historia powstania samego wzniesienia to z kolei znów prawda.

Na marginesie, piosenka, którą Caspar tak lubi, nazywa się Inbetween Days i wykonuje ją grupa The Cure, ale pewnie od razu to wiedzieliście. Jeśli jednak nie udało się Państwu jeszcze rozwiązać ostatniej zagadki Łamacza Dusz, podaję małą wskazówkę: rozwiązanie ukrywa się w poniższych podziękowaniach. Prawda, Gerlinde?

Jak zawsze na początku, chciałbym gorąco podziękować Państwu, ponieważ gdybyście nie czytali moich książek, musiałbym robić rzeczy, które sprawiają

mi o wiele mniej radości niż pisanie – na przykład pracować. Wielkie dzięki również za Państwa liczne uwagi, wskazówki, rady, za słowa krytyki i pociechy, i w ogóle za wszystko, co dociera do mnie na mój adres e-mailowy fitzek@sebastianfitzek.de albo za pośrednictwem księgi gości na www.sebastianfitzek.de.

Czasami czuję się jak piosenkarz, który do występu potrzebuje tylko mikrofonu, podczas gdy cała armia roadies musi wykonać za niego naprawdę ciężką pracę, rozkładając niezbędny sprzęt. Jak na przykład:

Roman Hocke, jedyny człowiek, któremu w nieskończoność można powtarzać, że jest najlepszym agentem literackim na świecie, bez obawy, że uderzy mu to do głowy.

Manuela Raschke – bez Twojego zarządzania byłbym całkowicie bezradny, zdemoralizowany i najprawdopodobniej siedział w więzieniu.

Gerlinde – Twoje rady jako największej na świecie fanki horrorów i thrillerów również i tym razem okazały się nieodzowne. Dziękuję, że stanowisz kotwicę w szaleńczym wirze naszego życia.

Sabine i Clemens Fitzek – umożliwiliście mi przechwalanie się Waszą medyczną wiedzą, wprowadzając mnie między innymi w podstawy wirtopsji. W podziękowaniu zwałam na Was wszelką winę za ewentualne błędy. To chyba sprawiedliwy

układ?

Christian Meyer – super, że wszyscy biorą Cię za mojego ochroniarza tylko dlatego, że tak wyglądasz. Będę Cię teraz zabierał na wszystkie spotkania z czytelnikami i zasypywał przy tym pytaniami o broń palną.

Sabrina Rabow – powiadają, że pracuje z nielicznymi, ale to muszą być najlepsi. Nie tylko dlatego cieszę się, że przed laty skrzyżowały się nasze drogi i od tego czasu zajmujesz się moim PR-em.

Wreszcie mnóstwo ludzi, którzy imponują mi swoimi umiejętnościami, wiedzą i kreatywnością i którym dziękuję za to, że mnie zainspirowali: Zsolt Bács, Oliver Kalkofe, Christoph Menardi, Jochen Trus, Andreas Frutiger, Arno Müller, Thomas Koschwitz, Simon Jäger, Thomas Zorbach, Jens Desens, Patrick Hocke, Peter Prange i oczywiście osoba, o której nie sposób zapomnieć: mój ojciec Freimut Fitzek!

Pora teraz na osoby, których nie powinno brakować w żadnych podziękowaniach, ponieważ bez nich autor by nie istniał:

Carolin Graehl – dzięki precyzyjnym pytaniom, jakimi opatrujesz maszynopis, Twoja skrupulatna i jednocześnie życzliwa redakcja jest wręcz perfekcyjna. Dopiero dzięki Tobie ze zbioru pomysłów powstaje ciekawa i godna przeczytania książka.

Regine Weisbrod – niewiarygodne. Teraz już wiem, dlaczego tak wielu autorów o Tobie marzy. Jeśli nie zajmiesz się redakcją także mojej następnej książki, niestety będę musiał Cię zabić. (Nie żartuję, nazwę Twoim imieniem czyjeś zwłoki!)

Dr Andrea Müller – Pani mnie odkryła i tym samym zrobiła ze mnie autora. Na szczęście mogliśmy jeszcze razem popracować nad szkicem powieści, zanim w związku z Pani sukcesem nie została Pani bezczelnie podkupiona przez konkurencję.

Beate Kuckertz i dr Hans-Peter Übleis – dziękuję Państwu, że i w następnych latach dacie mi to, o czym inni mogą tylko marzyć: pieniądze. Żartuję, oczywiście mam na myśli ostoję, jaką jest dla mnie Państwa wspańnięte wydawnictwo Droemer Knaur.

Klaus Kluge – nie boisz się wypróbowywania nowych i zwariowanych pomysłów marketingowych i dlatego nie tylko branża, ale i ja patrzę na Twoje działania z uznaniem. Tylko że za uścisk mojej spoconej dłoni nic sobie nie kupisz.

Sibylle Dietzel – dziękuję Pani za poprawienie moich pomysłów przez kreatywną pracę podczas produkcji.

I znów prawie na samym końcu podziękowań wymieniam najważniejsze osoby: całą armię ludzi, którzy pracują w produkcji, dystrybucji, w księgarniach i

bibliotekach, i zadbali o to, żeby Państwo trzymali teraz tę książkę w ręku.

Wreszcie muszę jeszcze przeprosić niektóre osoby, które bez skrępowań okradłem, żeby napisać tę książkę. Na przykład Helmuta Raßfelda; to z nim dane mi było przez lata pracować w radiu i to on przekazał swoje charakterystyczne nazwisko człowiekowi, z którym na szczęście nie łączą go żadne podobieństwa. Pani Patzwalk była tak naprawdę moją ulubioną kucharką w przedszkolu. (Dziękuję, że nie kazała mi Pani nigdy zjadać wątróbki!) Sorry Fruti, że nazwałem imieniem Twojego syna osobę o zdecydowanie dziwnym sposobie zachowania. Tylko Marc nie powinien narzekać. Wyraźnie mnie swego czasu prosiłeś, żebym wykorzystał kiedyś Twoje nazwisko w powieści. Jak to mówią, warto uważać z wypowiedaniem życzeń, bo czasem mogą się spełnić... panie Haberland.

Sebastian Fitzek

PS Bez obawy, to, co Państwo właśnie przeczytali, to tylko powieść. Żadne tam istniejące naprawdę akta pacjenta. Jestem tego niemal pewny.